ŚWIATŁO

CZASOPISMO DLA RODZIN POLSKICH

WYDAWCA I REDAKTOR:

Ks. MARCELI DZIURZYŃSKI

ROCZNIK III. TOM I.

ZA PIERWSZE PÓŁROCZE 1911 ROKU.

KRAKÓW. – NAKŁADEM WYDAWCY.

Czcionkami drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.

SPIS RZECZY.

Rozmaitości w każdym numerze.



PISMO DLA RODZIN CHRZEŚCIJAŃSKICH.

WYCHODZI RAZ W MIESIĄCU, OKOŁO 1-GO.

Rocznik III. (Półrocze I.) **Numer I.**



Adres: Redakcya ŚWIATŁA w Krakowie, ul. Powiśle L. 12.

Treść numeru 1-go.

Rozszerzajcie „Światło“

i jednajcie nam nowych prenumeratorów jak najwięcej, bo gdy się w tym roku zbierze większa liczba Czytelników, to w takim razie podawać będziemy w każdym numerze „ŚWIATŁA“ piękne ryciny (obrazki).

Ważne dla wszystkich!

Prenumeratę „ŚWIATŁA“ prosimy przesyłać **nie** razem z prenumeratą **„Nowego Dzwonka“** — ale **osobno** pod adresem: **Redakcya „ŚWIATŁA“** w **Krakowie** — ul. Powiśle l. 12.

Kalendarz „ŚWIĘTA RODZINA“ na rok 1911

dajemy Szan. Czytelnikom *Światła* w cenie zniżonej, to jest za **50** halerzy razem z przesyłką.

Powyższą kwotę (50 halerzy) najlepiej przesyłać razem z prenumeratą *Światła.*

Każdy nowy prenumerator *Światła,* który nadeśle całoroczną prenumeratę (3 korony) otrzyma **darmo,** jako premię, książkę *Nasza Skarbnica* (rocznik III-ci).

Rocznik III. Kraków 1-go stycznia 1911. (Półrocze I-sze) Nr. 1.

ŚWIATŁO

pismo poświęcone nauce i rozrywce

wychodzi **raz** w miesiącu, dnia 1-go

Prenumerata „ŚWIATŁA“ wynosi w Austryi na **rok:** **3** korony — na **pół roku:** **1** kor, **50** hal. — Do Niemiec na rok: **4** kor. — półrocznie **2** kor. — Do Ameryki rocznie **1** dolar.

ADRES: Redakcya „ŚWIATŁA“ w Krakowie ul. Powiśle 12.

Pomyślności

wszelakiej życzymy w tym Nowym Roku wszystkim Szan. Czytelnikom — i prosimy o rychłe nadsyłanie prenumeraty, na ten rok. Prenumeratę należy przesyłać nie razem z prenumeratą *Nowego Dzwonka* — ale **osobno** do **Redakcyi** ***Światła*** w **Krakowie** ul. Powiśle l. 12.

Nowy Rok u różnych ludów.

Kiedy 31-go grudnia o północy uderzenia zegarowe wydzwonią dwunastą godzinę, wszędzie rozbrzmiewa echo tych uderzeń, roznosząc po świecie zapowiedź Nowego Roku. I pełni ciekawości ludzie witają te dźwięki, wróżąc sobie, co też nowego i szczęśliwego Nowy Rok przyniesie.

Ale podobnie jak Boże Narodzenie otoczone jest wieńcem legend i zwyczajów — także i Nowy Rok swoją historyę posiada.

Starzy Egipcyanie czcili Nowy Rok wtedy, gdy na niebie w całej okazałości rozbłyskała gwiazda Syryusz. Wspaniałe uroczystości łączyły się z oczekiwaniem na ukazanie się tej gwiazdy.

Sąsiedzi Egipcyan — Żydzi — mieli czas noworoczny ściśle określony w przepisach ksiąg mojżeszowych.

Nowy Rok żydowski przypada na pierwszy dzień siódmego miesiąca Tisri, według naszego kalendarza na koniec września. Księgi św. tak powiadają o tym dniu: «ma on być czczony i uświęcony. Żadnych prac służebnych w nim wykonywać nie wolno». Nowy Rok witano u żydów graniem trąb, stąd też i nazwa świąt noworocznych jest także świętem trąbek.

Wielkie znaczenie ma dzień noworoczny u Chińczyków. Jest on poprostu świętem narodowem ogromnego znaczenia. W tym dniu z całego «państwa niebieskiego» spieszą mandarynowie i wszelacy urzędnicy i dygnitarze do Pekinu, aby tu wraz z obfitymi podarkami złożyć czołobitność cesarzowi. Na podarki składają się przeważnie piękne konie, drogie kamienie i wspaniałe szaty. Po krótkiem nabożeństwie rozpoczyna się akt hołdu, po którego ukończeniu cesarz przyjmuje wszystkich uroczystą i obfitą ucztą. Zarazem w całym kraju Chińczycy obdarzają się wzajemnie podarkami i dla tego w Nowy Rok uważany jest za najszczęśliwszy, kto tych podarków najwięcej otrzymał.

U Turków Nowy Rok nie ma określonego czasu. Ponieważ miesiąc u nich zaczyna się od wejścia księżyca w pierwszą kwadrę, więc czas zaczęcia jest niestały. To też co 33 lat naszych, Turkom o jeden rok więcej przybywa.

Naznaczenie zaczęcia roku na 1-go stycznia sięga bardzo dawnych czasów. U Rzymian podanie opowiada, iż uczynił to drugi król Rzymski Numa, naznaczył on zaczęcie Nowego Roku na dzień bożka Janusa, który ma dwie twarze. Wyobrażano sobie bowiem, że bożek ten jedną twarzą spogląda w rok przeszły, a drugą w przyszły.

Nowy Rok obchodzono u Rzymian świętem bardzo hucznem tak zwanemi Saturnaliami — na które składały się wesołe zabawy i ucztowanie. Saturnalia zaczynały się kilka dni przed Nowym Rokiem. Rzymianie obdarowywali się wzajemnie z początku słodyczami lub monetami — potem za czasów pierwszych chrześcijan różnemi podarkami.

Później uroczystości te stały się tak wyuzdane, iż chrześcijanom nie wolno w nich było brać udziału.

U chrześcijan sobór w Tour (567) ustanowił, święto noworoczne na dzień obrzezania Chrystusa Pana, przypadający prawie równocześnie z Nowym Rokiem rzymskim; od XIV. wieku jednak dopiero ostatecznie sprawę uregulowano. A ze zwyczajów rzymskich przyjęliśmy jeszcze i to, iż w dzień Nowego Roku wzajemnie sobie życzenia składamy.

Ucieczka do Egiptu.

(Legenda).

Daleko na jednej z pustyń Wschodu rosła przed wielu laty palma niesłychanie stara i niesłychanie wysoka. Ktokolwiek przez pustynię wędrował, musiał stanąć i podziwiać ją, gdyż była o wiele wyższa, niż inne palmy. Zwykle mawiano o niej, że pewno przerośnie obeliski i piramidy egipskie.

Kiedy wielka palma stała tak sobie w samotności, patrząc w dal pustyni, ujrzała jednego dnia coś takiego, co sprawiło, że potężną koroną liści potrząsała ze zdziwienia na smukłym swym pniu. Tam od brzegu pustyni szło dwoje samotnych wędrowców. Byli jeszcze w oddalenia takiem, w jakiem wielbłądy mają pozór mrówek, jednak w każdym razie byli to ludzie. Ludzie obcy w pustyni, gdyż palma znała mieszkańców puszczy — mężczyzna i kobieta bez przewodnika, bez zwierząt jucznych, bez namiotu i bukłaków (worków skórzanych) na wodę.

— Zaiste — rzekła palma do siebie — ci ludzie przyszli tu, aby zamrzeć.

Palma rozglądała się wokół.

— Dziwno mi, że lwy się jeszcze nie stawiły — mówiła dalej — nie widzę żadnego. A i zbójców nie widzę na puszczy. Przyjdą pewnie jeszcze.

— Siedmioraka śmierć ich czeka — mówiła palma dalej.

— Lwy ich pożrą, węże zatrują, pragnienie ich zmoże, piasek zasypie, rozbójnicy ich zabiją, słońce ich spali i strach zniszczy ich do szczętu.

I usiłowała myśleć o czem innem. Los tych ludzi napełnił ją żałością.

Na całym obszarze jednak, który palma oglądnąć mogła, nie znajdowała niczego, czegoby od tysiąca lat nie była znała i oglądała na puszczy. Nic nie mogło przykuć jej uwagi. Musiała znowu zwrócić myśl do obojga podróżnych.

— W taki upał i w taki wiatr! — rzekła — wspominając tych najcięższych wrogów żywota — cóż to niesie ta kobieta na ręku? Zdaje mi się, że ci nierozsądni ludzie dziecko małe mają z sobą.

Palma, która, jak zwykle starzy, daleko widziała, nie myliła się. Kobieta niosła dziecko śpiące, z głową opartą na jej ramieniu.

— Dziecko nieodziane nawet dostatecznie — zauważyła palma. Matka zarzuciła swoją szatę na nie i tak je osłoniła. Musiała je w popłochu porwać z posłania i uciec z niem. Teraz rozumiem wszystko: Ci ludzie to zbiegi.

— Ale mimo to, ludzie nierozsądni — mówiła palma dalej.

Jeżeli ich jaki Anioł nie strzeże to woleli raczej poddać się wrogowi, niż uciekać w pustynię.

— Wyobrażam sobie, jak się to stało. Mąż stał przy pracy, dziecko spało w kołysce, niewiasta wyszła po wodę. Zaledwie dwa kroki uszła od drzwi, ujrzała nieprzyjaciół pędzących ku nim. Wpadła napowrót do chaty, porwała dziecko na ręce, krzyknęła na męża, aby szedł za nią i umknęła. Potem dniami całymi byli na wędrówce, bez chwili spoczynku. Tak, tak musiało to być, ale pomimo to powtarzam: jeżeli Anioł ich nie strzeże...

— Tak są wylękli, że nie czują znużenia, ani innych cierpień; ale ja widzę, jak pragnienie z oczu im świeci. Znam wyraz twarzy spragnionego człowieka.

I myśląc o pragnieniu, poczuła palma kurczowe drżenie, przebiegające jej wyniosły pień, niezliczone końce jej długich liści zwijały się, jakby trzymano je nad ogniem.

— Gdybym była człowiekiem — rzekła nigdybym — się nie odważyła iść przez pustynię. Bardzo odważny ten, kto tu przybywa, nie mając korzeni, sięgających w głąb do źródeł, które nigdy nie wysychają.

— Tu niebezpiecznie nawet dla palmy. Nawet dla takiej palmy, jak ja.

— Gdybym mogła im radzić — powiedziałabym: — wracajcie:

— Wrogi ich nie mogą być tak okrutne, jak pustynia. Może im się zdaje, że to łatwo żyć w pustyni. A ja wiem, jak to czasem trudno utrzymać się przy życiu. Pamiętam jeszcze z młodości, jak wicher całą górę piasku zwiał na mnie. Blizka byłam zduszenia. Gdybym mogła umierać, byłaby to moja ostatnia godziua.

I dalej głośno myślała palma, jak to bywa zwyczajem pustelników.

— Dziwnie melodyjny szum przebiega mą koronę — rzekła. — Końce mych liści drgają. Sama nie wiem, co mnie na widok tych ubogich wędrowców przenika. Ale ta smutna niewiasta tak jest piękną. Ona mi nasuwa wspomnienie o najszczególniejszem zdarzeniu mego życia.

I podczas gdy liście ciągle grały szemrzącą melodyę, rozmyślała palma, jak to niegdyś w dawnych czasach, gościło tu w pustyni dwoje świetnych postaci. Była to królowa Saby, a z nią mędrzec, król Salomon. Królowa wracała do swej krainy, król odprowadzał ją część drogi, tu się żegnali. Na pamiątkę tej chwili — rzekła królowa — kładę w ziemię pestkę daktylową i chcę, aby z niej palma urosła, która trwać będzie tak długo, póki w judejskiej ziemi nie powstanie król większy od Salomona. A mówiąc to, włożyła ziarno w ziemię, którą łzy jej zrosiły.

— Czemuż dziś właśnie przypominam sobie to wszystko? — pytała palma sama siebie. — Czyżby ta niewiasta tak była piękną, że mi przypomina najwspanialszą z koronowanych kobiet tę, na której życzenie urosłam i trwałam do dnia dzisiejszego?

— Coraz silniej szumią moje liście — rzekła palma — a granie to smutne, jak żałobny śpiew. Szumią, jakby wróżyły, że wkrótce ktoś umrzeć musi. Dobrze wiedzieć, że to nie mnie się tyczy, gdyż ja umrzeć nie mogę.

Palma przypuszczała, że szum żałobny jej liści wróży śmierć samotnym wędrowcom. Zapewne i oni sami sądzili, że ostatnia ich godzina się zbliża. Widocznem to było po

wzroku ich, jakim spoglądali w górę za przelatującymi sępami. Nie mogło inaczej być. Koniec się zbliżał.

Ujrzawszy palmę i oazę, przyśpieszyli kroku, aby poszukać wody. Kiedy jednak doszli, z rozpaczą padli na ziemię, gdyż źródło było wyschnięte. Znużona niewiasta położyła dziecko i usiadła, płacząc nad brzegiem źródła. Mężczyzna rzucił się obok niej i bił gwałtownie pięścią w suchą ziemię. Palma słyszała, jak oboje mówili o tem, że muszą umierać. Dowiedziała się także z ich rozmowy, że król Heród wszystkie dzieci od dwu do trzech lat wymordować kazał z obawy, iż oczekiwany wielki król żydowski może się pośród nich znajdować.

— Coraz potężniej szumią moje liście — myślała palma. — Biednym tym wędrowcom ostatnia bije godzina.

Słyszała jeszcze, że oboje obawiali się wilków. Mąż mówił, że lepiej było zostać i walczyć z żołdactwem, niżeli uciekać. Lżejszą śmierćby mieli.

— Bóg nas wspomoże — rzekła niewiasta.

— Jesteśmy opuszczeni między dzikiemi zwierzętami i wężami — rzekł człowiek, nie mamy jadła i napoju. Jakże nas Bóg wspomoże?

Rozdarł z rozpaczy szaty swe i twarz przycisnął do ziemi. Wszelaką stracił nadzieję, jako człowiek z raną śmiertelną w sercu.

Niewiasta siedziała, obejmując kolana rękoma. Wzrok jej wyrażał bezgraniczny smutek.

Palma czuła, że szum żałosny jej liści się wzmaga. Kobieta musiała dosłyszeć go także, gdyż podniosła głowę ku koronie tego drzewa, a zarazem mimowolnie podniosła w górę ramiona.

— O, daktyle, daktyle! — zawołała.

W głosie tak wielkie wyrażało się pragnienie, że stara palma rada była zmaleć do miary jałowca, żeby daktyle tak łatwo było można zrywać, jak głóg dzikiej róży.

Wiedziała, że z korony jej zwieszają się pęki owoców, ale jakżeby ludzie mogli się dostać na tak zawrotną wysokość.

Mężczyzna widział już, jak wysoko, niemożliwie do osiągniecia, daktyle wisiały. Nie podniósł nawet głowy.

Prosił jeno kobiety, aby nie domagała się rzeczy niemożliwej.

Dziecko jednak, oddane sobie, dreptało wokoło, zabawiając się źdźbłem i trawą, usłyszało, co matka mówiła.

Mały nie mógł sobie wyobrazić, że jego matka mogłaby nie dostać czegoś, czego sobie życzyła. Skoro tylko wspomniano o daktylach, zaczął pilnie oglądać drzewo. Dumał i rozmyślał, jakby tych daktyli dostać. Czółko jego zmarszczyło się prawie pod jasnemi kędziorami. Wreszcie uśmiech przemknął mu przez twarzyczkę. Znalazł sposób. poszedł do palmy, zaczął ją głaskać malutką rączką i rzekł słodkim dziecięcym głosem:

— Palmo pochyl się! Palmo pochyl się!

Ale cóż to się dzieje? Co to takiego? Liście zaszumiały, jak gdyby orkan je przeszył, a ogromny pień drzewa dreszcz po dreszczu przebiegał. Palma uczuła, że dziecko władzę ma nad nią. Nie mogła mu się oprzeć.

I pochyliła się wyniosła kolumna przed dzieckiem, jak się ludzie zazwyczaj przed książętami schylają. Ogromnym łukiem gięła się ku ziemi, tak nizko, że olbrzymia korona drżących liści zmiotła piasek pustyni.

Dziecko nie zdawało się ani zdziwione, ani zalękłe, z krzykiem radości zbliżyło się i obrywało grono po gronie z korony palmowej.

Gdy już sporo narwało, a drzewo zawsze jeszcze kornie leżało na ziemi, zbliżyło się znowu głaszcząc je i rzekło przenikłym głosem:

— Podnieś się palmo, podnieś!

I drzewo podniosło się cicho na swoim giętkim pniu, podczas gdy liście grały niby arfy.

— Teraz rozumiem, komu grają śmiertelną melodyę — rzekła stara palma do siebie, gdy znowu stała wyprostowana. — Nie tym ludziom one grają.

Mężczyzna zaś i kobieta klęczeli, wielbiąc Pana.

— Ujrzałeś trwogę naszą i odjąłeś ją od nas, Tyś mocarz, który pień palmy gnie, jak trzcinę chwiejącą. Jeśli moc twoja z nami, przed jakimże wrogiem drżeć możemy?

Kiedy następna karawana ciągnęła przez pustynię, ujrzeli podróżni, że korona dużej palmy uschła.

— Jakże to być może — rzekł jeden z wędrowców — wszakże ta palma miała twać tak długo, póki się nie doczeka króla, większego od Salomona.

— Może go się już doczekała — odparł drugi z podróżników.

Upiór.

(Opowiadanie powstańca).

Było to w roku 1863, w początkach powstania styczniowego. Śnieg kilkułokciowy, jaki pokrył ziemię, komunikacye częściowo poprzerywane, częściowo utrudnione, zawiesiły na jakiś czas walkę i pozwoliły odpocząć i przyprowadzić do porządku nasze siły zbrojne.

Oddział nasz stał obozem w głuchym lesie tuż przy szosie koło miasteczka.

Pobudowane z gałęzi i śniegu budy dawały nam dostateczne schronienie, żywności dostarczała okoliczna poczciwa ludność, opału nie brakowało — przygotowaliśmy się do walki z wrogiem.

W miasteczku stał załogą silny oddział wojska rosyjskiego, musieliśmy tedy czuwać bezustannie, ażeby nie napadnięto na nas niespodziewanie.

Na ćwierć mili wokoło rozciągnięte placówki i pikiety dzień i noc czuwały nad bezpieczeństwem obozu.

Miasteczko było zaledwie pół mili oddalone, a stary cmentarz leżał prawie tuż pod lasem. Ażeby więc nietylko przed niespodziewanym napadem zabezpieczyć się, ale mieć na oku i załogę rosyjską miasteczka, zaciągano wartę także na cmentarz.

Cmentarz, o którym mowa, tak zwany choleryczny, od dawnych lat zaniedbany, leżąc na pagórku, wznoszącym się ponad miejscowością, pomagał nam bardzo w obserwowaniu ruchów nieprzyjacielskich.

Wprawdzie obecnie trwało ciche zawieszenie broni, trzeba nam było jednak uważać na każdy, chciażby najmniejszy ruch ze strony nieprzyjacielskiej.

Stąd przy zaciąganiu posterunku na cmentarzu, najbardziej wysuniętym punkcie naszego obozu, wszedł w uży-

wanie zwyczaj stawiania tamże podwójnych straży i zmieniania ich tylko co sześć godzin. Tak wysłanie, jak zaciąganie wart odbywało się tylko w nocy, w największej tajemnicy, przed świtem zaś ściągano je napowrót.

Przeznaczeni do czuwania pod gołem niebem, na zupełnie odkrytem miejscu, przez sześć godzin dostawali tak zwane gromadzkie długie kożuchy i rodzaj drewnianych, sianem dobrze wyłożonych sabotów.

Służyłem przy kosynierach, przyszła i na mnie kolej warty. Ubrany w długi po kostki tołub, ruszyłem w towarzystwie starego Litwina, uzbrojonego w odwieczną muszkietę, na wysunięty posterunek.

Wiatr, pomimo kożuchów, dokuczał nam srodze, przejmując nas do szpiku kości, musieliśmy więc zejść z wyżyny, ażeby w fosie cmentarnej, trochę krytej od przeciągów, ogrzać skostniałe członki.

Skuleni, przytulilśmy się jeden do drugiego, spoglądając bacznem okiem dokoła.

Naraz przytłumiony jęk wydobył się z piersi, a przed nami, jak gdyby z pod ziemi, wyrosła olbrzymia biała postać. Postępując naprzód nasypem, wysoko nad nami położonym, zaczęła się do nas przybliżać.

Litwin uderzył mnie w bok, szepcząc; — Patrz upiór!

— Widzę — odpowiedziałem.

— Upiór! upiór! — szeptał Litwin i zaczął się po cichu modlić. Ja, również przerażony niespodziewanem zjawiskiem, zachowałem się cichutko, wyczekując, co dalej będzie.

Widmo zbliżyło się do nas już na kilka kroków, chwila tylko — a zostaniemy odkryci.

Wtem księżyc wyjrzał z poza chmur.

Z przemijającym promykiem, dostatecznym do poznania zjawiska, odrzuciłem tołub daleko od siebie, jednym skokiem byłem przy upiorze i ostrą, obosieczną kosę przyłożyłem mu do piersi.

Aż tu zaskoczony strach wykrzyknął po rusku: «Pardon! pamiłój bratiec!» i padł na kolana, rzucając spory tłumok, który niósł na plecach, przed siebie.

Na te słowa przybiegł mój kolega, związaliśmy dobrze upiora i czekaliśmy z niecierpliwością zmiany.

Nie czuliśmy już więcej zimna, przeniosło się ono do upiora, który za nas teraz dzwonił zębami, pomimo, że był dostatniej od nas ubrany.

Gdy nadszedł czas zejścia z posterunku i stanęliśmy wraz z upiorem i jego tłumokiem przed dowódzcą, tajemnica wyjaśniła się natychmiast. Strach, w białym, długim płaszczu, był to dragon rosyjski z miasteczka, który okradł miejscową cerkiewkę, a nie wiedząc o naszej placówce, przybył na cmentarz, aby tam łup swój ukryć.

Zawieszenie broni, chociaż nieurzędowe, dało nam sposobność zrobienia przysługi komendantowi nieprzyjacielskiej kolumny.

Przez pierwszą, przejeżdżającą gościńcem furę, odesłał naczelnik związanego dragona wraz z tłumokiem i grzecznym listem do miasteczka, prosząc w zamian o wydanie ujętego niedawno do niewoli polskiego powstańca.

Przysługa za przysługę! Lecz szlachetny pułkownik carski, komendant obserwujący nasze kolumny, nie poczuwał się do obowiązku i przemógłszy nas niezadługo potem w krwawej bitwie, kazał biednych jeńców mordować.

Człowiek wszystko potrafi, jeżeli tylko chce.

Sławny Cambronne, jeden z najdzielniejszych jenerałów cesarza Napoleona I., począł swój zawód wojskowy od najniższych stopni. W roku 1765 był on jako kapral czyli podoficer w Nantes, licząc ledwo 20 lat. Ognista krew płynęła w żyłach jego, a ponieważ Cambronne nadmiernie kochał trunek, łatwo pojąć można, że nieraz sobie pozwolił rzeczy, które rychlej, abo później zaprowadzić go musiały do nieszczęścia.

Rzeczywiście w stanie pijanym niegdyś się tak dalece zapomniał, że oficera, dającego mu rozkaz, uderzył w twarz. Stawiony przed sąd wojenny, wedle ostrego prawa, skazany został na śmieć. Lecz pułkownik jego pułku, który dobrze znał dzielność, odwagę i rozum ska-

zanego, wysilał się jak mógł, aby go od śmierci uratować. Na błaganie pułkownika darowano Cambronne'owi życie, lecz pod tym warunkiem, żeby się już nigdy nie upił.

Z ułaskawieniem swego podwładnego podoficera w kieszeni, pułkownik udał się do więzienia do skazanego. Gdy Cambronne ujrzał swego pułkownika, wzruszony rzekł:

— Wiem, panie pułkowniku, wielce uchybiłem. Zapłacę za to życiem. Prawa wojenne są ostre. Nie mogę się spodziewać ułaskawienia. Muszę umrzeć.

— Przyjacielu — powiedział pułkownik — nie musisz umrzeć. Przynoszę ci ułaskawienie. Kara twoja jest darowana, jesteś zaś moim podwładnym oficerem, ale pod warunkiem, że się już nigdy nie upijesz.

Cambronne zdziwiony patrzył na pułkownika, ale spuściwszy głowę, zatrwożony odpowiedział:

— Tego nie mogę, za wiele kocham flaszkę... Gdy pocznę pić, przestać nie mogę.

— Ale... — mówił pułkownik — wyrzec się musisz i wina.

— To trudne — powiedział podoficer — co mi pan radzi, żadnego wina już nie pić, ani kropelki wina, nigdy już nie pić. A chociażbym to obiecał, któż mi ręczy, że tego dotrzymam?

— Twoje słowo honorowe ręczy za to — odpowiedział pułkownik. — Znam cię dobrze. Jeżeli raz dasz słowo honorowe, to wiem, że go nie złamiesz.

To zaufanie dobry wpływ na Cambronne'a wywarło. Podniósłszy rękę, rzekł:

— Pan Bóg nas słyszy, przysięgam, że już wina, ani wódki, ani piwa pić nie będę, że nigdy w życiu ani kropelka wina nie przejdzie przez usta moje. Czy teraz pan pułkownik kontent?

— Doskonale przyjacielu! była odpowiedź wielce rozradowanego pułkownika. — Jutro będziesz wolny. Bądź dobrym żołnierzem, a poświęć ojczyźnie życie, które ci dziś darowała.

W 25 lat Cambronne został jenerałem. W bitwie pod Waterloo komenderował starą cesarską gwardyą i przy cofaniu się był okazał owe pamiętne bohaterstwo, które

dziś jeszcze jest na ustach ludu francuskiego. Po upadku cesarstwa, opuściwszy służbę, spokojnie żył w Paryżu, od wszystkich szanowany i miłowany.

Dawniejszy jego pułkownik, któremu wiek i trudy wojny wielce były dokuczały, także był opuścił służbę. Pewnego razu, długo nie widząc jenerała, zaprosił go na obiad. Na cześć jego zaprosił też i innych towarzyszów wojny. Miejsce honorowe było przeznaczone dla Cambronne'a.

Podczas obiadu pułkownik swemu gościowi nalał kielich bardzo starego wina, które troskliwie chował, a tylko przy nader wielkich uroczystościach wyszukiwał.

— Cóż pan chce? — wołał jenerał rozdrażniony.

— Wyborne wino! — spokojnie odpowiedział pułkownik.

— To wino już sto lat stare. Pewnie takiego nie można już znaleść w Paryżu. Niech pan skosztuje, a przekona się o prawdzie słów moich.

Tedy Cambronne powstał, uderzył w stół gniewnie i zawołał:

— Co ja kosztować miałbym tego wina, pułkowniku?... a moje słowo honoru, a moja przysięga? Czy pan zapomniał o tem, albo co pan myśli o mnie? Od owej chwili żadna kropelka wina nie przeszła przez usta moje. Przysięgałem, a słowa mego dochowałem.

Zaprawdę, człowiek wszystko potrafi, jeżeli tylko chce. Jak dobrąby to było rzeczą, gdybyś i ty Szanowny Czytelniku, dochował słowa, któreś dał Panu Bogu.

Przypomnij sobie jenerała Cambronne'a. Wszystko potrafisz, jeżeli tylko chcesz.

O ogniu we wnętrzu ziemi.

(Pogawędka naukowa).

Każdemu z nas wiadomo, jak wielkiem dobrodziejstwem jest ogień, jaki to żywioł dobroczynny, bez którego nie moglibyśmy się obejść na tej ziemi. Ale nietylko

na powierzchni ziemi mamy ogień — znajduje on się także we wnętrzu kuli ziemskiej.

Ten ogień jest także dobrodziejstwem Opatrzności, bo gdyby on ziemi wewnątrz nie ogrzewał, natenczas wszystko: ludzie, zwierzęta i rośliny — zmarzłoby od zimna, pomimo najsilniejszego działania słońca. Ogień ten jest wielki, tak straszny, że roztapia wszelkie kruszce i metale i zamienia je na ogniopłynną masę.

Może ktoś zapyta, skąd ludzie wiedzą, że w środku ziemi jest ogień? Otóż dowiedzieli się tego najpierw stąd że im głębiej zapuszcza się w ziemię, tem jest goręcej w bardzo głębokich kopalniach dla gorąca trudno nawet pracować. Ale najwyraźniej istnienia tego ognia dowodzą góry wyrzucające ogień zwane wulkanami. Wulkanów wielkie mnóstwo znajduje się na świecie, a przez otwór u góry, zwany kraterem, wyrzucają: ogień, dym, popiół, kamienie i roztopioną lawę, to jest gęstą, płynną, rozżarzoną masę, podobną do szkła stopionego, która wypełnia skorupę ziemską. Jakkolwiek wulkany są straszne i wiele zniszczenia wyrządzają na świecie, są jednakże cudem miłosierdzia Bożego, są jakby kominami, przez które zbytek rozpalonej lawy uchodzi, a wielkie pary wodne ulatniają się w powietrze. Szalejąca bowiem w łonie ziemi burza ognista wytwarza dym i różne wyziewy, a przesiąkająca woda, zamienia się w parę i nagromadza w takie ilości, że mogłaby skorupę ziemi rozsadzić, jak to się zdarza w kotłach machin parowych — jeżeliby sobie ujścia nie znalazła. Otóż właśnie do tego służą wulkany.

Często te pary wodne i dymy, zanim się na wierzch wydostaną, wstrząsają skorupę ziemską (jak para unosi pokrywę w garnku) i siąd powstaje trzęsienie ziemi, o którem coraz to słyszymy, lub czytamy, a które czasem bywa tak silne, że domy, kościoły i całe miasta rozsypują się w gruzy, lub w ziemię zapadają.

Gdy wulkan jest spokojny, (n. p. Etna, największy wulkan w Europie, znajdujący się na wyspie Sycylii), a powiew wiatru odrzuci na bok wyziewy z jego paszczy buhające i pozwoli zajrzeć do wnętrza — to wówczas oczom ludzkim przedstawia się otchłań bezdenna, przerażająca swą głębokością. Słychać tam głuchy, a groźny szmer, po-

dobny do dychania śpiącego potwora. Niekiedy podnoszące się lawy oświecają otchłań krwawym blaskiem ognia i zabarwiają wychodzące z niej dymy i pary. Jak do bram piekła, każdy się tu zbliża ze strachem i drżeniem. Ale któż opisze wrażenie, jakie sprawia wybuch wulkanu? Jest to widok śliczny, wspaniały, ale zarazem okropny, przerażający.

Nim nastąpi wstrząśnienie, daje się słyszeć pod ziemią głuchy grzmot. Grzmot ten znają już w pobliżu mieszkający, albo z opowiadania, albo z doświadczenia. To też trwogą i rozpaczą przejmuje on wszystkich. Kto może, to ucieka, zostawiając swe mienie na zagładę. Bydło nawet i zwierzęta wszelkie uciekają w popłochu, na oślep i nie dadzą się żadną siłą zatrzymać. Tymczasem grzmot podziemny powtarza się, chmury popiołu rozpalonego wydobywają się z krateru, a bywają tak gęste i ciemne, że zasłaniają niebo i z dnia robi się noc. Popiół ten gorący zasypuje sąsiednie pola, łąki, winnice, ogrody i t. d. Pali liście na drzewach i zasiewy wszelkie; w mgnieniu oka zielone niwy na dziką zmienia pustynię. Parzy i dusi uciekających, muszą się przed nim poduszkami zasłaniać, ale biada temu, kto potknie się i upadnie, choć i wszystkim ucieczka jest trudna.

Po głuchych grzmotach nagle słychać huk straszliwy i na szczycie góry ukazuje się słup ognia, a niebo całe staje jakby w płomieniach. Jednocześnie z krateru wylewa się rozpalony strumień lawy, która gorzej, niż ogień, gorzej niż wezbrana rzeka, a nawet rozhukane morze, pustoszy okolicę; niczem jej wstrzymać nie można, niczem się od niej zasłonić

Nad paszczą ziejącego ogniem wulkanu, z którego bucha rozżarzona lawa, wznoszą się olbrzymie kłęby dymu i pary, a z nich co chwila biją pioruny, świecą błyskawice i grzmot się straszny rozlega. Ach! to żarzące światło obok ciemności nocy, ten ogień topiący kamienie, ta powódź lawy, rozlewająca się na wsze strony, ten huk przeraźliwy, jakby walących się gór; — wszystko to ogarnia naprzemian i zdumieniem i przerażeniem niewymownem i zmusza człowieka, aby się ukorzył przed Bogiem, wobec

obrazu potęgi, której On sam tylko rozkazuje i sam nad nią ma panowanie.

W roku 79 po Narodzeniu Chrystusa Pana wulkan we Włoszech południowych, Wezuwijusz, wyrzucił z siebie tyle lawy, że strumień stąd powstały miał 20 do 30 metrów głębokości. Straszny ten ogrom wrzącej masy zalał zupełnie kwitnące podówczas miasta Herkulanum i Stabie, że znikły na zawsze z powierzchni ziemi. Trzecie miasto Pompei zasypane było popiołem i pokryte tak grubą warstwą mułu, że też o powrocie do niego myśleć nie było można. Śladu po nim nie zostało, z czasem pokryły je znowu sady i winnice, bo ziemia użyźniona popiołem jest bardzo urodzajna. Dopiero przed stu laty odkryto szczątki nieszczęsnego miasta i odtąd umiejętni robotnicy odkopują i wydobywają całe budynki, posągi, malowidła, sprzęty domowe, ozdoby i t. d., które pokazują, jak ludzie żyli i co posiadali w starożytności.

Krótka historya kościoła Grobu Matki Bożej w Kalwaryi Zebrzydowskiej.

Mikolaj Zebrzydowski po ufundowaniu Kalwaryi zamieszkał na górze Lanckoronie, z której widział często wieczorem wraz z swoją małżonką Dorotą na dolinie koło rzeczki wówczas Skawinką, a obecnie «Cedronem« zwanej, ognie i światła migające, — zamyślał więc na tej dolinie na wzór Jerozolimy wystawić kościółek Grobu Najświętszej Maryi Panny.

Ale jak tu stawiać wielki kościół, skoro dolina bagnista — fundamenta nie utrzymają ciężaru kościoła; — mimo to za poradą inżynierów ówczesnych poczęto w roku 1611 kłaść fundamenta pod kościół Grobu Matki Bożej. Pierwotna budowa z roku 1611 była o połowę niższa od dzisiejszej i raczej do grobu, aniżeli do kościoła podobna. Jedno maleńkie okienko ledwie tyle dawało światła, że można było widzieć kapłana Mszę św. odprawiającego. Dwoje małych drzwi obrócono na północ i zachód. Budowę ukończono w roku 1615.

Po śmierci Mikołaja Zebrzydowskiego w roku 1620, syn jego Jan, który był całkiem rozmiłowany w Kalwaryi, ustawicznie coś stawiał i budował na Kalwaryi, rozmyślając nad tem, czegoby jeszcze nie dostawało. Najprzód zabrał się do kościółka Grobu Matki Boskiej na dolinie «Jozafata» wystawionego. Kościółek ten niski, jak grób zmurowany a ciemny, od pierwszej chwili zupełnie mu się nie podobał, ale nie chciał ojcu swemu Mikołajowi w budowie się przeciwić. I teraz nawet po śmierci Mikołaja



Kościół „Grobu Najświętszej Maryi Panny w Kalwaryi Zebrzydowskiej" założony w roku 1611 przez Mikołaja Zebrzydowskiego.

przez cześć, jaką żywił dla pamięci rodzica swego, nie byłby żadnych zmian czynił, ale okoliczności różne same go do tego zmusiły.

Może trochę wskutek błędów architekta przy zakładaniu popełnionych, a bardziej jeszcze z powodu grzęskiego a bagnistego gruntu w tem miejscu, kościółek Grobu Matki Boskiej na pilotach dębowych stojący tak silnie się zarysował, że groził zawaleniem. Wzmocniono tedy kościółek Grobu Matki Boskiej dokoła nowemi murami z ciosu, które w kształcie szkarp podparły i wzmocniły dawne mury. Kościół cały podwyższono o drugie tyle, a przed

głównemi drzwiami zbudowano lekki na filarach z ciosu babiniec z kopułą; w pewnym odstępie przed kościółkiem Grobu Matki Boskiej stanęła kamienna balustrada z figurami świętych Apostołów, którzy nieśli ciało Maryi po śmierci Jej do grobu na dolinę Józafata, który to grób murowany jeden z przyjaciół dla ciała Maryi w Jerozolimie odstąpił, jako Józef z Arimatei odstąpił swój grób dla ciała Pana Jezusa.

Babiniec ten z kopułą ma być na Jubileusz 300-letni zupełnie odrestaurowany i miedzianą blachą pokryty, a na balustradzie przed kościołem Grobu Matki Bożej ma być wystawiona grota na wzór groty w Lourd, jako pamiątka 300-letniego jubileuszu założenia Grobu Matki Boskiej przez Zebrzydowskiego fundatora.

Grób Matki Boskiej w roku 1611 rozpoczęty, zaraz z początku Swego istnienia zaczął słynąć łaskami i cudami. Tutaj chorzy bywali za przyczyną Maryi uzdrowieni, smutni bywali pocieszeni, nieszczęśliwi doznawali ulgi i pociechy (jak o tem wspomina kronika klasztorna od roku 1602 prowadzona przez zakonników) — tak, że kościółek Grobu Matki Boskiej zasłynął daleko i szeroko— a budowę tego kościółka grożącego ruiną przemienił Jan Zebrzydowski w bardzo ładnie pomyślane dzieło architektoniczne. Przedewszystkiem, aby trwale wzmocnić mury, które się zaczęły rysować, bito naokoło pale dębowe z powodu grzęskiego i bagnistego w tem miejscu gruntu; na tych palach położono bardzo silne fundamenta ciosowe pod nowe szkarpy kamienne i nowy pancerz ciosowy, którym opasano stare mury, czem tak dalece je wzmocniono, że można już było śmiało podnieść dawne ściany kościoła o drugie tyle, oświetlić je należycie oknami i zasklepić.

Potem zabrał się Jan Zebrzydowski do wewnętrznego urządzenia. Poziom absydy został bardzo znacznie w górę podniesiony, i wstępowało się do niej po siedmiu marmurowych schodach, zajmujących całą szerokość kościoła, natomiast poziom kościoła został taki sam, jak dawniej. W samym środku absydy wystawiono niską kaplicę sklepioną na właściwy «Grób Matki Bożej» i tu stanął ołtarz, na którym spoczywa trumienka pozłacana z figurą Matki Boskiej.

Tę kapliczkę grobową pani Helena Dziaczko z Królestwa Polskiego swoim kosztem za czasów Rezydenta O. Stefana Podworskiego w roku 1905 kazała odmalować i ozdobić dwoma pięknymi Aniołkami obok trumienki klęczącymi. Inna pani zaś z Górnego Śląska ozdobiła ołtarz pięknem złocistem antipedium z napisem: «Królowo Korony Polskiej módl się za nami». W tej kapliczce Grobu odprawia w każdą sobotę O. Rezydent Mszę św. a wejście do tej kapliczki Grobu jest bardzo niskie, tak, że wchodząc do niej, dobrze schylić się potrzeba, bo to wejście do Grobu.

Z frontu tej kapliczki. przez okno zaopatrzone piękną złotą kratą wpada do tej kapliczki grobowej odrobina światła, lecz bardzo nie wiele, tak, że właściwie wieczny grobowy mrok tu panuje. Tutaj często Rezydent Grobu zwłaszcza w soboty odprawia Mszę św. Poza tą kapliczką po prawej stronie jest piękna starożytna ambona, przedstawiająca, jak z ziemi wyrastają latorośle winnej macicy — dzieło rzeźbiarza z XVII. wieku — a dalej ołtarz boczny z obrazem starożytnym Pana Jezusa miłosiernego «Ecce homo», dar to rodziny Zebrzydowskich. Po lewej stronie ołtarz z obrazem Zwiastowania Najświętszej Maryi Panny.

Dalej przy półkulistej ścianie absydy są wąskie schody marmurowe, które prowadzą, jakby na pierwsze piętro, a właściwie do górnego kościoła Wniebowzięcia — bo na dole jest kościół Grobu a na górze kościół Wniebowzięcia, a więc jeden kościół nad drugim. W środku górnego kościoła wznosi się wysoki ołtarz wielki, z figurą starożytną a silnie złoconą, z drzewa wykonaną, Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny — a po obu stronach ołtarza wielkiego są dwa małe ołtarze z pięknymi obrazami: pierwszy przedstawia Narodzenie Pana Jezusa w stajence Betlejemskiej i pokłon pasterzy, a drugi przedstawia pokłon Trzech Królów.

Dokoła kościoła w tejże samej wysokości obiega piękna i dość szeroka galerya, pokryta rzeźbą i obrazami, przedstawiającemi życie Najświętszej Maryi Panny od Narodzenia Jej aż do Wniebowstąpienia. Twórca tych obrazów pięknych jest nieznany. W framugach okien, w zakrystyjce za wielkim ołtarzem i na ścianach w pobliżu

ołtarzy są piękne boazerye, to jest obicia ścienne z drzewa modrzewiowego w desenie pięknie układanego — całość urządzenia tego kościoła jest nadzwyczaj wdzięczna a piękna, tak, że zwiedzający ten kościół podziwiają gust tej budowy starożytnej.

Dodajmy dalej bardzo piękne, chociaż częściowo zniszczone malowanie sklepienia i górnych ścian kościoła, a będziemy mieli bodaj słabe wyobrażenie o piękności tego miejsca.

Żadne opisy nie odtworzą wrażenia, jakie ten kościół Grobu Matki Bożej sprawia; trzeba tu na Kalwaryi Zebrzydowskiej być osobiście i naocznie się przekonać.

Wnętrze kościoła, zwłaszcza dolnego, wymaga umiejętnej restauracyi, gdyż to, co w dawnych czasach między rokiem 1860 a 1870 zrobiono, zwłaszcza malowanie dolnego kościoła, raczej zepsuło, niż dawny stan naprawiło. Dlatego też klasztor kalwaryjski w porozumicni się z konserwatorami zabytków starożytnych polecił na mocy zezwolenia O. Prowincyała zakonu, by Rezydent dotychczasowy tego kościoła Grobu Matki Boskiej zbierał dobrowolne ofiary od ludu pobożnego na gruntowne odrestaurowanie sławnego kościółka z powodu zbliżającego się jubileuszu 300 letniego założenia Grobu Matki Boskiej w roku 1911, w sierpniu na Kalwaryi odbyć się mającego.

Przy głównych drzwiach tego kościoła zbudowano w XVII. stuleciu od zewnątrz bardzo udatny, a lekki babiniec sklepiony, cały z ciosu zdobionego rzeźbą piękną. Na sklepieniu tego babińca są piękne malowidła z XVII. wieku, przedstawiające, jak pątnicy różnych narodowości w strojach swoich spieszą na odpusta kalwaryjskie z krzyżem na czele wśród chorągwi kościelnych. Dach tego babińca przez ząb czasu jest pognity, a na jubileusz bieżący ma być pokryty blachą miedzianą, jeżeli czciciele Grobu Matki Bożej klasztorowi ofiarami łaskawemi dopomogą. Kościół naokoło był dotychczas w pewnym odstępie od ścian otoczony murem, który od frontu kościoła tworzy ładną balustradę kamienną z dwunastoma filarami i stojącymi na nich posą-

gami dwunastu Apostołów, a między filarami sztachety żelazne.

Na jubileusz nadchodzący zburzono już mury zniszezone zębem czasu naokoło kościoła Grobu Matki Bożej, a zamiast murów będzie parkan ozdobny kratami żelaznemi otoczony, co kilka metrów filary kamienne. Na dolinie Józafata obok balustrady kamiennej jest obfite źródło wody; tutaj też zamierza podpisany Rezydent Grobu Matki Bożej, w porozumieniu z władzą zakonną wystawić grotę na wzór w Lourd jako pamiątkę jubileuszu 300-letniego założenia kościoła Grobu Matki Boskiej. W tym też celu kazał odbić obraz, przedstawiający, jak Apostołowie niosą ciało Maryi do grobu na dolinę Józafata w Jerozolimie, skąd Najświętsza Marya Panna dnia trzeciego z ciałem i z duszą przez Aniołów do nieba wziętą została, a czysty zysk z tychże obrazów przeznaczony jest na restauracyę Grobu Matki Boskiej oraz na urządzenie groty na wzór w Lourd.

W pierwszych początkach założenia Grobu Najświętszej Maryi Panny nie mieszkał tutaj kapłan, tylko w każdą sobotę przyjeżdżał z klasztoru ze Mszą św. zakonnik, ale od rok 1660 mieszka stale kapłan zakonnik ze socyuszem Braciszkiem, jako stróż Grobu, a to z następującego powodu, jak czytamy w książce ks. Franciszka Dzielowskiego, kaznodziei w Kalwaryi pod tytułem: «Drogi Kalwaryjskie:»

«Gdy Wielebny Ojciec Jacenty Stradomski Prowincyał natenczas Polski, zjeżdżając tu na Kalwaryę z Bochni w roku 1660 na wizytę kanoniczną, którego gdy noc około Lanckorony zapadła, gdzie spuściwszy się z góry i mijając Grób Najświętszej Panny spostrzeże w kościele Grobu wielki ogień, każe skoczyć Ojcu Sekretarzowi, a socyuszowi swojemu, coby to było, obawiając się, jeżeli Tercyan (Braciszek zakonny), który tam mieszkał w domu przy kościele nieostrożnie co z ogniem postąpił; przyjdą tedy oni do kościoła Grobu, obaczą, że drzwi zamknione i tylko przez szpary zaglądają do kościółka Grobu i zobaczą, że po ołtarzach wszystkich świece zapalone goreją, dopiero pukają i wołają na Braciszka tam mieszkającego

aby wstał i świece pogasił! Gdy Braciszek przyszedł, by otworzyć kościół, światła same pogasły.

«Gdy nad tem zjawiskiem radzono na wizycie Prowincyonalskiej, inkwizycyą robi Ojciec Prowincyał i dowiaduje się, że często w tym kościele i na tej dolinie Józafata światła i zjawiska podobne się ukazują, a Pan Bóg to miejsce Matki Bożej objaśnia, wtedy O. Prowincyał postanowił, aby w Grobie tym dwóch kapłanów zawsze mieszkało, aby ci kapłani nabożeństwo codziennie odprawiali, aby codziennie przy Grobie Matki Boskiej chwała Boża pomnażała się przez różaniec i koronki, które ludzie okoliczni mają z kapłanami śpiewać.

«Dalej zarządził, aby w Grobie Matki Boskiej w każdą sobotę litanię do Matki Bożej śpiewano, a kto będzie w sobotę na tych nabożeństwach obecnym i litanię w sobotę na cześć Maryi odmówi lub odśpiewa — odpustów od Stolicy Apostolskiej dla Grobu Matki Boskiej nadanych dostąpi, które to nabożeństwo i przy Grobie Pana Jezusa na górze Kalwaryi początki swoje bierze i tam na górze Kalwaryi przy Grobie Pana Jezusa ma być dwóch kapłanów ustanowionych jako stróżów, którzy mają mieć ustawioną rezydencyę u Grobu Matki Boskiej na dolinie Józafata i na górze Kalwaryi u Grobu Pana Jezusa ku chwale tego miejsca świętego i tak uchwaliła kapituła zakonna w roku 1660 odbyta».

Obecnie zaś z powodu braku kapłanów zakonników tak przy Grobie Matki Boskiej, jako też przy Grobie Pana Jezusa bywa tylko jeden kapłan jako Rezydent i stróż Grobu, ma tylko do pomocy socyusza czyli Braciszka zakonnego.

W kościele Grobu Matki Boskiej są trzy stacye dróżek, to jest: pierwsza w dolnej części kościoła na dolinie Józafata pożegnanie się Pana Jezusa z Matką przed pójściem do Ogrójca, druga stacya Pogrzebu Matki Boskiej, gdy Apostołowie ciało Maryi do Grobu składają, a trzecia stacya, gdy Aniołowie Najświętszą Maryę Pannę dnia 15-go sierpnia z ciałem i duszą do nieba biorą.

Przy Grobie Matki Bożej na Kalwaryi odbyła się w roku 1887 koronacya Obrazu cudownego Maryi, który z kaplicy w kościele przeniesiono na trzy dni do Grobu Najświętszej Maryi Panny, gdzie ś. p. ks. Kardynał Albin

Dunajewski w otoczeniu trzech Biskupów włożył korony złote na głowy Maryi i Dieciątka Jezus na mocy dekretu Stolicy Apostolskiej z dnia 10-go marca 1887 roku.

W Grobie Matki Boskiej odbyła się też solenna pamiątka 300-letniego jubileuszu założenia świętej Kalwaryi w obecności siedmiu Biskupów i ludu pobożnego, którego liczono wtedy na pół miliona, a gdy Bóg pozwoli w roku 1911 w sierpniu w Grobie Matki Boskiej na Kalwaryi odbędzie się uroczystość jubileuszowa 300-letniej rocznicy założenia kościoła Grobu Maryi oraz poświęcenia pamiątkowej Groty na wzór w Lourd. Uroczystość ta będzie wielka, na którą podpisany Rezydent wszystkich czcicieli Maryi jak najgoręcej zaprasza.

Ks. Stefan Podworski,

Rezydent Grobu Matki Boskiej, Definitor Zakładu św. Franciszka ozdobiony orderem Ojca świętego »Pro Ecclesia et Pontfice«.

Okręty — olbrzymy.

Pierwsze miejsce wśród olbrzymów okrętowych zajmowały dotychczas dwa statki angielskiej linii Cunarda mianowicie «Lusitania» i «Mauretania». Okręty te mają w długości po 244 metrów, a siłę po 70 tysięcy koni.

Budziły one zazdrość marynarki handlowej niemieckiej, która mimo usiłowań nie mogła doścignąć ich ani co do wielkości, ani co do szybkości.

Obecnie przybyły Anglii dwa nowe olbrzymy, zbudowane przez linię White Star i nazywające się «Olympie» i «Titanic». Długość każdego z tych okrętów wynosi 269 metrów, szerokość 28 metrów, głębokość przeszło 19 metrów, wysokość od pałuby do mostka kapitańskiego 31 metrów.

Maszyny mają siłę 36 tysięcy koni, ale szybkość większą od szybkości «Lusitanii» i «Mauretanii».

W listopadzie roku zeszłego spuszczono te olbrzymy na wodę. Zaznaczyć jeszcze trzeba, że jeden i drugi okręt

pomieścić może 2.490 osób, w tem 730 podróżnych pierwszej klasy, 560 drugiej, 1.200 trzeciej.

Do tego przybywa 63 oficerów okrętowych, 322 ludzi załogi, 471 służby, razem 3.436 głów. Łodzi ratunkowych jest 16 na każdym okręcie, a każda łódź zdoła pomieścić 60 pasażerów, wreszcie na statku mieści się pływalnia i kąpiele urządzone z wszelkiemi dogodnościami.

Cesarz kłusownikiem.

Cesarz Franciszek Józef był i jest zapalonym myśliwym i na polowanie rad się wymykał w skromnym mundurze oficera.

Pewnego razu, w towarzystwie jednego tylko adjutanta, wybrał się w Styryi na polowanie i zaszedł na cudzy teren, nie wiedząc naturalnie o tem; spotkał się oko w oko z właścicielem posiadłości, który oburzony tem zuchwalstwem, chciał obu oficerom zabrać broń. Cesarz oświadczył, że poczuwa się do winy i pragnie ją nagrodzić, ale broni nie odda. Szlachcic do żywego oburzony, zawołał:

— Cóż to, żyjemy w Azyi, czy w Afryce, ażeby pierwszemu lepszemu, dlatego, że nosi mundur, wolno było polować na obcym gruncie?...

Kto pan jesteś, panie oficerze?... Proszę o nazwisko!

— Moje nazwisko? — Franciszek.

— Proszę o imię.

— Na imię mi Józef.

— Dobrze, panie Józefie Franz, bądź pan przekonany, że o polowaniu tem dowie się Cesarz. Będę skarżył!

— Słusznie! Że zaś ja jadę do Wiednia, mam służbę przy dworze, proszę mi oddać skargę, a ja sam doręczę.

Szlachcic, przekonany o słuszności swej sprawy, oburzył się na słowa. które brzmiały mu w uchu, jak kpiny. Poczerwieniał więc, jak burak i wezwał obu oficerów, aby poszli do wsi i złożyli tam protokół.

Urząd gminny mieścił się w domu szlachcica, poszli więc obaj oficerowie za jegomością i złożyli protokół. Tymczasem gościnna jejmość, nie wiedząc, co się stało, a widząc dwóch obcych oficerów, przygotowała spiesznie przekąskę i przyszła prosić wszystkich na śniadanie...

Wobec tego oprzytomniał zirytowany szlachcic. Prawo prawem, a gościnność gościnnością. Więc rad nie rad, powtórzył zaproszenie żony, a oficerowie zaproszenie przyjęli...

Gdy wchodzili do pokoju jadalnego, wyszła właśnie służąca z małym dzieciakiem.

— O! jaki śliczny aniołek — zawołał oficer kłusownik — zapewne niedawno przybył z nieba.

Matka zapłoniła się i spojrzała na oficera przyjaźnie, ale ojciec, wzburzony jeszcze, rzekł:

— Właśnie na chrzest tego aniołka chowałem głuszca, któregoś pan zabił. Ale dosyć już o tem. Proszę na przekąskę.

Oficerowie energicznie zabrali się do jedzenia, a wino styryjskie i wesoła rozmowa rozjaśniła twarz szlachcica.

Dosyć, że w pół godziny później oświadczył, iż uważa całe wydarzenie jako niebyłe — i do Cesarza skargi wnosić nie będzie.

— Dziękuję panu! — rzekł młody oficer. — Przyznam się panu, że byłem w obawie, gdyż Cesarz w takiej sprawie żartów nie zna. Jednak, by na zawsze usunąć owo nieporozumienie, proszę mi pozwolić, ażebym się wprosił na chrzesnego ojca tego małego.

— Przyjmuję z wdzięcznością propozycyę — zawołała pani.

Pan był mniej zadowolony i rzekł:

— Kto wie, czy pan porucznik będzie miał czas wolny? Służba — nie drużba.

— Ale z całą pewnością uwolnię się w tym dniu... Kiedyż chrzest.

— W przyszłą niedzielę.

— Wybornie. A będęż miał kumę?

— Ależ tak! — zawołała pani. — Jutro przybywa moja młodsza siostra z Pragi.

Nadszedł dzień chrztu i punktualnie zjawił się oficer—kłusownik, Józef Franciszek.

Gospodarstwo powitali go serdecznie. Ale jakież było ich zdumienie, gdy pod płaszczem ukazał się mundur jenerała z orderem Złotego Runa na szyi.

Szlachcic opamiętał się jednak szybko i powiedział:

— Najjaśniejszy Panie! Głuszec jeszcze nieprzyprawiony, a ja błagam o przebaczenie!

— Byłeś pan najzupełniej w swojem prawie. Co jednak przeskrobał oficer Józef Franciszek, to zechce pan przebaczyć swemu kumowi Cesarzowi Franciszkowi Józefowi. A teraz przedstaw mnie pan mojej kumie i nie mąćmy pięknego dnia przykremi wspomnieniami.

Ów głuszec opłacił się sowicie ojcu i synowi; ten ostatni wychowany został z polecenia Cesarza, a nazwisko jest doskonale znane, jako Ekscelencyi byłego ministra.

Czas to pieniądz,

mówią Amerykanie, więc ciekawą jest rzeczą wiedzieć, ile przynosi jedna minuta? Zależy to od tego, czyją jest ta minuta.

Bogacz amerykański Pierpont Morgan otrzymuje od redakcyi gazet amerykańskich po 500 dolarów (2.500 koron) — gdy raczy pomówić 20 minut — i dać żądane wyjaśnienia w jakiej sprawie gazecie.

Innemu milionerowi amerykańskiemu n. p. Carnegi'emu przynosi minuta 160 koron, a król naftowy Rossefeller taksuje swoją minutę na 180 koron, bo tyle przynoszą mu w minucie dochody z jego przedsiębiorstw i bogactw.

Bywają i tańsze minuty. Naprzykład Delmas, najzawołańszy adwokat Stanów Zjednoczonych zgarnął za pewien proces 400 tysięcy koron. Przemawiał wtedy przez 1.800 minut, a zatem za każdą minutę otrzymał po 22 koron.

Kosztowniejszy jest czas u lekarzy, szczególnie u chirurgów, którzy uskuteczniają operacyę. I tak Péan, ame-

rykański chirurg, za operacyę, która trwała 8 minut pobierał zwykle 15 tysięcy koron; raz nawet za operacyę 10-minutową pobrał 60 tysięcy koron, a więc minuta przyniosła mu 6 tysięcy koron.

Sławni aktorzy i śpiewacy też każą sobie słono płacić za każdą minutę. Śpiewak włoski Carusso pobiera za jeden wieczór, względnie za śpiew przez 25 minut 10 tysięcy koron, każda przeto minuta przynosi mu 400 koron.

Znakomici artyści muzycy dobrze również wychodzą. Nasz sławny mistrz Paderewski, fundator pomnika króla Jagiełły w Krakowie, za występ w Nowym Jorku, to jest za grę na fortepianie przez jeden wieczór otrzymuje po 10 tysięcy koron, czyli za minutę po 360 koron. Śpiewaczka Patti otrzymała za 20 minut śpiewu 24 tysiące koron, a więc 1 tysiąc 200 koron za minutę.

Także sztukmistrze karkołomni, wykonujący różne sztuki z narażeniem życia mają ładne dochody z przedstawienia swych sztuk; bo nieraz po kilka lub kilkanaście tysięcy koron za minutę.

Takie jednak dochody niesie minuta głównie w Ameryce, bo tam ludzie dobrze się mają — więc też mogą porządnie płacić za wszystko.

Ratunek na morzu.

Często czytamy o wielkich nieszczęściach, które się wydarzają na morzu. Mimowoli nasuwa się przy takich okolicznościach pytanie: «czyż nie było tam żadnych urządzeń, które pozwoliły by ocalić choć część nieszczęśliwych rozbitków?» Były — ale niestety, tak się złożyły nieszczęsne okoliczności, że niczem nie można było zmniejszyć rozmiaru nieszczęścia.

Każdy okręt ma zawsze na pokładzie pewną ilość łodzi, na które, w razie rozbicia się okrętu, wysadzają podróżnych i załogę, aby ich zawieść do lądu, lub do najbliższego okrętu.

Na każdym okręcie znajduje się też znaczna ilość pasów korkowych, które w razie ostatecznym dają możność rozbitkom trzymać się przez czas dłuższy na powierzchni wody i wyczekiwać pomocy ze strony innych statków.

Rozbitkom pomoc z lądu, próbują nieść przedewszystkiem łodzie ratunkowe, są to łodzie płaskie, zaopatrzone w komory wypełnione powietrzem i otoczone szerokim pierścieniem korkowym; część wierzchnia tak jest urządzona, aby uchronić łódź od zalania przez bórtę i aby wodę, która się dostała do wnętrza łodzi, można wylać w jednej chwili. Łodzie takie są w gotowości na stacyach ratunkowych, rozsianych gęsto wzdłuż brzegów morskich. Zwykle leżą na specyalnych wozach; w razie potrzeby przewozi je się na brzeg, możliwie blisko od miejsca wypadku, i tam spuszcza na morze.

Łodzie ratunkowe są prawie zupełnie zabezpieczone od wywrócenia się i zatonięcia; nic ich jednak nie chroni od rozbicia się, to też w razie wysokiej fali, jest dla nich rzeczą niemożliwą podpłynąć pod uszkodzony okręt, fala bowiem może je łatwo o okręt roztrzaskać.

Jest jeszcze jeden sposób ratowania rozbitków, bardzo skuteczny, jeżeli okręt uległ wypadkowi blisko brzegu. Z brzegu wypuszcza się na okręt rakietę, lub rzuca z moździerza kule, do których jest przytwierdzony sznur. Gdy rakieta lub kula spadnie na okręt, załoga wciąga sznur, do którego na lądzie przywiązują mocną linę. Linę tę przytwierdza się na okręcie i na lądzie i spuszcza po niej na ląd ludzi, a nawet bagaże. Jedyną złą stroną tego sposobu jest tylko to, że rakiety i kule mogą być rzucane tylko na niewielką odległość, nieprzenoszącą pięćset metrów.

Rozmaitości.

Sądy dla małoletnich.

Od niedawnego czasu wprowadzone w Niemczech sądy dla małoletnich rozwijają bardzo korzystną działal-

ność: Prawo stosuje zazwyczaj jedne i te same kary dla dorosłych i małoletnich, tymczasem karygodne czyny małoletnich należy mierzyć inną miarą i inaczej się na nie zapatrywać. Tego właśnie zapatrywania trzymają się owe sądy dla małoletnich.

Dotychczasowe obliczenia wykazują, że najwięcej czynów karygodnych popełniają małoletni w miastach fabrycznych, a więc tam, gdzie rodzice idą do fabryki i dzieci pozostają bez nadzoru. Najczęstszemi są przekroczenia przepisów policyjnych i kradzieże, potem zranienia i męczenie zwierząt, opilstwo i t. p. Także co do płci zachodzi tu wybitna różnica: chłopcy kradną zwykle do spółki i to różne przedmioty potrzebne do użytku domowego, zabawki, jadło; dziewczęta kradną same, bez wspólniczek, przybory do ubierania po sklepach, pieniądze i t. p.

Powody kradzieży są zwykle błahe, n. p. chęć kupienia sobie drobnostki i t. p. Chłopiec rzadko kradnie w domu, dziewczyna zaś zwykle popełnia domowe kradzieże. Chłopiec rzadko zdradza innych, dziewczyna zaś zawsze usiłuje spędzić winę na innych. W wielu wypadkach wykazano zboczenia umysłowe u małoletnich przestępców, nieraz chorobę i t. p. i tutaj nie więzienie, lecz zakład i wychowanie mogą wywołać poprawę. Już tak krótka działalność sądów dla małoletnich wykazuje, jak one są potrzebne.

Szalony zakład.

Właściciel dóbr Pero Kromijak w Prusacu w Bośnii, założył się ze swoim przyjacielem, że wypije litr rumu na dwa hausty. Kromijak rum w opisany sposób wypił, ale pośród strasznego rzężenia padł martwy. Skutkiem tego przyjacielskiego zakładu osierocona została rodz na, złożona z matki i trojga dzieci.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Marceli Dziurzyński.

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.

Figle i żarty.

Pytanie bez odpowiedzi. Dwaj przyjaciele posprzeczali się pewnego razu z sobą; na zakończenie sprzeczki. nie mogąc znaleść silniejszych argumentów, odezwał się jeden do drugiego:

— Jesteś głupi, mój przyjacielu!

Drugi nie obraził się na to, lecz z najzimniejszą krwią rzekł:

— Powiadasz. że jestem głupi, dobrze! Ale powiedz mi, czy dlatego jestem głupi, że jestem twoim przyjacielem, czy też dlatego jestem twoim przyjacielem, żem głupi?

Rozmówili się. Berek wchodzi do Szmula w sobotę wieczorem i widzi, że ten swojego wrzeszczącego syna wytargał właśnie za uszy.

— Po co go ty wytargał? — zawołał Berek.

— Po szabasie — odpowiedział Szmul.

— Ny, ale ja chcę wiedzieć za co?

— Za włosy.

— Ty mnie nie rozumiesz? co chłopiec zrobił?

— On krzyczał aj waj!

Na co mu zegarek. — Matulu, kupcie mi zegarek.

— A na co ci to?

— Ażebym dokumentnie wiedział kiej mi się chce jeść i spać.

Na wsi. — Powiedz mi malutka, kto u was we wsi jest najstarszy,

— Proszę łaski pana, był jeden taki, ale umarł przed tygodniem.



PISMO DLA RODZIN CHRZEŚCIJAŃSKICH.
WYCHODZI RAZ W MIESIĄCU, OKOŁO 1-GO.

Rocznik III. (Półrocze I.) **Numer 2.**



Adres: Redakcya ŚWIATŁA w Krakowie, ul. Powiśle L. 12.

Treść numeru 2-go.

Rocznik III. Kraków 1-go lutego 1911. (Półrocze I-sze) Nr. 2.

ŚWIATŁO

pismo poświęcone nauce i rozrywce

wychodzi **raz** w miesiącu, dnia 1-go

Prenumerata „ŚWIATŁA“ wynosi w Austryi na **rok: 3** korony — na **pół roku: 1** kor, **50** hal. — Do Niemiec na rok: **4** kor. — półrocznie **2** kor. — Do Ameryki rocznie **1** dolar.

ADRES: Redakcya „ŚWIATŁA“ w Krakowie ul. Powiśle 12.

Następny numer

to jest trzeci numer *Światła* otrzymają tylko ci Czytelnicy, którzy już zapłacili prenumeratę na ten rok, i którzy ją uiszczą do końca lutego bież. roku.

Ktoby zaś nie zapłacił do tego czasu prenumeraty — temu od marca wstrzymamy dalszą wysyłkę pisma.

Przypomnienie! Prenumeratę *Światła* prosimy przysyłać nie razem z prenumeratą *Nowego Dzwonka*— ale **osobno** pod adresem: **Redakcya** ***Światła*** w **Krakowie** — ul. Powiśle l. 12.

Ważność prasy!

O. Kolb, słynny „apostoł prasy“ tak pisze o gazetach: „Zła prasa czyli złe gazety, są najniebezpieczniejszem zwierzęciem drapieżnem, które nie mieszka w lasach dziewiczych i w pustyniach, ale w pośrodku ludzkości urządza wyprawy łupieskie, niszczy honor i dobre imię, zatruwa niewinność, wysysa krew chrześcijańskiemu ludowi. Karmić tego rabusia — jest zbrodnią przeciw ludzkości“.

Papież Leon XIII. mawiał: „Ci, którym dobro religii i społeczeństwa rzeczywiście leży na sercu, winni popierać prasę stosownie do swego mienia. Żołnierze prasy potrzebują koniecznie takiego poparcia, bez którego ich prace, albo żadnego, albo bardzo mały skutek mieć będą“.

O. Diessel głosił: „Pieniądze, które wydajemy na prenumerowanie katolickich dzienników, są najlepszą jałmużną, jaką dać możemy.

Pewien mowca na kongresie katolickim mówił: „Dajcie mi dobrą prasę, a ja odnowię oblicze ziemi“.

Z tych przytoczonych tutaj zdań wynika, że grosz wydany na popieranie i prenumerowanie pism katolickich jest i dobrym uczynkiem i zasługą wobec narodu i sprawy katolickiej, — przeciwnie zaś prenumerowanie pism złych jest zbrodnią wobec Kościoła i narodu!

Chrystus a ludzkość.

Przed przeszło dziewietnastu stuleciami zjawiła się pewnego dnia w świątyni jerozolimskiej para rodziców. Byli to prości i ubodzy ludzie, znani w swej ojczyźnie, jako Marya i Józef. Marya trzymała na rękach małe, delikatne dzieciątko, Józef zaś koszyczek z parą gołębi. Była to ofiara, której żądało prawo żydowskie od matki, obdarzonej dziecięciem przez Boga. Złożono ofiarę a z nią ofiarowali Marya i Józef w największej pokorze swe dziecię Bogu.

Mieli już opuścić święty przybytek, gdy zbliżył się do nich Symeon, zacny i sędziwy kapłan, i wziął od nich na swoje ręce dziecię, a w oczach jego zabłysła nieopisana radość i uwielbienie. Symeon bowiem, oświecony przez Boga, wiedział, że owe niepokaźne dziecię jest tym, za którym on i cały Izrael tak długo tęsknił, że ono jest właśnie przez Boga obiecanym Mesyaszem. To też sędziwy kapłan głośno wielbił dobroć i litość Boga za to, że mu pozwolił jeszcze przed śmiercią oglądać Zbawiciela.

Lecz Symeon był także w owej godzinie nadziemskiego oświecenia prorokiem. Wzrok jego, zaostrzony przez nadprzyrodzone światło, sięgnął w bliską i daleką przyszłość, a hymn radości Symeona dzwoni i dziś jeszcze słowami wielkiej przepowiedni: «Oto ten położon jest na upadek i na powstanie wielu w Izraelu i na znak, któremu sprzeciwiać się będą».

Są to wieczne i wielkie słowa, ponieważ mówią one po wszystkie czasy, jak ludzkość będzie zachowywać się wobec Zbawiciela. Oto Chrystus będzie miał zawsze wielkich i silnych przeciwników, on jest «znakiem, któremu sprzeciwiać się będą». Z powodu tego sprzeciwiania się dzieli się ludzkość na dwie części: dla jednej jest Chrystus upadkiem, dla drugiej zaś powstaniem. To jest ten dwojaki stosunek ludzi do Boga: z jednej strony wrogów, z drugiej zaś przyjaciół miał zawsze Zbawiciel i tak będzie zawsze, aż do końca świata.

Zaledwie tylko urodził się Jezus Chrystus w stajence betlejemskiej, a już stał u jego żłóbku potężny wróg i przeciwnik. Był uim król Heród, który przedstawiał polityczną czyli państwową potęgę. Później zaś, gdy Chrystus Pan rozpoczął swoją działalność publiczną, wystąpił przeciwko Niemu inny potężny mocarz: uczeni w piśmie i Faryzeusze.

Była to duchowa potęga, która zwalczała przedewszystkiem Boskość Chrystusa; zaprzeczała ona temu, jakoby On był synem Bożym, przedstawiała go jako zwykłego człowieka i mówiła ludowi, że Chrystus jest oszustem, który działa cuda dzięki tylko swojej czarodziejskiej sile i przy pomocy złego ducha A gdy w ten sposób lud został przeciw Zbawicielowi podburzony, wtedy potęga polityczna i duchowa podały sobie zgodnie ręce i przybiły Jezusa do krzyża.

I tak, jak wtedy, było mniej więcej zawsze. A czy dziś dzieje się inaczej? Na to pytanie odpowiedzieć może każdy, kto tylko na krótko rzuci okiem na polityczne i naukowe stosunki. Czy niema dziś krajów i państw, gdzie starają się gwałtownie wyrzucić Chrystusa z publicznego życia? Jakże to często bywają dziś uchwalane prawa, które sprzeciwiają się nauce Chrystusa, uciskają

religię chrześcijańską, a jej wyznawców prześladują, a przez to wzmacniają bezwiarę i krzewią nowożytne pogaństwo. Z niektórych krajów dochodzi nas wprost dziki głos, wołający: Precz z Chrystusem w prawodawstwie. Precz z Chrystusem w małżeństwie i rodzinie! Precz z religią w szkołach!

A cóż robi nauka i wiedza? Otóż tak zwana nauka jest gorącą zwolenniczką walki z Chrystusem. Mówimy wyraźnie «tak zwana», bo nauka prawdziwa nigdy nie była i nie będzie wrogiem Chrystusa.

Ale ta tak zwana niesłusznie nauka jest silnie rozpowszechnioną i zawraca niejednemu głowę. Taka to nauka jest pozbawiona powagi i głębszego znaczenia, ponieważ zamiast przekonywujących dowodów daje tylko nigdy nie dające się udowodnić przypuszczenia (czyli hipotezy).

Przypuszcza więc ta nauka z dumą, że Chrystus był jedynie zwykłym człowiekiem, a Jego religia jest dziełem ludzkiego ducha; Chrystusowi przypisuje wielką mądrość i cnotliwość, ale nie może się na to zgodzić, ażeby Zbawiciel był Synem Bożym. W niższych i wyższych szkołach woła ta «tak zwana» nauka; »Precz z Chrystusem!» — z tysiąców czasopism, dzienników i książek krzyczy ta fałszywa wiedza czytelnikom: «Precz z Chrystusem», a tysiące ludzi aż do rzemieślnika i wieśniaka dają się uwieść nieudowodnionym hasłom i również niby w imię nauki krzyczą: precz z Chrystusem!»

Na dobry i trafny pomysł wpadła więc moc piekielna, ów książę ciemności. Lepszych bowiem sprzymierzeńców w walce ze znienawidzonym Chrystusem nie mógł już chyba znaleźć, jak bezbożną potęgę państwowa i tak zwaną wiedzę. Pierwsza posiada siłę fizyczną i materyalną, a druga zasypuje ludziom oczy piaskiem i robi ich ślepymi na światło prawdy. Dodajmy jeszcze do tego potęgę grzechu, namiętności i złych skłonności ludzkości — a zrozumiemy, że piekło jest w możności połowę świata wysunąć do walki przeciw Chrystusowi, połowę świata, która na całe gardło wrzeszczy: «Precz z Chrystusem!»

A ponad ciemnemi chmurami, które ta gwałtowna wojna z Chrystusem gromadzi, jaśnieją niebiańskiem światłem prorocze słowa Symeona: «Ten jest znakiem, któ-

remu sprzeciwiać się będą; On jest położon na upadek wielu».

Świat jest podobny do wielkiego pola walki. Dwa ogromne wojska stoją tam naprzeciw siebie. W pośrodku siedzi na wzniesionym tronie Jezus Chrystus. Jedno wojsko chce go zrzucić i kroczy przeciw niemu, uzbrojone w nienawiść i pogaństwo. Druga zaś armia chce Go wynieść wysoko i uwielbiać i walczy w jego obronie bronią wiary, nadziei i miłości. Przeszło 19 stuleci kipi już ta walka i nigdy się nie skończy, ani na jedno okamgnienie, jak tylko długo ziemia obiegać będzie słońce wokoło.

Kto jednak zwycięży? Według dotychczasowego przebiegu walki można powiedzieć z całą stanowczością i pewnością: Chrystus musi zwyciężyć i panować! Wielkie, wspaniałe państwa znikły, całe ludy wymarły; miejsce jednej nauki zajmuje inna, jeden wynalazek niszczy inny. Jedno tylko pozostało i trwa — państwo Chrystusa, chrześcijaństwo.

Gdyby chrześcijanizm był nauką i tworem czysto ludzkim, wtedy wrogowie Chrystusa byliby go już dawno doprowadzili do upadku, a że się tak nie stało, to dowód boskiego początku religii Chrystusowej — że się zaś nigdy tak nie stanie, za to ręczą słowa Ojca niebieskiego, wypowiedziane do Syna Chrystusa: «Królestwu jego nigdy końca nie będzie».

Tak tedy stoi Chrystus w pośrodku dziejów świata, znienawidzony i prześladowany przez jednych, przez drugich zaś miłowany i wielbiony. Żaden człowiek, który ma wiadomość o Jezusie Chrystusie, nie może zachowywać się obojętnie względem niego, musi więc albo nienawidzić go albo też kochać, czyli być albo jego wrogiem, albo przyjacielem.

Krzyż nad Niemnem.

Szumi błękitny Niemen, szumi i płynie szeroko, potoczyście, wśród pól żyznych, wśród łąk zielonych, wśród puszcz podniebnych. Nad nim mieszka lud cichy, praco-

wity, pobożny zamknięty w sobie, miłujący rodzinny szmat ziemi. Przechodził on niedole ciężkie i nędze i prześladowania, a jednak trwa niezmożony, nieustraszony, pogodny, czerpiąc ukojenie i siłę w modlitwie i wierze gorącej.

Ot, tam, o kilkaset kroków od Niemna, stoi chata wtulona w kępę jodeł; bielą się jej ściany, odbijając od zieleni drzew i zczerniałego, dranicami pokrytego dachu

To chata Warłajtysów.

Stary był ród Warłajtysów; szła wieść, że przodkowie ich jeszcze z krzyżakami walczyli, a miano ich w rodzinnej mowie znaczyło tyle, co wojak. To też, choć lata całe siedzieli cicho na rodzinnym zagonie, gdy tylko w kraju zagrała pobudka do wojny, każdy Warłajtys rzucał chatę i szedł bić się — z kim chcesz, byle za kraj! A chatę strzegły kobiety, majątku dorabiały się kobiety. I nie skarżyły się na ciężką pracę, nie wyrzekały, bo od dziecka miały wszczepione w dusze, że dla kraju niema dość wielkiego poświęcenia, dość ciężkiej pracy.

Dziś, choćby najdonioślej grała pobudka bojowa, żaden Warłajtys nie zerwałby się do broni, bo jedyny męski potomek, Adamek zaledwie trzynaście lat liczy. Mieszka w chacie rodzinnej z matką, siostrą — Marylką i staruszką prababką, co już blizko 90 lat przeżyła.

Warłajtysowa ociemniałą jest od dawna; powiadają, że oczy wypłakała; ale bo też miała w życiu grobów i nieszczęść co niemiara! A gdy ludzie wspominają jej niedolę, zniżają zawsze głos i mówią, jakby z trwogą i nabożeństwem:

— Starego Warłajtysa zabili w 46-tym roku... Coś się ludziom zaczęło zachciewać, coś zamyślali, coś szeroko roili — zginął. Syn jego, jedyne dziecko Warłajtysowej, zginął przed czterdziestu pięciu laty... powieszony... powieszony w oczach matki. Pochowali go tam, na wzgórzu, gdzie dawniej krzyż był, a dziś jeno macierzanka i jałowiec rozpościerają ożywcze wonie. Wnuk to znowu w 1891 roku... Tak się złożyło... był właśnie w Krożach; popędzono go z innymi nad brzeg Niemna i zepchnięto; poniosły fale ciało, którego nawet nie wydobyto. Tak widocznie sądzone było, aby żaden Warłajtys «swoją śmiercią» nie kończył.

Wieś cała czciła i kochała Warłajtysową; przychodzono do niej po radę i pociechę. Ona dnie całe spędzała na modlitwie, albo, choć ociemniała, przędła kądziel, nucąc pieśni pobożne, cichym, bolesnym głosem. Codziennie tylko, choćby w najgorszą niepogodę, wchodziła na wzgórze, gdzie jałowiec i macierzanka, klękała w miejscu, gdzie dawniej krzyż stał, i trwała tak w modlitwie i rozmyślaniach. Przesądni mówili, że rozmawiała z duchami Warłajtysów.

— Babuniu — odezwał się raz Adamek, — jak wy, ociemniała, znajdujecie drogę na wzgórze, gdzie dawny krzyż?

— Siedmdziesiąt lat tam chodzę, — odrzekła babka; — jeślim opuściła kilka dni, to tylko wtedy, gdym była ciężką złożona chorobą.

— A czemuście, babuniu, tak sobie upodobali to miejsce? — zapytał znowu.

Staruszka milczała chwilę, potem, wyciągnąwszy ramiona przed siebie, przygarnęła prawnuka i poczęła mówić stłumionym, jakby pozagrobowym głosem:

— Pora już, pora dziecko, abym ci to powiedziała tyś teraz jedyny mężczyzna z rodu Warłajtysów, a ja wiekowa, nad grobem, trzeba, abym ci powiedziała, dlaczego to miejsce czcić musisz i jakie jest co do niego moje jedyne pragnienie. — Już blizko lat 70, kiedy mnie pradziadek twój z moich rodzinnych Wiskitek tu przywiózł. Zanim do chaty mnie wprowadził, wprzód na to wzgórze przywiódł, gdzie wówczas stał krzyż wysoki z postacią Chrystusa, w wielu miejscach głębokiemi brózdmi pocięty. — Patrz, Marto, powiedział mi, ten krzyż stoi dwieście lat, każdy Warłajtys żonę tu przedewszystkiem po błogosławieństwo przywodził, tu nowonarodzone dziecię z modlitwą przynosił, tu przed wojną, o ten krzyż święty szablę zacinał...

Widzisz te cięcia?... Szanuj ten krzyż i to miejsce, bo to jak nasza świątynia, gdy kościół mamy tak daleko. Bóg świadkiem, żem krzyż szanowała i gdy mój zginął, gdym została sama w chacie z małemi dziećmi, szanowałam go; codziennie z modlitwą szłam do stóp jego, latem zawsze dzieciom w świeże kwiaty stroić kazałam i choć ciężko

mi wtedy było, zapłaciłam majstrowi z miasta, aby pomalował i sztachetkami otoczył.

I zechciał Bóg, że mimo starań, mimo zabiegów, krzyż padł, a że wewnątrz zmurszały był, w próchno się rozsypał. Postawić nowego krzyża nie dali. Com się naprosiła, ilem pieniędzy na starania straciła!... Odmówili. Trzydzieści pięć lat chodzę modlić się na to wzgórze, pod kolanami memi mam święte prochy mego syna-męczennika, ale nad sobą nie mam świętego krzyża, nie mam do czego przytulić się, jak dawniej, nie mam do czego piersią przypaść, na co łez mych wylewać!... I wtedy, gdy mi o śmierci twego ojca powiedziano, tom poszła tam, alem jeno na twardą ziemię się rzuciła, piasek jeno łzy moje pił, trawa od westchnień mych usychała. To tobie, dziecko moje, jak Bożą wolę przykazuję, szanuj to miejsce i jeżeli czasy się zmienią, jeżeli nowy krzyż postawić będzie wolno, uczyń to, uczyń, nie zwlekając. Choćbyś na to ostatni grosz z chaty miał dać, sprzedać ostatniego konia, lub bydlę, choćbyś zboże, do siewu ostawione, sprzedać miał — postaw! Gdybyś pieniądze na wesele przeznaczył — zaniechaj wesela; choćby na mój pogrzeb — zanieście mnie w czterech deskach, jeno modlitwę nad grobem wygłoście, a krzyż niech stanie... Zrobisz tak, Adamek?

Chłopiec zgrzybiałą rękę prababki do ust podniósł i odrzekł z prostotą.

— Zrobię babuniu!

. . . .

Wracał Adamek na letnie wakacye, na pierwsze wielkie wakacye ze szkoły, z dobrą cenzurą, z dobrą miną. Matka powitała go łzami radości, babka do piersi, milcząc, przytuliła. Chłopiec zauważył, że staruszka bardzo się zmieniła przez tych kilka miesięcy; pochyliła się jeszcze mocniej, ręce jej i głowa trzęsły się nieustannie.

— Babunia i teraz codzień na wzgórze chodzi? — zapytał Adamek Marylkę.

— Tak, ale teraz ja ją tam wprowadzam; samej ciężko chodzić staruszce.

— Marylka, wiesz, ja babuni taką radość gotuję, że zapomni o tych łzach, któremi oczy wypłakała.

— No, co to takiego? — zapytała zaciekawiona Marylka.

— Wy tu żyjecie bez wieści, co się na świecie dzieje, a choć dowiecie się o czem — niebądź, to dopiero w kilka tygodni po fakcie, więc też nie wiecie jeszcze i tego, że teraz wolno, gdzie chcieć stawiać kościoły i krzyże. Ja dowiedziałem się o tem zeszłego tygodnia.

— Ale, czy to pewne, Adamek?

— Jak najpewniejsze; wszystkie gazety pisały. To zaraz postanowiłem, że na wzgórzu babuni stanie krzyż według jej woli. O drzewo łatwo, matka nie będzie miała nic przeciw temu, że jedną sosnę się zetnie, sam drzewo obrobię i wkopię, tylko o figurę idzie.

— A tak, skąd ją weźmiesz?

— Figurę już mam, chodź zobacz!

Zaprowadził ją na poddasze, gdzie zaraz po przyjściu złożył pakunek w rogoży.

— Nie rozpakuję jej teraz, zobaczysz, gdy już będziemy do krzyża przybijali. Taki tam Chrystus, jak żywy; twarz cudna, słodka, głowa chyli się w cierniowej koronie, z pod której krew kropelkami spływa.

— Skądżeś ty to dostał?

— Kupiłem.

— A skąd miałeś pieniądze?

— O, pieniądze!... Na taką rzecz pieniądze muszą się znaleść!

— Mama przysłała mi na buty; nie kupiłem; czy to ja całe lato nie mogę boso chodzić, czym to nie chłop?... Te pieniądze użyłem na zadatek Rzeźbiarz, który robił figurę, poczciwy i grzeczny, zaufał memu słowu, że zapłacę resztę po powrocie z wakacyj i pozwolił mi ją zabrać.

— A skąd potem będziesz miał pieniądze? Mamę poprosisz?

— A cóż to nie będzie żniw?... nie będzie młocki?... niema dworu?!... Najmę się do roboty, będę pracował dzień w dzień, aż zarobię...

— Dwanaście rubli mi potrzeba.

— I zarobisz tyle?

— Zarobię!

— Co za szczęście! Pójdę, powiem o tem babuni.

— Daj pokój, Marylko! Babunia się dowie dopiero, gdy krzyż stanie, gdy go własnemi rękami namaca, własnemi ramionami obejmie. Będzie to tem większa dla niej radość. A najlepszy na tę uroczystość będzie dzień 29-go lipca, bo to rocznica śmierci dziadka.

— Masz racyę, Adasiu!

. . . .

Nazajutrz zabrał się Adamek do roboty. Od rana do zachodu słońca kopił dworskie siano, po powrocie do domu zaś zjadł jak najprędzej kolacyę i zaraz zabrał się z wiedzą matki, do ścinania wysokiej sosny, co rosła na granicy ich gruntu. Mozolił się srodze, ręce opadały mu ze zmęczenia, ale pracował wytrwale, niemal z zawziętością. Księżyc był wysoko na niebie, gdy z przeciągłym jękiem i trzaskiem łamanych gałęzi, padła stara sosna, co krzyżem miała zostać.

Następnych dni każdą wolną chwilę spędzał Adamek przy obrabianiu drzewa. Pomagała mu w tem, o ile sił starczyło, Marylka. Czasem który z sąsiadów przyszedł pomódz dzielnemu chłopcu, to też robota szła żywo i w dwa tygodnie po rozpoczęciu na biało malowanym krzyżu przybito postać Zbawiciela... Nazajutrz miano wkopać go na pamiątkowem wzgórzu. Adamek prawie nie spał tej nocy, tak był wzruszony. Wstał ze świtem z postanowieniem, że nie uda się do żniwa, a dzień spożytkuje na postawienie krzyża, tak, aby babka przyszedłszy na swe wzgórze, jak zwykle przed wieczorem, zastała już tam tę wielką niespodziankę. Zbudził Marylkę. Oboje wyszli przed chatę. Świat zdawał się mienić tęczowemi kolorami we mgle porannej, rozbrzmiewać chórem ptasząt.

— No, trzeba krzyż zanieść! — rzekł Adamek. — Wkopanie go i otoczenie sztachetkami dosyć czasu nam zabierze. Weź, Marylko, z tamtego końca!...

Dzieci schyliły się, objęły drzewo krzyża, ale ledwo uniosły, upuściły znowu na ziemię.

— Za ciężki! — szepnęła Marylka.

— Nie damy rady we dwoje!

— Trzeba mamę poprosić do pomocy.

— Mama teraz nie będzie miała czasu... musi śniadanie gotować dla czeladzi.

— To po śniadaniu.

— Stracimy blizko dwie godziny.

— A co robić?

— Tracić czasu nie możemy; muszę skończyć na tę godzinę, w której babunia wychodzi na wzgórze... Przecież to dzisiaj... rocznica.

— To spróbujmy jeszcze; może poradzimy!...

— Daj pokój, mam inną myśl — o patrz... Nastka Połajtysów już stoi przed chatą. Mateuszek też pewnie już wstał. W podwórzu u Kelbszów kręcą się — zawołamy Władka i Martę, tamtych także. W sześcioro poradzimy.

— Masz racyę! Biegnij do Kelbszów, a ja skoczę po Nastkę i Mateuszka.

W kilka chwil potem sześcioro dzieci z powagą i namaszczeniem niosło wielki krzyż na zielone wzgórze. Zdaleka w swych jasnych płótniankach, dźwigających na ramionach krzyż biały, wyglądały, jak nadziemskie zjawisko. Ludzie, idąc do roboty, przystawali, odkrywali głowy i szeptali wzruszeni:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

A inni dodawali:

— Szczęść wam, Boże!

A inni jeszcze:

— Panie Boże, wam zapłać!

Stanie to, stanie ta Boża męka, to ukojenie, ta pociecha, będzie gdzie iść, gdy do kościoła tak daleko. Panie Boże, wam zapłać, dzieci!

Raźno przez dzień cały szła robota na wzgórzu. Najcięże przyszło wkopanie krzyża i ubicie przy nim ziemi, tak, aby nie groził upadkiem. Potem opłynęły nieraz, zanim dokonały trudnego dzieła. Stawianie sztachetek szło już śpiewająco. Podczas, gdy chłopcy wykończali je, dziewczęta skoczyły w pole po kwiaty na wianki; a moc maków i bławatów, ostróżek i rumianków pstrzyła się wśród nieskoszonych jeszcze owsów i pszenicy. Otoczono girlandą kwiecia krzyż, jak najwyżej. Praca była skończona. Dzieci, nie umawiając się wcale, z przyrodzonego instynktu, uklękły i zmówiły krótkie, serdeczne «Ojcze nasz».

— A teraz chodźmy po babunię! — rzekł wzruszonym głosem Adamek. Zdaje się już można?

— Można — szepnęła Marylka.

. . . .

Słońce, kłoniąc się ku zachodowi, obejmowało gorąco pieszczotliwie, postępującą gromadkę. Warłajtysowa, ubrana jaskrawo, po staroświecku, szła wsparta na ramieniu Marylki, która co chwilę podnosiła ku niej swą płową główkę, mówiąc pieszczotliwie:

— Babuńku, babuńkę dziś radość spotka.

A staruszka głową trzęsła jeszcze mocniej, jak zazwyczaj.

— Moje szczęście poza grobem, poza grobem się znajdzie.

Adamek postępował z drugiej strony z matką, która musiała wciąż go powstrzymywać, chciał bowiem biedz nieledwie, tak mu pilno było pokazać już swoje dzieło.

Za nim szła gromada ludzi, nieledwie wieś cała. Zbliżyli się do wzgórza.

— Co to dziś ścieżka tak udeptana? — rzekła Warłajtysowa. Ludzie widać tu chodzili... Czyżby o moim starym pamiętali?

— Pamiętają go i pamiętać będą, babuńku!

— Słyszę, jakby za nami dużo ludu szło, jak wtedy, gdyśmy Jana tu chowali.

— Nie na pogrzeb dziś idą, babuńku — na wesele.

— Woń jakichś innych kwiatów od wzgórza dziś płynie, nie sama macierzanka i jałowiec... pachną chabry i melissa i koniczyny.

— Bo tam dziś kwiecia wiele, babuńku?

— Kto je zaniósł?

— Cała wieś.

— Wszak dziś nie święto?

— Swięto, babuńku, wielkie święto, dla całej wsi.

— Święto... dla wsi?...

Wstępowały na wzgórze.

Niewidoma, jakby ożywiona mocą wspomnień, upojona niezwykłą wonią kwiecia, głowę podniosła, uchylonemi wargami piła oną cudną falę, płynącą od wzgórza i szła

wyprostowana, z rękoma wyciągniętemi przed siebie, jakby jej kilkanaście lat ubyło.

Weszła w otwartą bramkę ogrodzenia; suknia jej otarła się o sztachetki. Drgnęła, rękę wyciągnęła na prawo, potem na lewo, wyczuła sztachetki.

— Sztachetki — szepnęła — sztachetki... jak dawniej...

— Idźcie dalej babuńku! — szepnął zdławionym głosem Adamek i ujmując jej dłoń, złożył na krzyżu.

Wyraz nieopisanego zdumienia odbił się na zgrzybiałej twarzy staruszki; dotknęła krzyża obu rękami, potem posuwać je zaczęła wzdłuż i wszerz drzewa, wznosząc je wyżej i wyżej, aż uczuła przebite stopy Chrystusa pod swemi palcami. Wówczas otoczyła ramionami krzyż, ustami przypadła do stóp Zbawiciela, a krzyk nieopisanej radości wydarł się z jej piersi.

— Krzyż!... krzyż!... tu!... na mojem wzgórzu!

Usunęła się na ziemię i nie wypuszczając krzyża z ramion, płakała głośno, płaczem niepohamowanej radości.

— Kto, kto ten krzyż postawił?

— Adamek swojem staraniem i swoim kosztem — odezwała się matka, szlochając z rozrzewnienia.

— I nie zabiorą nam go?

— Nie zabiorą, babko!

— Boże, błogosław ci, dziecko moje, za tę pociechę, którą dajecie mi przed śmiercią. Boże, błogosław was, dzieci, w szczęściu, w pracy, zamiarach. Wzrastajcie w łasce u Boga i u ludzi!...

. . . .

I długo, długo modliła się pod krzyżem staruszka, a łzy rozrzewnienia i wdzięczności spływały jej z oczu.

— O, Boże! — szeptała — dzięki ci, Wielki Boże, że wracasz nam nasze krzyże...

HYMN DO BOGA.

Dobrze mi Panie, gdy w duszy mej zdrzemną
Walki i burze, gdy nadejdzie chwila,

Że tam wysoko z błękitów nademną
Bóg się wychyla...
Choć wiem, że odeń mię dzielą otchłanie
Dobrze mi Panie!...

Tego, co objąć nie mogą niebiosa
Dla mnie odbija każdy liść zielony
I kamyk polny i srebrzysta rosa
I gwiazd milijony,
Choć całej krasy odbić nie są w stanie
Dobrze mi Panie!...

Podziwiam kwiaty, których kielich duży
Słońce i rosę pochłania koroną
I młodszym braciom za osłonę służy.
Skrapia im łono...
Choć wiem, że kwiatów tych niedługie trwanie
Dobrze mi Panie!...

Podziwiam siłę nieśmiertelnej duszy
Co wchłania w siebie Twe odblaski Boże,
Bo ona słabsze, gdy je świat wysuszy
Ożywić może...
Choć wszystkich darów nie przeleje na nie
Dobrze mi Panie!...

Kiedy w kolebce maluchna dziecina
Do nieznanego życia się uśmiecha,
Gdy z drobnych ustek wypływać zaczyna
Modlitwa cicha,
Patrząc na życia pogodne świtanie
Dobrze mi Panie!...

Gdy na cmentarzu cichy wiatr powiewa,
Ptaki świergoczą nad świeżą mogiłą,
Kwiaty swe wonie roznoszą, a drzewa
Ochłodę miłą,
Że na sen wieczny mieć będę posłanie
Dobrze mi Panie!...

Że będę leżeć u stóp Twoich cicha
Z prochu powstała i w proch obrócona,
W proch będzie starta moja ziemska pycha
Nędznych korona;
I że mi ducha nie skazi konanie
Dobrze mi Panie!...

Swiata teżsame zostaną kontury
I po mnie ludzie żyć będą weseli
Nad moim grobem może zwisną chmury,
Piorun wystrzeli...
Że i grom wówczas zbudzić mnie nie w stanie
Dobrze mi Panie!...

W SZWAJCARYI.

Opowiadanie przez ks. St. M.

Szwajcarya jest to szmat niewielki ziemi, niby gniazdo krucze, czy lepiej orle, rzucone hen tam pod same niebo, bo istotnie — kiedy się jedzie wśród gór szwajcarskich zdaje się nieraz, że to jest droga do nieba samego: wciąż w górę i w górę, aż na szczyt — tam, kędy już niema żadnej rośliny, żadnego życia, tylko wiecznie — latem i zimą spoczywają mieniące się w blaskach promieni słońca zimne lodowce i śniegi bieluchne. A po bokach i ramionach tych gór — potworów, pną się wsie i miasta, pałace i hotele, pełzną koleje żelazne i wyśmienite szosy, ażeby podróżni, których rok rocznie Szwajcarya miewa do czterysta tysięcy, mogli się wdrapywać na wierzchołki śnieżne i stamtąd podziwiać potęgę twórczą Boga.

To też z całego świata spotkać tam można gości, zaczynając od naszych polskich żydów, aż do bogatych Amerykanów i Anglików. Wszyscy ci podróżni wiozą swe pieniądze biednym skąd inąd Szwajcarom, rozumiejącym jednak doskonale, że w zamian należy dać wygody, ażeby pociągnąć więcej ciekawych, a bogatych gości.

Szwajcarya, dawniej Helwecyą zwana, kraj to biedny. Natura hojnie go wyposażyła tylko w skały i wody, resztę, co mają mieszkańcy tych gór, sami zdobyli sobie pracą, nauką, sprytem i uczciwością.

Czy uwierzycie, że Szwajcarowie na odkosach swych gór, tam, gdzie niema źródełka żadnego, gdzie gleba jest twardą i żwirowatą, mają przepyszne łąki, które stanowią całą siłą gospodarstwa szwajcarskiego na wsi. I łąki te sztucznie uprawiane, jako bujna czupryna pokryły cały kraj i karmią one tysiące krów, które znów dają tłuste a zdrowe mleko, przerabiane potem na sery. Swiat cały zna te sery.

Gdy Polak ogląda fabrykę tych serów, gdy zwiedza małe gospodarstwa — skromnie czyste domki pod jednym dachem ze stodołą, ładne konie, wypasłe bydło, myśli z zazdrością w sercu, czemu to u nas wiejski gospodarz, mając nieraz, trzy, cztery razy więcej, niż Szwajcar ziemi, chodzi boso, a na przednówku nieraz głodno, gdy tymczasem taki sam wiejski gospodarz w Szwajcaryi je co dzień biały chleb, mięso, masło, pije kawę i wino, kształci dzieci i chowa oszczędności na czarną godzinę, I sama ciśnie się do głowy odpowiedź: tam oświata i praca tu — lenistwo i ciemnota.

Tak, Czytelniku, pracą uczciwą Szwajcar zmusza swą nędzną ziemię, ażeby mu ona hojnie rodziła, pracą ulepsza rolę, pracą buduje drogę i mosty. Niema zakątka takiego, gdzieby nie było szosy i to w najleprzym stanie; pracą dochodzi do dobrobytu. Dodamy tu jeszcze, że tam niema zbyt wielkich panów — obywateli, ani też żebraków i nędzarzy, co wyciągają rękę po jałmużnę. Wszyscy tam pracują, a po pracy rozumnie się bawią. W święta narodowe, kilka tysięcy wesołych młodych Szwajcarów się bawi, a nie widać tam, żadnej awantury, ani pijackiej breweryi.

Tak — zazdrościć im trzeba rozumu i uczciwej pracy. Rozumieją potrzeby kraju swego, to też pracują dla siebie i dla gości, którzy kraj ich zwiedzają,

Ziarna sieją mało, ale zato całą uwagę zwracają na hodowlę krów.

To też ażeby trawa obficie zeszła, ażeby mógł ją Szwajcar kilka razy w lato skosić, nie szczędzi swej fatygi i potu. Więc skoro tylko po żniwach i ostatniej koźbie, słonko zaczyna się schylać ku jesieni, a kobiety idą do winnic, Szwajcar wyciąga ze stodoły skrzynię — wóz na dwóch kołach, ładuje ją rozrzedzonym nawozem i wyjeżdża na pole, ażeby tam polać dobrze łąkę, potem, gdy tę robotę skończy, posypuje tę swą sztuczną łąkę suchym mięszanym z torfem nawozem, podsiewa różnemi wygrabkami z siana i zostawia odpoczywać na zimę.

Pracuje — i ma. Ma, bo pracuje rozumnie i nie zna głodu.

Kto u nas zada sobie tyle fatygi, ażeby w ten sposób nie już łąkę, jeno choć część poletka unawoził i opatrzył?

Ba, byłoby dobrze mieć takie pole, ale któż w karczmie ściany podpierać będzie, kto Szmulowi unawozi kieszenie!

Szkoda żyda! I dzieje się tak, że Szmul łapserdak aksamitną jarmułkę nosi, a ty, biedaku, przymierasz głodem i narzekasz, że ci ziemi mało. Pracuj, jak Szwajcar pracuje; upraw rolę, zasiej ziarnem nowem, dopilnuj na wiosnę i w jesieni, a będziesz miał więcej, niż się spodziewasz.

Podam jeszcze, że nigdzie na polu latem nie widziałem bydła, nigdzie też płotów nie było i nigdzie szkody.

II.

Mówiliśmy wyżej, że źródłem utrzymania dla Szwajcara jest jego bydło rasowe — tak podziwiane przez podróżnych. Istotnie dziwić się trzeba, że Szwajcarowie zwłaszcza w górach mając klimat ostry, ziemię nędzną, mają bydło rosłe, wypasłe. Krowy szczególnie dają dobre i tłuste mleko, przerabiane natychmiast na sery i masło.

Bydło szwajcarskie stoi w oborze i karmi się w domu, to też nigdzie nie widziałem ugorów, wygonów, nieużytków wydeptanych przez bydło. Wszędzie zielono, wesoło; na łąkach ich sztucznych rosną grusze i jabłonie, a nigdzie płotów i nigdzie szkody. Przy drogach na słup-

kach często się czyta «ban 5», «ban 10» — to znaczyć ma, że czeka kara takiego śmiałka, który zechce paść lub deptać cudzą trawę. I nikt tam się nie łakomi na cudze, dbając stale o ulepszenie swego kawałka gruntu.

Nierogacizna, kury i wszystko to, co może szkodę zrobić sąsiadowi, trzymają Szwajcarowie w klatkach lub w małych zagródkach, jak najmniej zostawiając miejsca na podwórko i zabudowania. To też nie chcąc rozbudowywać się na szczupłym swym folwarku, każdy gospodarz nadbudowuje dom mieszkalny i gospodarcze zabudowania do góry. Stąd domki są zawsze piętrowe. Gumno zaś i obora tak obmyślane, że bydło stoi niżej, a nad niem jest pomost i na tym pomoście ma Szwajcar to, co my nazywamy gumnem — stodołą. Na miejscu ma bydło i siano; nie potrzebuje dźwigać, z góry spuszcza na dół paszę i na miejscu z toku przez otwór w ścianie podaje na stronę bydłu. I pasza się wcale nie psuje od zapachu nawozu, bo stale się obora oczyszcza tak, jak u nas naprzykład we dworze porządnym stajnia.

Żyta, pszenicy, jęczmienia sieją niektórzy tylko i to bardzo mało.

Całe zaś gospodarstwo spoczywa na uprawie i zbiorze traw i siana.

W dolinach i w południowych powiatach Szwajcaryi widzimy często winnice z dobrym gatunkiem winnych jagód — to też obfitość krzewów daje ten dobry skutek, że czyste, prawdziwe wino, tam się sprzedaje bajecznie tanio, za flaszkę się płaci na nasze pieniądze 20 do 30 groszy. *(Dokończenie nastąpi).*

Węgiel kamienny.

Jak się utworzył — i jak go wydobywają.

I.

Węgiel wydobywany z ziemi, a zwany kamiennym dla odróżnienia od węgla co powstaje ze spalonego drzewa, nie jest z natury swej kamieniem, bo on także powstał

z drzewa. Uczeni ludzie powiadają, że niegdyś, dawno, bardzo dawno, jeszcze przed potopem, ziemia była okryta ogromnymi lasami. Lasy te składały się z drzew olbrzymich, z postaci podobnych do dzisiejszych skrzypów, paproci i widłaków, lecz tak wielkich, jak nasze dęby i sosny.

Jak w naszych puszczach, tak w dawnych lasach drzewa nieustannie zamierały, ustępując miejsca nowym. Pnie martwe waliły się na ziemię, tonęły w bagnie, a przez setki i tysiące lat narastające w ten sposób warstwy materyału roślinnego zamulały piaski i zalewała woda. W czasie burz i wielkich powodzi woda również wyrywała drzewa i unosząc je całemi masami, pakowała w przepaści, jeziora i wąwozy, gdzie inne burze i powodzie przywalały je pokładami mułu, piasku, gliny i t. p., zagrzebując je coraz głębiej.

Tam to drzewo leżąc długo w ziemi pod wielkim naciskiem, a bez dostępu powietrza, powoli butwiało, rozgrzewało się i zwęglało, tworząc z upływem czasu twardy kamień, czarną jednolitą masę. Zdarzało się pewnie nieraz, że w pobliżu takiego pokładu drzewnego wybuchał jaki wulkan, czyli góra wyrzucająca z swego wnętrza ogień i lawę (płyn rozpalony). Ciepło stąd wynikające dopomagało do wytworzenia się węgla, którego pokłady zajmują nieraz kilkowiorstową przestrzeń, a bywają grube na kilka i kilkadziesiąt łokci. W takich pokładach można często rozpoznać kształty drzew, z których niegdyś powstały. Odznaczają się wyraźnie całe pnie, na pniach znów wyciśnięte ślady liści — a z nich to uczeni mogą dokładnie te zaginione drzewa narysować.

Pokłady węgla leżą czasem tuż pod powierzchnią ziemi, częściej jednak w głębokości kilku i kilkudziesięciu sążni. Bywają też rozmaitej grubości od kilku cali do kilkunastu łokci.

W Polsce są obfite kopalnie węgla w południowo-zachodniej części Królestwa, w okolicy Będzina, Sosnowca i Dąbrowy Górniczej. Te pokłady węgla zowiemy Zagłębiem Dąbrowskiem. Dalej ku zachodowi przechodzą one na Śląsk, gdzie tworzą kopalnie jedne z najbogatszych w Europie.

Użytek z węgla jest ogromny. Daje on silniejszy i trwalszy płomień aniżeli najtwardsze drzewo, lub torf,

a taniej niż drzewo kosztuje. To też węglem kamiennym palą nietylko w kuchniach i mieszkaniach, ale i różnych fabrykach, hutach, kolejach żelaznych i okrętach parowych. Wyrabiają też z węgla gaz do oświetlania ulic i mieszkań.

Gaz ten świetlny otrzymują w gazowniach, przepalając węgiel bez dostępu powietrza w wielkich rurach glinianych szczelnie zamkniętych. Po przepaleniu zupełnem w rurach pozostaje koks. Jest to węgiel pozbawiony smoły i innych części lotnych. Jest on szarawy, połyskujący, dziurkowaty jak gąbka i bardzo twardy. Rozpala się trudno, lecz żarząc się, wydziela znaczne ciepło. Koks używa się na opał (znacznie tańszy od węgla) do kuźni i hut żelaznych.

Koks tedy zostaje w rurach (skąd go co jakiś czas wygarniają), a w górę rurami żelaznemi uchodzi gaz gęsty, który w dalszym ciągu oczyszczają by go oddzielić od smoły — i gromadzą w wielkich zbiornikach gazowych, (gazomierzach) skąd już rurami rozprowadzają po mieście. Od głównej rury, idącej środkiem ulicy, odchodzą rury boczne do domów i mieszkań, gdzie kończą się odpowiednio urządzonemi lampami. Za pokręceniem kurka u takiej lampy, gaz wychodzi, zapalamy go i mamy piękne światło.

Smoła oddzielona od gazu, która zdawałoby się, że na nic się nie przyda, daje również wiele pożytku. Po dalszem ogrzaniu daje ona parafinę, podobną do wosku, z której robią wyborne świece. Daje też kwas karbolowy, używany na lekarstwo i do czyszczenia różnych rzeczy i innych potrzeb; daje i inne lekarstwa, wreszcie prześliczne farby w najrozmaitszych barwach i odcieniach zwane farbami anilinowemi. Są one wprawdzie trujące przy użyciu wewnątrz, ale służą wybornie do farbowania różnych tkanin.

Wszystko to zawdzięczamy węglowi kamiennemu. Przed 200 laty nie znano węgla zupełnie, odkrył go przypadkiem pewien kowal angielski, a dziś ma on w przemyśle pierwszorzędne znaczenie i służy do zaspokojenia tysiącznych potrzeb człowieka.

Podziwiajmy w tem dobrotliwą pieczę Opatrzności, która przygotowała nam w łonie ziemi tak wielkie skarby, słusznie «czarnymi dyamentami» nazywane, aby teraz, gdy

drzewa coraz mniej na ziemi, materyału na opał nigdy nam jednak nie zabrakło.

II.

Ciekawy, chociaż ponury widok przedstawia kopalnia węgla. Spuszcza się do niej przez studnię głęboką, dochodzącą aż do pokładu węgla. Taka studnia nazywa się szybem, w bok od szybu prowadzą podziemne korytarze i pieczary. Są to miejsca, z których już węgiel wyłamano, a że ich ściany i sklepienia mogłyby się zawalić, podpierają je słupami murowanymi albo drewnianemi belkami. Czasem takie korytarze podnoszą się ukośnie w górę, to znów schodzą ukośnie na dół, a to zależnie od tego, w jakim kierunku leży pokład węgla. W dużej kopalni korytarze te ciągną się jedne za drugimi, tworząc tak zwane piętra kopalni.

Do kopalni spuszczać się trzeba windą. Jest to pomost drewniany z baryerką, umocowany na drucianych linach i stanowiący jakby ruchome dno szybu. Na znak dany dzwonkiem pomost powoli opuszcza się w podziemie. Dziwne wówczas uczucie ogarnia tego, co po raz pierwszy probuje tej jazdy. Wilgotne, czarne ściany i belki migają ponuro przy blasku kaganków, a winda leci jakby w przepaść ciemną, nieskończoną.

Na dole w kopalni zimno i ciemno, słabe światło rozlewają tylko kaganki górników, to jest ludzi pracujących przy wydobywaniu węgla. Ruch jednak panuje wielki. Koło windy zbierają się wózki z węglem, pędzące po szynach ze wszystkich stron; słychać głuchy turkot kół, przyciszony gwar ludzi i głośne, tłumionem echem rozchodzące się po kopalni rozkazy dozorców, zwanych tu sztygarami. Windy wyciągają z kopalni wózki z węglem, w ruch je wprowadza maszyna parowa.

Po korytarzach wózki ciągnione są przez konie, które raz sprowadzone do kopalni, już nigdy z niej nie wychodzą. Stajnia ich — to długi, szeroki, wykuty w węglu korytarz; są tam przedziały na konie, żłoby, drabiny, słoma na podściółkę, słowem tak, jak w zwyłej stajni.

Górnicy wyłamują węgiel dłutami i młotem, albo drągami żelaznymi i oskardami; częściej jednak rozsadzają na

mniejsze kawały prochem, lub dynamitem. Górnik wywierciwszy otwór w węglu, zakłada ładunek z prochem, poczem podpala lont i sam szybko odbiega. Skoro iskra dostanie się do założonej miny, rozlega się huk straszny, aż drżą ściany kopalni i wnet następuje trzask sypiących się z góry odłamów rozsadzonego węgla. Po wyłamaniu węgiel ładuje się łopatami na wózki i dowozi do windy.

Węgiel na wierzch wydobyty gatunkują na większe i mniejsze kawałki, przesiewając go przez olbrzymie żelazne sita, czyli rafy. Wysortowany węgiel zsypuje się zwykle wprost do podstawionych wagonów, które rozwożą go w różne strony kraju i świata.

Smutne i dziwne jest życie w ponurem podziemiu kopalni. Ciemno, mokro, woda sączy się po ścianach, spada kroplami ze sklepień, zbiera się w rowy i spływa do większych zbiorników, skąd musi być wypompowaną, gdyż inaczej groziłaby zalaniem. Wyprowadzenie wody z kopalni jest jedną z prac najważniejszych, a dokonywa się jej zapomocą olbrzymich maszyn parowych i pomp, ustawionych zwykle w głębi kopalni.

Zawód górników jest ciężki, bo muszą oni pracować w podziemiu, bez światła słonecznego, w pyle, w powietrzu zimnem i wilgotnem. Jest przytem niebezpieczny, bo co chwila narażeni są na kalectwo, lub śmierć. Nieraz giną od odłamów węgla rozbijanego prochem, a częściej jeszcze od wybuchów gazu i pyłu węglowego. W wielu kopalniach tworzy się bowiem gaz ulatniający się z węgla i rozchodzący po korytarzach. Jeżeli górnik z płonącą lampką wejdzie tam przypadkiem, następuje straszny wybuch, zawala się korytarz i nieraz giną całe dziesiątki nieszczęśliwych robotników.

Zdarzają się jeszcze inne wypadki, to też górnik co rano wychodząc do kopalni, żegna się z żoną i dziećmi, nie będąc pewny, czy wróci do nich wieczorem.

Uroczyste wrażenie robi kaplica w kopalni, zwykle wyżłobiona w węglu w kształcie szerokiej sklepionej pieczary, w której na ołtarzu stoi w kwiaty przybrany posąg św. Barbary, Patronki górników, z jednej bryły węgla wykuty.

Miejcież, poszanowanie dla tych dzielnych, odważnych pracowników, a patrząc na węgiel kamienny, przypominajcie sobie, że on z wielkim trudem, z wielkiem narażeniem życia został z wnętrza ziemi dla nas wydobyty. Wobec pracy górników jakże miłą wyda się każda inna praca dokonywana przy świetle dziennem, a tembardziej praca rolników na swobodzie i świeżem powietrzu

Hierarchia kościelna.

Z kościelnego kalendarza wydanego na rok 1911 wyjmujemy kilka interesujących liczb, dotyczących hierarchii, czyli zarządu kościelnego.

Głowa Kościoła, Papież Pius X. jest 258-ym następcą Piotra św. Ojciec św. z domu Józef Sarto, urodził się dnia 2-go czerwca 1835 roku. Wybrany Papieżem dnia 9 go sierpnia 1903 roku.

Kardynałów, (których według zwyczaju zaprowadzono w roku 1586 przez Syksta V., być powinno 70-ciu, w tem 6-ciu Kardynałów-Biskupów, 50-ciu Kardynałów - kapłanów i 14-tu Kardynałów-dyakonów) — mamy obecnie 53 i to 5 ciu Biskupów, 43-ch kapłanów i 5 ciu dyakonów. Siedmnaście krzeseł kardynalskich jest więc niezajętych.

Z Kardynałów jest 29 ciu nierezydujących w Rzymie. Najstarszym Kardynałem co do wieku jest Książę-Biskup wiedeński, ks. Grusza, który się urodził 1820 roku — najmłodszym sekretarz stanu Merry del Vall, urodzony w roku 1865.

Z mianowanych przez Piusa IX. Kardynałów żyje już tylko jeden, Kardynał-Biskup Alojzy Oreglia. Z czasów Leona XIII. żyje jeszcze 37-miu, a Pius X. mianował 15-tu Kardynałów. Za czasów papiestwa Piusa X., a więc w 7-miu latach, zmarło 28-miu Kardynałów.

Patryarchów obrządku łacińskiego jest ośmiu, a mianowicie Patryarcha aleksandryjski, antyochijski, jerozolimski, konstantynopolski, lizboński, wschodnio-indyjski, wenecki i zachodnio-indyjski. Obrządku wschodniego mamy sześciu Patryarchów; trzech antyochijskich, aleksandryjski i babi-

lońsko cylicyjski. W liczbie 14-tu Patryarchów jest dużo tylko tytularnych.

Socyaliści w izbach prawodawczych.

Sekretaryat międzynarodowy w Brukseli zestawił liczbę głosów oddanych w ostatnich czasach na socyalistów w wyborach do parlamentów państw poszczególnych. Liczby te przedstawiają się jak następuje:

Niemcy 3 miliony 250 tysięcy, Francya 1 milion, Austrya, 1 milion, Stany Zjednoczone 600 tysięcy, Anglia 500 tysięcy, Belgia 500 tysięcy, Włochy 339 tysięcy, Finlandya 337 tysięcy, Szwajcarya 100 tysięcy, Dania 99 tysięcy, Norwegia 90 tysięcy, Holandya 82 tysiące, Szwecya 75 tysięcy, razem 8 milionów 72 tysiące.

Liczba posłów socyalistów w parlamentach wynosi:

Finlandya	ma	84	socyalistów	na	200	posłów
Szwecya	«	36	«	«	165	«
Dania	«	24	«	«	114	«
Belgia	«	34	«	«	166	«
Austrya	«	88	«	«	516	«
Francya	«	76	«	«	584	«
Niemcy	«	45	«	«	397	«
Norwegia	«	11	«	«	123	«
Włochy	«	44	«	«	508	«
Holandya	«	7	«	«	100	«
Anglia	«	40	«	«	670	«
Szwajcarya	«	7	«	«	170	»
Serbia	«	1	«	«	160	«
Hiszpania	«	1	«	«	404	»

Rozmaitości.

Zabawa w „karę śmierci“.

Pisma rosyjskie donoszą ciągle o szerzącem się pod wpływem ostatnich wypadków wśród dzieci zamiłowaniu zabawy w „karę śmierci“, która często kończy się fatal-

nie. Swieży fakt tego rodzaju opisuje *Russkoje Słowo.* Dwaj chłopcy wieku lat 8 do 10 w Taszkiencie zakradli się do pokoju ojca, wyciągnęli z szuflady biurka rewolwer i ropoczęli zabawę w „karę śmierci“. „Stan pod ścianą, a ja będę cię rozstrzeliwał“ — zawołał brat starszy; młodszy zgodził się i stanął pod ścianą. Starszy wymierzył w głowę brata, lecz rewolwer spalił na panewce, wówczas młodszy rozłożył ręce, żeby przedstawiać lepszy cel. Huknął wystrzał i malec padł na ziemię raniony śmiertelnie.

Słoń zbawcą.

Podczas ostatniego wylewu Gangesu (w Indyach azyatyckich), który przy Sorori pochłonął setki pielgrzymów indyjskich, przeszło tysiąc ludzi uratowało się dzięki mądrości zwierzęcia. Wylew zastał pielgrzymów zanurzonych po pas w świętej wodzie Gangesu, a nadszedł z tak niesłychaną szybkością, że kilkuset pobożnych znikło odrazu w falach rzeki, reszta zaś musiała walczyć z rozszalałym żywołem. Pewien słoń, należący do młodego Hindusa, okazał wówczas podziwu godną przezorność. Zanurzył się kilkakrotnie do rzeki i za każdym razem wyciągał na brzeg mnóstwo ludzi, którzy się czepiali lin, umocowanych do uprzęży zwierzęcia. W tak niezwykły sposób, katastrofa przybrała rozmiary daleko mniejsze.

Straszne samobójstwo

popełnił handlarz ryb Krutow z końcem r. 1910 w Niższym Nowogrodzie (w Rosyi) w przystani parostatków. Krutow, przybyły niedawno z Astrachania, przechadzał się spokojnie po przystani, gdy nagle podszedł do kramu z chlebem, porwał długi, wyostrzony nóż i z całym zamachem wbił go sobie w krtań.

Publiczność podbiegła doń i chciała go ubezwładnić, oszalały jednak z bólu Krutów, bronił się rozpaczliwie, wymachując nożem, który co chwila wbijał znów w gardło i rozszarpywał nim coraz bardziej ranę. Wreszcie

nóż straszliwemu samobójcy odebrano, ale wówczas szaleniec zagłębił palce obu rąk w ranę i zaczął wyszarpywać mięso.

Policyanci, których wreszcie zawołano, skrępowali ręce nieszczęśliwemu samobójcy i umieścili go w powozie, by go przewieźć do szpitala, ale wówczas publiczność zażądała, by samobójcy rozwiązano ręce. Jednakże skoro tylko ręce uwolniono mu z więzów, K utow znów, już bezsilny i wyczerpany długim upływem krwi, zaczął palcami rozjątrzać ranę. W drodze do szpitala zmarł. Przypuszczają, że Krutow targnął się w tak przerażający sposób na swoje życie w przystępie obłędu.

Najliczniejszą flotę powietrzną

i najlepiej wyćwiczonych żeglarzy na samolotach ma dotąd Francya. Obecnie postąpiła jeszcze krok naprzód; inżynier francuski Taron wymyślił nabój torpedowy powietrzny, zapomocą którego będzie można niszczyć z samolotu nieprzyjacielskie balony. Nabój torpedowy wywołuje przy zderzeniu się z balonem wybuch tegoż. Próby poczynione w tym kierunku dały znakomite wyniki.

Demonstracye pijaków.

Istnieje w Ameryce północnej tak zwana „armia zbawienia“, która starając się oczyścić życie ludzkie z różnych zdrożności i przywar, walczy także zawzięcie z pijaństwem. Aby naocznie okazać jak wygląda gromada pijaków, urządziła niedawno w Nowym Jorku demonstracyę złożoną z samych opilców.

Ze wszystkich szynków i nor nowojorskich pozbierano setki pijanych mężczyzn i kobiet i w otoczeniu członków „armii zbawienia“ prowadzono ich przy dźwiękach orkiestry po ulicach miasta. Masa policyi i oficerów owej armii pilnowała porządku i udzielała „pomocy“ t m, których rozebrało w czasie pochodu.

Pochód ten, krzyczący i przeraźliwie śpiewający, wzbudzał naturalnie na ulicach Nowego Jorku wielkie wrażenie i wesołość.

Wieczorem odbyło się „nabożeństwo“ armii zbawienia, na którem jeden z jej członków niejaki Oliwier Tommeddy wygłosił do pijanych ogromnie budujące kazanie na temat szkodliwości upijania się. Wielu w czasie tego kazania rozbijało przyniesione flaszki wódki i ślubowało wstrzemięźliwość, większość jednak uczestników tej demonstracyi i tego nabożeństwa znaleziono — wedle raportów policyjnych — tej samej nocy pijanych do nieprzytomności w tych samych szynkach, w których zwerbowała ich armia zbawienia.

Język małp.

Profesor Garner, który bada od lat dwudziestu „język małp“, doszedł już do zrozumienia... aż jedenastu słów! Profesor prowadzi swe „studya językowe“ z dwiema odmianami małp, które zdaniem jego, odznaczają się najwyraźniejszą „wymową“. Sześć dźwięków, które podobno profesor nauczył się odróżniać, wydaje małpa, zwana przez przyrodników *cercopithecus nictitous*.

Dźwięk „kuni“ w języku tej małpy znaczy „chcę“, dźwięk „urh“ — gdzie jesteś?; dźwięk „unh“ — tutaj!; dźwięk „ki-zuhu“ — odejdź! precz!; dźwięk „auhu“ — zatrzymaj się; dźwięk „czuh“ — co tam? czego?

Oczywiście profesor zapewnia, że dźwięki, wydawane przez małpy, mogą być notowane za pomocą pisowni języków ludzkich tylko w przybliżeniu. Następne pięć dźwięków należą do małpy, zwanej *cercopithecus ludio*. „Ehe“ w tym języku znaczy „czego“?; „kiuh“ — chcę; „krii“ — gdzie; „ku hu“ — tutaj; „Aazz“ — niebezpieczeństwo, baczność. Jeżeli wyniki te badań profesora nie są zbyt wielkie, to za to jego małpa przyswojona, szympans-samica, zrobiła podobno większe postępy w rozumieniu mowy ludzkiej. Szympans rozumie podobno następujące wyrażenia: Wyjdź, chodź, połóż się, odejdź na bok, podaj mi to, usiądź, opuść nogi, weź swoją filiżankę, przysuń sobie krzesło, weź to ręką, rób dalej, przysuń mi to, podnieś się, skocz, poczekaj, prędko, pij, pocałuj, stół, łyżka. Tak się przynajmniej wydaje owemu profesorowi — ale czy tak jest w istocie — to niewiadomo.

Ciekawa niespodzianka

spotkała kilku złodziejów we Wilnie. Skradli dość ciężką skrzynię drowi Bakraszowi i zanieśli ją do sąsiedniego domu. Spodziewając się obfitego łupu, zabrali się z pospiechem do otwierania skrzyni. Wieko uniosło się wreszcie, a oczom chciwych złodziejów ukazało się 14 — czaszek ludzkich. Złodzieje oniemieli z przerażenia i uciekli. Pudło pozostało i zauważyli je mieszkańcy domu. Pewna ciekawa kobieta uchyliła wieko i zobaczywszy czaszki, wrzasnęła straszliwie. Wszystko się zbiegło, lecz kobieta wskazała tylko na skrzynię, nie mogąc głosu wydobyć. Każdy bał się zbliżyć, aż wreszcie jakiś odważny człowiek otworzył skrzynię. Zrobił się rozruch niemały. Lataninę i wrzaski zauważył lekarz, a sądząc, że zaszło nieszczęście, poszedł zobaczyć, co się dzieje, i w ten sposób odzyskał swą własność.

Włosy Papieża.

W pałacu papieskim zauważono, że jeden ze służby najbliżej Papieża, niejaki Antoni Graziadel posiada zawsze sporo gotówki i pozwala sobie na większe wydatki, niż na to może mu starczyć pensya. Śledząc go bliżej, stwierdzono, że pomysłowy ten sługa sprzedawał włosy Papieża za grube pieniądze różnym pielgrzymom, zwłaszcza cudzoziemcom. Gdy Papież dawał włosy strzydz nadwornemu balwierzowi, Graziadal zbierał je i następnie sprzedawał, zebrawszy za nie kilka tysięcy lirów. Pomysłowego sługę wydalono, a kilka loków papieskich, jakie miał przy sobie skonfiskowano.

Przysyłajcie prenumeratę! — Kto do końca lutego za „ŚWIATŁO“ nie zapłaci, — temu wstrzymamy od marca dalszą przesyłkę pisma!

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Marceli Dziurzyński.

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.

Figle i żarty.

Nasze sługi. Pani: — Kasiu kupiłaś cytryn?

Kasia: — Kupiłam, proszę pani, ale wszystkie wyrzuciłam, bo kwaśne.

Taki, jak ojciec. — Słuchaj, nauczyciel się skarży, powiada, że większego od ciebie łobuza w całej szkole niema.

— Tak, a wczoraj mi mówił, że jestem zupełnie taki, jak ojciec.

W menażeryi. — Pogromca zwierząt zmusza lwy skakać przez obręcz.

— Jakbym to samo potrafił — woła jeden obecny chłopak.

— Co, lwy poskramiać?

— Nie, odrzecze chłopak, ale skakać przez obręcz.

* * *

Sędzia: — Jak mogliście Jakóbie nazwać Wojciecha starym osłem?

Jakób: — Ależ prześwietny sędzio, znam go przecież już tak dawno...

Dobra rada, — Co ja tu poradzę, moja sąsiadko, mąż mi się co dzień upija, w domu nie siedzi tylko ciągle w szynku.

— Ot jest przecie rada...

— No jaka?

— Załóżcie sobie szynk, to będzie wtedy siedział w domu!

* * *

Nauczyciel: — Jak się nie poprawisz, to ojca przyprawisz o siwiznę.

Uczeń: — Tato nie osiwieje, bono si perukę.



PISMO DLA RODZIN CHRZEŚCIJAŃSKICH.
WYCHODZI RAZ W MIESIĄCU OKOŁO 1-GO.

Rocznik III. (Półrocze I.) **Numer 3.**



Adres: Redakcya ŚWIATŁA w Krakowie, ul. Powiśle L. 12.

Treść numeru 3-go.

Rocznik III. Kraków 1-go marca 1911. (Półrocze I-sze) Nr. 3.

ŚWIATŁO

pismo poświęcone nauce i rozrywce

wychodzi **raz** w miesiącu, dnia 1-go

Prenumerata „ŚWIATŁA“ wynosi w Austryi na **rok: 3** korony — na **pół roku: 1** kor, **50** hal. — Do Niemiec na rok: **4** kor. — półrocznie **2** kor. — Do Ameryki rocznie **1** dolar.

ADRES: Redakcya „ŚWIATŁA“ w Krakowie ul. Powiśle 12.

Obyczaje całoroczne Czechów.

Czesi za czasów jeszcze pogańskich, tak samo jak wszyscy Słowianie, jako rolnicy, czcili przedewszystkiem słońce, uważając je za sprawcę wszelkiego urodzaju na ziemi. Między innymi obchodami, w zimie, kiedy noce najdłuższe w roku się kończą, a światło, to jest słońce zaczyna brać znowu górę nad nocą, składali oni słońcu ofiary, czcząc je pod postacią bożka K o l a d y.

W czasie tych uroczystości odbywali różnego rodzaju wróżby. Po zaprowadzeniu wiary chrześcijańskiej, święta Bożego Narodzenia, przypadające w grudniu, zmięszały się z obchodami na cześć Kolady: stąd powstały różne obyczaje i wróżby, które jako zabawa dotąd się przechowały.

Przed wieczerzą w Wigilię Bożego Narodzenia dziewczęta czeskie biegną do sadu i sypią wszelkie obrzynki i okruchy od jadła pod drzewa i na trawę, jakoby na to, aby drzewa obficie owocowały, a trawa wysoko rosła.

Na wieczerzę wigilijną podają u nich tak, jak u nas: zupę grzybową, kaszę jaglaną, ryby, placki z serem, mleko makowe. Potem jedzą jabłka, śliwki suszone, orzechy i strucle.

Dzieci po kolacyi dostają podarki, najczęściej w pieniądzach. Dziewczęta wróżą sobie o przyszłem zamążpójściu, rzucając za siebie trzewikiem: w którą stronę obróci się trzewik nosem, padając na ziemię, stąd powiadają, mąż przybędzie...

O północy wszyscy idą do kościoła na Pasterkę.

Pierwszy dzień świąt przepędzają Czesi w domu, nigdzie w gościnę nie wychodząc.

W dzień św. Szczepana chłopcy chodzą po domach, śpiewają kolędy, za co dostają orzechy, jabłka, a czasem i pieniądze.

Wogóle święta Bożego Narodzenia w Czechach obchodzą bardzo poważnie. Pierwszego ani drugiego dnia nie tańczą i nie grają, a dawniej nawet do Trzech Króli w gospodach grać nie było wolno.

Na Nowy Rok za to, rozweselają się wszyscy: składają sobie wtedy nawzajem życzenia wszelkich pomyślności; dawniej wyprawiali w dniu tym rozmaite figle, aby wszystkich do śmiechu pobudzić, — dziś tego zaprzestali.

W Trzech Króli po nieszporach nauczyciel z dwoma chłopakami obchodzi gospodarzy, a śpiewając kolędę:

«Trzech królowie idą do was —
«Szczęścia, zdrowia winszują wam!

pisze święconą kredą na drzwiach pierwsze litery, zaczynające imiona Trzech Króli: *G. M. B.* i rok odpowiedni. Za to zostaje wraz z chłopcami suto ugoszczony i obdarzony pieniądzmi.

Zapusty tak, jak u nas, są porą wesel i zabaw.

W zapusty zbierają się prządki, a odrabiając przędziwo, śpiewają pieśni, opowiadają sobie ciekawe historye, czytają książki i gazety. Po uprzędzeniu całego zapasu lnu, składają się i wyprawiają sobie zabawę, na której najpilniejsza z prządek jest wybrana za królowę i w jej to domu przygotowuje się składkowa wieczerza.

W ostatki chłopcy przebierają się cudacznie, chodząc po wsi i bawiąc się w gospodzie wesoło, a w ostatni wtorek tańcują nawet stare baby, podskakując wysoko, aby im konopie urosły.

Powoli zbliża się wiosna: przyroda się odmładza — radość wstępuje w serce rolnika, bo ma nadzieję dobrego plonu. Na Palmową niedzielę święcą palmy; młodzież bije się wierzbowemi prątkami i połyka rozwinięte pączki wierzby.

W Wielki czwartek, piątek i sobotę zachowują post ścisły, za to w sobotę po Resurekcyi, kto ma na święta upieczonego baranka, zabiera się do mięsa. W Czechach niema zwyczaju przyrządzać święconego. Gospodynie tylko dziś na jutro robią zapas mięsiwa, z którego gotują obiad w Wielką Niedzielę. Pieką też ciasta, jak zwykle przed każdemi świętami. Pierwszy dzień świąt przepędzają w domu tak samo, jak w Boże Narodzenie. Młodzież obdarza się wzajemnie pisankami, to jest malowanemi jajami. Jeżeli która dziewczyna ma na jakiego chłopca dobre oko, to haftuje dla niego ładną chustkę i daje mu ją, pełną pisanek. Dawniej oblewano się wodą — obecnie zwyczaj szmigusu, jako szkodliwy nieraz dla zdrowia i niszczący odzienie, został zarzucony.

Po szczęśliwie ukończonych żniwach, wieśniacy czescy wyprawiają dożynki, przodownica, jak u nas, bawi się tam na czele.

Na Zaduszki gospodynie pieką osobliwy gatunek bułek, zwanych «duszyczkami», które rozdają biednym, zebranym pod kościołem, z prośbą o modlitwę za duszę zmarłych krewnych. Na pamątkę też nieboszczyków, kupują wielkie lichtarze, w które oprawiają równie duże świece i zawieszają na nie wieńce z odpowiednim na wstążce napisem. Świece te stawiają się w kościele na ziemi przed wielkim ołtarzem. Są to jednak rzeczy kosztowne, na które mało kogo stać.

Czesi są przeważnie katolikami. Przykazania Boże i kościelne zachowują ściśle, są wogóle uczciwi i moralni. Do rzadkości należy tam zdrada między małżonkami, a choć młodzież ma dużo swobody, bardzo uczciwie się prowadzi. — Poszanowanie cudzej własności wpojone mają już od dziecka, dowodem tego służyć mogą choćby drzewa, któremi wysadzone są drogi, a których opadłe owoce leżą spokojnie, póki ich właściciel nie zbierze.

W niedzielę po kościołach można spotkać pełno ludu, który w czasie Mszy św. przy towarzyszeniu organów śpiewa chórem. Ponieważ w szkołach uczą śpiewać, zatem śpiew w kościele nie jest fałszywy, bardzo mile wpada w ucho. Przed kazaniem ksiądz odmawia pacierz pospół z ludem, który mu głośno odpowiada. Śliczną jest taka modlitwa i prawdziwie wzruszającą.

Z wielką uroczystością bywają obchodzone w Czechach odpusty, osobliwie te, które wypadają w dzień poświęcenia kościoła parafialnego. Oprócz uroczystego nabożeństwa w kościele, cała wieś niezwykle się przedstawia. Na kilka dni wprzódy robią gospodynie przygotowania i pieką ciasto, biją drób, bo święto Patrona parafii jest świętem całej gromady. Trzeba tedy wspaniale wystąpić. Na dzień ten spodziewają się parafianie wielu gości i rzeczywiście na te poświęcenia przybywają nawet z bardzo odległych stron krewni i przyjaciele, których odpowiednio przyjąć trzeba, a nawet i obdarzyć. Gospodynie przygotowują zapas kołaczy z makiem, powidłami i serem, bo z poświęcenia wypada koniecznie posłać przez przybyłych pozostałych w domu członkom rodziny jakiś przysmak.

Wesoło też bywa na tym obchodzie. Z okolic zbierają się kompanie pobożnych, które z obrazami Świętych i chorągwiami dążą na odpust, a pomodliwszy się w kościele, odwiedzają krewnych i znajomych, albo też idą hulać do gospody.

Niema większej przyjemności dla młodzieży, jako też i dla starszych, jak odbyć pielgrzymkę na poświęcenie. Jeśli odpust jest gdzie daleko, to cała kompania udaje się tam koleją.

Najsławniejsze i najliczniejsze zarazem odpusty bywają 16-go maja na św. Jana Nepomucena, 29-go września na św. Wacława w Pradze. W miejscowej katedrze spoczywają ciała obu tych Swiętych, a przy sposobności zwiedzają też Czesi swą mateczkę Pragę, którą kochają nadewszystko.

Liczne też bywają pielgrzymki do Przybramu na świętą Górę, do Mlady Boleslawi, gdzie są cudowne obrazy Najświętszej Panny, jak u nas w Częstochowie. — Cudzoziemiec, przybyły do Czech, zdziwiłby się, nie spoty-

kając na ulicach księży, mógłby wnosić z tego, że tam księży bardzo mało. Tymczasem przeciwnie, w Czechach jest wielu księży, bo prócz świeckich są tam jeszcze zakonnicy. Tylko księża czescy na ulicy nie noszą sutanny, lecz ubierają się po świecku w zwyczajne surduty. W kościele tylko, przy spełnianiu obrządków lub odprawianiu nabożeństwa, przywdziewają długie czarne sutanny, a na wierzch kładą zwykłe alby, ornaty i inne ubiory kościelne.

Bogate i piękne są kościoły czeskie, osobliwie w większych miastach, gdzie je fundowali bogaci panowie lub królowie. Samo miasto Praga ma kościołów 40 i 20 kaplic, najpiękniejsze z nich są: katedralny św. Wita, zbudowany na zamku królewskim i bardzo bogato ozdobiony, a także kościół Tyński.

Wielu Czechów odznaczyło się życiem pobożnem lub nawet męczeństwem za wiarę i za to w poczet Swiętych zaliczonymi zostali, jak: św. Wacław, św. Wojciech i św. Zyta, patronka służących.

Prawdziwość ksiąg ewangielicznych i podanych w nich nauk.

Głównem źródłem, z którego czerpiemy dokładne wiadomości o życiu, działaniu i nauczycielskim zawodzie Chrystusa Pana — są cztery Ewangelie. Dają nam one najdokładniejszy obraz Boskiego Zbawiciela. Czy jednak możemy tym Ewangeliom zupełnie pewnie zawierzyć? Czy wiadomości, w nich zawarte, zasługują rzeczywiście na nasze pełne zaufanie? Otóż rozpatrzmy to sumiennie.

Dwie z owych czterech Ewangelii pochodzą od apostołów Mateusza i Jana, drugie zaś dwie zostały napisane przez św. Marka i Łukasza. Marek był uczniem Apostoła św. Piotra, św. Łukasz zaś był uczniem św. Pawła. Ludzie ci opisali życie i działalność Chrystusa Pana nie dla użytku pojedynczych chrześcijan, ale Ewangelie były przeznaczone do publicznego użytku gmin chrześcijańskich i były używane przy nabożeństwach. A więc w Ewangeliach mieszczą się

wiadomości, wnet po śmierci Chrystusa zebrane, bo w tym czasie, w którym wielu żyło jeszcze ludzi, osobiście pracujących z Apostołami, których opowiadań i kazań własnemi słuchali uszyma.

Pierwsi chrześcijanie byli głęboko przekonani o prawdziwości Ewangelii, co widzimy z tego, że najstarsi chrześcijańscy pisarze często wspominają o Ewangeliach i podają z nich całe ustępy. Tak n. p. Ireneusz, urodzony około roku 130, przytacza w swoich pismach niemniej jak czterysta miejsc z Ewangelii.

Za drugiego świadka może posłużyć św. Polikarp, uczeń Ewangelisty i Apostoła św. Jana, który sam mianował Polikarpa Biskupem w Smyrnie. Otóż przez więcej jak pięćdziesiąt lat jego biskupiej działalności odczytywano we wszystkie niedziele Ewangelie przy Mszy św.

Czyż więc można przypuścić, że ów Biskup byłby pozwolił odczytywać Ewangelie, gdyby nie był pewnym ich apostolskiego pochodzenia? Nie, bo on sam poniósł w roku 155 śmierć męczeńską za wiarę i prawdziwość Ewangelii św.

O jednem jeszcze cennem świadectwie należy tu wspomnieć.

Zbadano mianowicie, że chrześcijanie używali Ewangelii już w roku 180 w małej wiosce dalekiej Numidyi. Wynika to z dokumentów, odnoszących się do scylitańskich męczenników, które opowiadają o tem, jak prokonzul pytał w śledztwie chrześcijan: «Co za książki zamykacie w waszych szafach?» Speratus, jeden z męczenników, odpowiada: «Księgi Ewangelii i listy św. Pawła».

Czyż więc istnieje druga jakaś księga na świecie, któraby miała za sobą podobny dowód prawdziwości, jakim dla Ewangelii jest używanie jej przy nabożeństwach w najdawniejszych chrześcijańskich czasach? Starcy, którzy osobiście stykali się z Chrystusem Panem i Apostołami, mogli porównać zgodność czytanych Ewangelii z tem, co sami przeżyli; dzieci i młodzieńcy, którzy ze starcami brali udział w nabożeństwach, mogli podać ich świadectwa późniejszym pokoleniom. A w ten sposób ręczyło za prawdziwość Ewangelii niejedno tylko miasto lub gmina, ale cały ich szereg.

Ale również przeciwnicy chrześcijaństwa w onych czasach dostarczają nam liczych dowodów prawdziwości Ewangelii. Już wcześnie powstali różni nauczycieli błędu, którzy odłączyli się od Kościoła. Ci więc byliby z pewnością zaprzeczyli prawdziwości Ewangelii, gdyby to tylko mogli byli uczynić. A nie uczynili tego. I dlatego to św. Ireneusz mógł w II. wieku pisać: «Tak silnie są nasze Ewangelie ugruntowane, że nawet odszczepieńcy składają dla nich świadectwa». To samo można też powiedzieć o poganach. Ci zwalczali chrześcijanizm nietylko mieczem ze stali, ale też mieczem wiedzy. Do tych należy przedewszystkiem słynny w pierwszej połowie drugiego wieku filozof pogański Celzus, który w pismach swoich gwałtownie napadał na chrześcijanizm. Znał on Ewangelię bardzo dobrze, wyśmiewał jej nauki, ale prawdziwości Ewangelii nie zaprzeczał nigdy.

Dodajmy tu kilka jeszcze innych dowodów. Każdy znawca historyi wie, jak zawikłanemi były stosunki religijne, społeczne i polityczne za czasów Chrystusa Pana w Palestynie. Po zdobyciu Jerozolimy przez Rzymian w roku 70 wszystkie te stosunki wyjaśniły się. Otóż w Ewangeliach stosunki, panujące w Palestynie przed zdobyciem Jerozolimy, przedstawione są tak jasno i prawdziwie, jak to mogli uczynić tylko ci, którzy w owych czasach i w owych stosunkach żyli. W Ewangeliach spotykamy n. p. wzmianki o geograficznych stosunkach Palestyny, o monetach, o bardzo zawikłanej chronologii świeckich władców; wszystko to świadczy o tem, że Ewangelie zostały napisane rzeczywiście w owych czasach i przez ludzi wówczas żyjących. Późniejszy bowiem pisarz nie potrafiłby się tak dobrze wyznać w tych stosunkach i musiałby w ich opisywaniu niejeden błąd popełnić.

A teraz zapytamy się, co mówi o Ewangeliach nauka nietylko katolicka, ale protestancka, a nawet niechrześcijańska? Otóż wyrok wszelkiej nauki jest taki: Jest niezaprzeczoną prawdą, że Ewangelie zostały napisane rzeczywiście przez naocznych świadków. Inni, później żyjący ludzie, nie byliby nawet w stanie ich napisać.

Pomimo jednak tych niezliczonych dowodów prawdziwości Ewangelii ludzie często są jeszcze niezadowoleni. Oto

bowiem możemy powiedzieć: «Prawdą jest niezbitą, że Ewangelie napisali naoczni świadkowie, ale — czy ci Ewangeliści napisali rzeczywiście prawdę? Że Ewangeliści mogli znać prawdę — to pewna, ale czy także chcieli oni prawdę powiedzieć?» Na to pytanie musimy jeszcze odpowiedzieć, ponieważ w tak ważnych rzeczach pragniemy być wszechstronni i zupełnie pewni.

Otóż na dowód tego, że Ewangeliści mówili prawdę, wystarczyłoby przytoczyć, że ci ludzie odznaczali się czystym, niczem nieskalanym charakterem. Ale mamy na to inny ważniejszy dowód taki, wobec którego nie masz na świecie większego i potężniejszego. Pytamy się: czy Ewangeliści mieli z tego, co pisali, jakiś ziemski zysk lub korzyść? Nie, nawet śladu korzyści. Przeciwnie, Ewangeliści za to, co pisali, ponieśli wielkie i liczne ofiary, wielu z nich wycierpiało straszne cierpienia i katusze.

A już chyba najpotężniejszym dowodem umiłowania prawdy jest to, że Ewageliści ponieśli śmierć męczeńską w obronie tych nauk, które spisali w Ewangeliach. A uczynił to niejeden tylko z nich — ale wszyscy, a po nich wielu współczesnych im wiernych stwierdziło przez swoją śmierć męczeńską, że Ewangelie głoszą naukę prawdziwą. Otóż ten właśnie krwawy dowód jest najsilniejszym. Bo przecież tak Ewangeliści, jak inni męczennicy, mogli byli jednem jedynem słowem odwrócić od siebie wszystkie cierpienia i śmierć męczeńską, a jednak tak nie zrobili, lecz ponieśli śmierć w obronie tego, co głosili. Coś takiego może zdziałać tylko najgłębsze przekonanie o prawdzie.

Możemy dalej wykazać, że Ewangeliści nie byliby nawet mogli wyssać sobie z palca i zmyśleć tego, co opisali w Ewangeliach. Byli to przecież prostaczkowie, pochodzący ze stanu robotniczego, którzy nie posiadali najmniejszej nauki, i wyższego wykształcenia. Czyż więc jest możliwem, ażeby tacy ludzie mogli sobie zmyśleć tak wspaniałą naukę, jaka zawarta jest w Ewangeliach, naukę, które przeobraziła świat cały? To, czego nie zdołali wynaleść najwięksi greccy i rzymscy mędrcy świata przy pomocy swojego wysokiego wykształcenia i wielkiego rozumu — to mieliby wynaleść niewykształceni ludzie? W chrześcijań-

skiej nauce wiary i obyczajów mieści się taka niesłychana mądrość, że nic jej przewyższyć nie potrafi. Stwierdzają to nawet wrogowie Wiary św. Czyż więc taka mądrość miałaby być wynalazkiem Ewangelistów, ludzi prostych i niewykształconych?

Wszystko to przekonywa nas, że Ewangeliści, chociażby nawet chcieli byli kłamać i zmyślać, to poprostu nie byli w możności tego uczynić. Ewangelie są więc nadzwyczaj prawdziwem i godnem zaufania źródłem wiadomości o życiu, działalności i cierpieniach Chrystusa Pana, wiadomościom tym należy bez żadnej wątpliwości wierzyć, bo one są prawdziwe.

Pomimo tego są jednak ludzie, którzy Ewangelie uważają za nieprawdziwe i nie wierzą im. Jak się to dzieje? Otóż rzecz to bardzo prosta. Ludzie oddają się na nauce w podwójnym celu. Jedni starają się przez naukę dojść do prawdy i szukają niczego więcej, jak tylko prawdy. Ta nauka, chociaż nieraz spoczywa na niechrześcijańskim gruncie — uznaje bezwzględną prawdziwość Ewangelii.

Drudzy, ażeby zwalczyć naukę Chrystusa i zniszczyć chrześcijanizm. Liczba tych jest dziś wielka. Ci nadużywają nauki, bo głoszą jedynie przypuszczenia, oparte na dowodach, które przy bliższem zbadaniu przedstawiają się, jako puste słowa i krętactwa. W ten sposób okłamują tysiące ludzi «nauką», która właściwie na tę nazwę nie zasługuje, ponieważ celem jej nie jest badanie prawdy, lecz przeciwnie walka z chrześcijaństwem.

Ta więc nauka zadaje sobie wiele trudu i mozołu, ażeby osłabić prawdziwość Ewangelii i zachwiać wiarę w prawdy ewangeliczne. A dlaczego to robi? Ewangelie opowiadają o cudach. Cudów jednak nie chce uznawać za żadną cenę nauka, wroga chrześcijaństwu. Kto bowiem przyjmuje cuda, musi też z konieczności przyjąć Boga i musi wierzyć w Boga i Jezusa Chrystusa, jako Syna Bożego. Przedstawiciele jednak tej fałszywej nauki nie chcą uwierzyć w boskie pochodzenie Chrystusa Pana, bo gdyby uwierzyli — wtedy musieliby poddać się Jego przykazaniom i Jego nauce obyczajów.

Do tej wrogiej nam nauki można zastosować przysłowie o krowie, która wiele ryczy, a mało daje mleka;

dlatego nie może nas ona w błąd wprowadzić. Chętnie zaś idziemy za tą nauką, która wypisuje na swoim sztandarze słowa: «Prawda! Nic więcej — jak tylko prawda!» Ta nauka uznaje w zupełności, że Ewangelie są prawdziwe i że należy im wierzyć. Wszelkie zaś napaści na Ewangelię są daremne i bezsilne, bo Ewangelie opisują życie i czyny Chrystusa Pana zupełnie wiernie — czyli tak, jak żył i działał Zbawiciel świata.

OJCIEC MILON.

(Wspomnienie z wojny francusko-pruskiej 1870 roku)..

Jasne słońce rzuca na pola swoje ogniste promienie. Rozkoszne życie wydobywa się z pod tej ulewy ognia wszystko dokoła, jak okiem sięgnąć roztapia się w zieleni...

Folwarki normandzkie, rozsiane po płaszczyźnie, wyglądają z dala, jak małe borki wśród wybujałych buków. Z blizka zaś, otworzywszy drewnianą bramę, widzimy olbrzymi ogród: wszystkie stare jabłonie, kościste jak chłopi, całe są okryte kwieciem. Pnie czarne, pokręcone i garbate wznoszą ku niebu swe biało-różowe wierzchołki, błyszczące mieniącemi się barwami. Słodka ich woń łączy się z drażniącym odorem, który wydobywa się z otwartej obory i kurnika.

Południe... Rodzina obiaduje właśnie w cieniu gruszy, zasadzonej przed domostwem: ojciec, matka, czworo dzieci, dwie służące i trzech parobków. Nic nie mówią do siebie. Zjadłszy zupę, zabrali się do misy pełnej kartofli ze słoniną...

Od czasu do czasu służąca wstaje, idzie do piwnicy napełnić dzban jabłecznikiem.

Gospodarz, duży chłop czterdziestoletni, przypatruje się około domu rosnącej winnej latorośli, która jak wąż skręca się około okien, wzdłuż muru. Wreszcie odezwał się:

— Wino ojca kiełkuje wcześnie; może w tym roku będzie urodzaj.

Kobieta także się obejrzała, nie wyrzekłszy słowa.

Ta winna latorośl była zasadzona na miejscu, gdzie ojca rozstrzelono.

* * *

Było to w roku 1870. Prusacy zajęli cały kraj. Jenerał Faidherbe stał tu na czele swej armii.

Sztab pruski obrał sobie stanowisko na tym folwarku. Chłop, do którego folwark należał, ojciec Milon, przyjął ich, jak mógł nalepiej.

Od miesiąca awangarda niemiecka stała we wsi na posterunku. Francuzi mieli swoją pozycyę o dziesięć mil stąd i byli zupełnie nieczynni; a jednak co noc ubywało ułanów. Każdy odosobniony jeździec, albo nawet kilku kawalerzystów, jak tylko znalazło się na ustroni, nie powracało więcej: znajdowano ich nazajutrz nieżywych w polu lub w rowie. Ich konie leżały także rozciągnięte na drodze, zabite cięciem szabli.

Te zabójstwa zdawały się być spełniane przez jednych i tych samych ludzi, których jednak nie można było schwytać.

Przestrach ogarnął całą okolicę. Rozstrzeliwano chłopów za najmniejszą poszlakę, więziono kobiety; starano się groźbą wydobyć z dzieci jakąś wskazówkę — wszystko napróżno.

Otóż pewnego poranku spostrzeżono ojca Milona leżącego w stajni z twarzą okaleczoną. Dwóch ułanów tegoż samego rana znaleziono zabitych o trzy kilometry od folwarku. Jeden z nich trzymał jeszcze w ręku swoją szablę zakrwawioną. Widać, że się bił i bronił:

Rada wojenna została w tej chwili zwołana, tu przed tym folwarkiem. Przyprowadzono starego.

Ojciec Milon miał lat sześćdziesiąt ośm. Był mały, chuderlawy, trochę garbaty, z długiemi rękami, podobnemi do kleszczów raka morskiego.

Jego włosy płowe, rzadkie i lekkie, jak puszek młodego kaczęcia, nie okrywały czaszki. Skórę miał ciemną i pomarszczoną, dokoła szyi uwydatniały się grube żyły widoczne również przy szczękach. Uchodził w okolicy za skąpca.

Postawiono go między czterema żołnierzami przed stołem kuchennym, umyślnie tu przyniesionym. Pięciu oficerów z pułkownikiem usiadło wprost niego:

Pułkownik rzekł po francusku:

— Ojcze Milon. Od czasu, jak tu przybyliśmy, jesteśmy z ciebie zadowoleni. Byłeś dla nas zawsze uprzejmym, a nawet ugrzecznionym. Ale dziś straszne podejrzenie zaciążyło na tobie, trzeba go wyświetlić. Jakim sposobem otrzymałeś ranę, którą masz na twarzy?

Chłop nic nie odpowiedział.

Pułkownik mówił dalej:

— Twoje milczenie potępia cię, ojcze Milon, ale chcę, żebyś mi sam odpowiedział. Czy mnie rozumiesz? Czy wiesz, kto zabił dwóch ułanów znalezionych dziś niedaleko stąd?

Starzec odpowiedział krótko a dobitnie:

— Ja!...

Pułkownik zdziwiony zamilkł na chwilkę, nie spuszczając z niego oka. Ojciec Milon stał nieporuszony, z właściwą chłopom głupkowatą miną, z oczyma spuszczonemi, jak gdyby rozmawiał ze swoim proboszczem. Jedna tylko rzecz zdradzała jego niepokój: raz po raz połykał ślinę z widocznym wysiłkiem, jak gdyby gardło miał zaciśnięte.

Rodzina starca: jego syn Jan, synowa, dwoje wnucząt — wszyscy stali o kilka kroków w tyle, przerażeni okropnie.

Pułkownik rozpoczął przerwane na chwilę badanie:

— A czy wiesz, kto zabijał po kolei naszych ułanów, których znajdowano od miesiąca każdego rana w polu nieżywych?

Starzec odpowiedział z tą samą, lodowatą obojętnością:

— Ja!..

— Ty zabiłeś ich wszystkich?

— Ja!...

— Ty? Własną ręką?

— Ja!...

— Opowiedz nam, w jaki to sposób czyniłeś?

Tym razem ojciec Milon zdawał się trochę poruszonym. Potrzeba mówienia męczyła go widocznie, rzekł więc:

— Powiedziałem już. Zabiłem wszystkich!...

Pułkownik mówił dalej:

— Uprzedzam cię, że musisz wszystko wyznać. Najlepiej zrobisz, skoro zaraz to uczynisz.

Starzec rzucił niespokojne spojrzenie na rodzinę, stojącą tuż za nim, zawahał się jeszcze chwilę, wkońcu machnął ręką i począł:

— Pewnego wieczora, około dziesiątej godziny, nazajutrz po waszym tutaj przyjeździe, powracałem do domu. Ty i twoi żołnierze zabraliście mi więcej niż za 50 luidorów paszy, oprócz tego krowę i dwa barany. Powiedziałem sobie: dopóki brać będą mój dobytek, dopóty będę się im odwdzięczał.

Miałem jeszcze w sercu coś innego przeciwko wam! — Opowiem wszystko! — Otóż spostrzegam jednego ułana, palącego fajkę na moim wozie za stodołą. Zdejmuję z kołka moją kosę i skradam się po cichu, na palcach. Ułan nie słyszał. — Ściąłem mu głowę za jednym zamachem, jak kłos zboża. Nawet pary z ust nie puścił. Szukajcie głęboko w kałuży, znajdziecie go w worku od węgla. Czyniąc to miałem swój cel na względzie. Zabrałem wszystkie jego rzeczy, zacząwszy od butów, aż do czapki; schowałem je na strychu...

Starzec zamilkł. Oficerowie w osłupieniu spoglądali po sobie.

* * *

Ojciec Milon opowiadał dalej, jak spełniwszy pierwsze zabójstwo, myślał o dalszych. Nienawidził wrogów, nienawidził skrytą, zawziętą nienawiścią. Miał w tem swój cel, jak mówił. Przeczekał dni kilka. Pozwalano mu dowolnie wychodzić i wracać, robić co mu się spodoba: tak okazywał się pokornym, uległym i uprzejmym. Widywał każdego wieczoru wyjeżdżające oddziałki. Pewnej nocy, dosłyszawszy nazwisko wsi, dokąd się udać miał jeden ułan, wyszedł z domu. W ciągłych będąc stosunkach z żołnie-

rzami, nauczył się kilku wyrazów niemieckich, które mu były potrzebne do przeprowadzenia planu.

Wszedł na strych i tam się przebrał w ubranie zabitego ułana. Potem poczołgał się do lasu, kryjąc się w zarośla i przysłuchując najmniejszemu szelestowi. Był niespokojny, jak złodziej.

Skoro pora nadeszła, zbliżył się do drogi nie wychodząc z zarośli. Zaczekał chwilkę. Koło północy tentent kopyt końskich rozległ się po twardym gruncie. Przyłożył ucho do ziemi, aby się zapewnić, czy tylko jeden ułan się zbliża. Był gotów do walki.

Ułan jechał prędkim kłusem, wiozący depesze. Z okiem wytężonem i nadstawionem uchem czekał na niego. Skoro zbliżył się na dziesięć kroków, ojciec Milon przywlókł się do niego przez środek drogi, jęcząc: «Hilfe! Hilfe! Ratunku, ratunku!» Ułan zatrzymał się, wziął go za Niemca i przypuszczając, że jest raniony, zsiadł z konia, nic nie podejrzywając. Gdy się nachylił ku niemu, dostał w sam brzuch pchnięcie głębokie ostrą szablą. Padł bez życia.

Wtenczas Normandczyk, uniesiony niemą radością namiętnego chłopa, powstał i dla swej już przyjemności, poderznął gardło trupa, ściągnął do rowu i tam go wrzucił.

Koń czekał spokojnie na swego pana. Ojciec Milon wskoczył na siodło i pojechał galopem przez pole. W godzinę później spostrzegł znów dwóch ułanów, jadących konno obok siebie, wracali do obozu. Podjechał prosto do nich, krzycząc znów: «Hilfe! Hilfe!» Prusacy widząc mundur niemiecki, bez najmniejszej obawy pozwolili mu się przybliżyć; tymczasem stary jak kula armatnia wpadł między ich obu, zabijając jednego szablą, drugiego wystrzałem z rewolweru. Następnie pozabijał ich konie — konie niemieckie; poczem najspokojniej zaprowadził do szopy w lesie konia swego, dał mu snop siana i wody, sam zaś rozebrał się, mundur ukrył i przywdział znów odzienie chłopskie, wpierw tam już przygotowane. Powrócił następnie do swego łóżka i spał smacznie do rana.

Przez cztery dni z rzędu nie wychodził wcale, oczekując końca rozpoczętego śledztwa; ale piątego dnia znów ruszył w drogę; zabił jeszcze dwóch ułanów, dzięki temu

samemu podstępowi. Odtąd już go nic powstrzymać nie mogło. Co noc błąkał się, puszczał na los szczęścia, zabijając pruskich żołnierzy to tu, to tam, galopując przez puste pola, przy blasku księżyca. A skoro zadanie swoje skończył, zostawiając poza sobą trupy leżące wzdłuż drogi, stary kawalerzysta szedł chować konia i mundur do szopy.

W południe odwiedził najspokojniej swego wierzchowca, nosząc mu owies i wodę; żywił go obficie, bo wymagał nawzajem ciężkiej pracy.

Ale pewnego dnia jeden z napadniętych miał się na baczności i cięciem szabli rozpłatał twarz starego chłopa; ten jednak zabił ich obydwóch.

Pomimo to ukrył konia, włożył swoje nędzne ubranie; ale kiedy wracał zrobiło mu się słabo, zawlókł się więc do stajni, nie mogąc dojść do domu. Tam też go znaleziono zakrwawionego, rozciągniętego na słomie.

* * *

Skoro skończył swoje opowiadanie, podniósł nagle głowę, spoglądając z dumą na oficerów pruskich.

Pułkownik kręcąc wąsa, zapytał:

— Nie masz już nic więcej do powiedzenia?

— Nic, nic więcej! Rachunek jest zrobiony sprawiedliwie: zabiłem szesnastu, ani jednego mniej, ani jednego więcej...

— Wiesz ty, że cię czeka śmierć?

— Nie będę prosił o ułaskawienie.

— A byłeś ty żołnierzem?

— Tak jest byłem w swoim czasie. Ale wyście zabili mi ojca, który był żołnierzem, a przytem zabiliście mi młodszego syna Franciszka w przeszłym miesiącu pod Evreux. Byłem więc dłużnym — i dług spłaciłem. Teraz między nami kwita.

Oficerowie spoglądali po sobie.

Starzec mówił dalej.

— Ja do was nie przyszedłem! Ja was nie znam, ani wiem, zkąd przychodzicie.

A prostując swój garb, skrzyżował ręce, wywierając wrażenie pokornego bohatera.

Prusacy rozmawiali długo pomiędzy sobą po cichu. Kapitan, który także stracił syna w przeszłym miesiącu, bronił starca. Wtenczas pułkownik wstał, zbliżył się do ojca Milona, a zniżając głos rzekł:

— Słuchaj starcze! jest może sposób uratowania ci życia?

Ale ojciec Milon nie słuchał go. Wzrok tylko wlepił w pułkownika. Wiatr poruszał małe kosmyki włosów na jego czaszce.

W jednej chwili ojciec Milon został porwany na ręce i przyparty do muru. Kiedy go miano rozstrzelać, uśmiechał się do Jana, starszego swego syna, do synowej i do dwojga dziewcząt, którzy patrzyli nań w niemym, niewypowiedzianym bólu...

W SZWAJCARYI.

Opowiadanie przez ks. St. M.

(Dokończenie).

A piją wino Szwajcarowie rozcieńczone wodą — znać troszczą się o to, ażeby w głowach i czubach wcale się nie dymiło.

Mieszkałem czas jakiś we wsi, która liczyła nie więcej nad pięćset dusz, miała ta wieś swą pocztę, miała swój sklepik, swą gospodę, nawet fabrykę serów. Codzień pod wieczór widywałem, jak z sąsiednich pojedynczych zagród przychodzili mężczyźni, chłopcy, kobiety, niosąc na plecach płaskie dzbany z mlekiem. W serowarni — niemiec jakiś odbierał mleko, notował i wnet spuszczał je do kotła przerabiać na sery.

Gdy wieczorem na «Anioł Pański» dzwon się odzywa w kościele, wszyscy się krótko pomodliwszy, siadają do wieczerzy, potem czytają gazety, radzą o sprawach swej ojczyzny, rozprawiają o potrzebach kościoła i plebanii, wesoło nieraz śpiewają, a zawsze się rozchodzą w zgodzie i wzajemnym szacunku.

Przypominam tu sobie zdarzenie, które mi na długo zostanie w pamięci.

Mianowicie pewnego dnia skwarnego w południe rozległ się jęk dzwonu z kościoła; w sąsiednich wsiach ozwały się też na trwogę tamtejsze dzwony (Szwajcarowie mają co parę wiosek parafię) i wnet z różnych kątków zaczęli się zjawiać ludzie pieszo i na kołowcach (rowerach) i pospieszać w kierunku sąsiedniego lasu, skąd się pokazał dym. We wsi schwytano prędce konie, wzięto beczki, sikawki i pompę do wyrzucania wody.

I wszystko to w okamgnieniu biegło w stronę pożaru, po drodze, (bo i ja pospieszyłem oglądać pożar szwajcarski) przyłączyły się z innych wsi i folwarków inne wozy ratunkowe.

A tak wszyscy w kilka minut byliśmy o jakieś trzy kilometry na miejscu pożaru, gdzie płonęło siano, które samo się zapaliło od przeparzenia w stercie.

Miły Boże, jak to ci ludzie czuli są na biedę bliźniego. Kto tylko słyszał dzwony, rzucał pracę i biegł ratować bliźniego.

Kiedy się dziwiłem takiej ich łączności i jednomyślności, oni w zamian się dziwili, że u nas niema po wsiach ani straży ogniowej, ani serca chętnego do pomocy bliźniemu.

III.

Szwajcarya jest samodzielnem państwem i powstała z 22 kantonów (po naszemu powiatów).

Wszystkie te kantony razem mają w mieście Bernie tak zwaną Radę związkową z prezydentem na czele, który to, jako głowa państwa wraz z posłami od różnych kantonów, rozstrzyga sprawy ogólne obchodzące całą Szwajcaryę. Takiemi są sprawy stosunku do innych państw, wojsko, drogi, podatki ogólne.

Każdy zaś kanton u siebie w domu jest zupełnie wolny w swej wewnętrznej gospodarce. Ma własne władze i własne prawa. Niektóre kantony naprzykład, mają karę śmierci, inne tego nie mają.

Cała Szwajcarya zajmuje czterdzieści tysięcy kwadratowych kilometrów. Na tej przestrzeni mieszka tam trzy miliony wolnych obywateli, mających równe prawa.

A chociaż do składu tej całości należą Niemcy, Francuzi, Włosi — wszyscy mówią własną mową — zgoda panuje u nich najlepsza, wszyscy kochają wspólną ojczyznę— i nikt tam nie robi krzywdy sąsiadowi za to, że ten ma własną mowę, własne swe obyczaje i własną religię.

Pod względem religijnym Szwajcarowie dzielą się na katolików, których jest tam jeden milion dwieście tysięcy — i na protestantów, których naliczają do jeden milion ośmset tysięcy.

Katolicy są tam nadzwyczaj gorliwi, przywiązani do Stolicy Apostolskiej; oni stale wysyłają do Rzymu dla Ojca św. straż honorową, która od tylu już wieków wiernie służy Głowie Kościoła.

W górach swoich mają liczne parafie i kościoły. Parafia licząca sześćset dusz jest już wielką, składa się z paru wiosek, najczęściej bywa tak nieraz, że jedno tylko miasteczko stanowi osobną parafię. Ci ludzie — nie magnaci, a przeciętni gospodarze wiejscy mogą i chcą utrzymywać kosztem własnym kościoły i proboszczów. A jak tam wszystko w kościele utrzymują wzorowo czysto: ołtarze, sprzęty, zakrystya! Dziwiłem się, patrząc na ich kościoły, skąd mają środki tak małe parafie na utrzymanie wzorowe nabożeństwa i probostwa. Gdy o to pytałem, mówili oni, że to jest ich obowiązkiem sumienia, że Bóg u nich zajmuje zawsze pierwsze miejsce, że dla Boga nie żałują wydatków, bo wiedzą, że im to Opatrzność odda sowicie.

Nietylko o kościół dbają Szwajcarowie. Oni troszczą się o wychowanie i wykształcenie swych dzieci. W tym celu wydali prawo, które zmusza pod karą rodziców, wszystkie dzieci posyłać do szkół: każda parafia i każda większa wieś ma swą szkołę. A w szkole dzieci muszą zostawać od lat siedmiu do czternastu. Codzień o godzinie siódmej rano zgromadzają się chłopcy i dziewczynki w kościele na Mszę św., a potem o ósmej muszą już zasiąść w ławkach szkolnych. Odpoczywają w ciągu roku tylko dziesięć tygodni, pozatem sześć lat bez przerwy uczą się czytać, pisać, rachunków i innych pożytecznych nauk.

Każdy, kto skończy taką początkową szkołę, może przejść potem do szkoły kantonalnej (u nas gimna-

zyum) i dalej. Kto zaś nie czuje powołania do dalszej nauki, wraca do domu na rolę, lub ima się pracy zawodowej w handlu, w przemyśle.

Na ogół Szwajcarowie patrzą na życie trzeźwo i wybierają te zawody, które nie honor, jeno dobrobyt dają. Kobiety po skończeniu szkoły pierwszej wracają do rodziny i tam bez pychy i wymagań wygórowanych pracują przy boku ojców, matek, a potem mężów i dzieci.

Szwajcarka nie wstydzi się żadnej pracy i gorszy się z przyjezdnych różnych wielkich panów i pań, co nie potrafią sobie usłużyć i poradzić w drodze. Chętnie im służą i śmieją się w duszy z tej niemądrej próżności, czy niedołęstwa.

Wojska stałego Szwajcarya nie ma. Ma tylko tak zwaną milicyę. Każdy młodzieniec, gdy skończy lat dwadzieścia, obowiązany według praw krajowych stanąć «do losów», to jest pójść do służby wojskowej, ażeby tam się wyuczyć musztry i sztuki strzelania.

Trwa to ośm tygodni; potem każdy taki żołnierz wraca do domu i liczy się do roku 45 w «zapasie». Na wypadek wojny każdy zapasowy musi opuścić dom swój i iść w góry bronić wspólnej Ojczyzny, swoich skał i przesmyków w przepaściach górskich.

Tak obmyślona obrona kraju nie wymaga wielkich wydatków i nie pociąga za sobą wygórowanych podatków. Te zaś opłaty, które Szwajcar wnosi do rządu, idą na szkoły, na szpitale, na budowę dróg, słowem na ich własny pożytek.

Słówko jeszcze o wolności szwajcarskiej, bo nieraz może słyszelibycie pochwały tego kraju, z ust różnych agitatorów.

Tak, wolność tam istotnie kwitnie, ale to należy rozumieć w sensie «równych praw dla wszystkich». Niechby jednak ktoś tam sobie pozwolił na takie dzikie wybryki, jakie się u nas praktykują po drogach, lasach i polach, gdzie się ciągle należy obawiać napadu, wnetby tam takiego amatora wolności zamknęli do kryminału. Tak. Jest tam wolność obywatelska, ale wolność rozumna bez krzywdy i krwi bliźniego.

Największy skarb.

Skarbem najdroższym człowieka, czego ani bogactwa, ani honory nie dadzą: być z siebie kontentym z przekonania najczystszego; wszystko przemija, a stałość w cnocie jest słodyczą w życiu i niezmazaną cechą umysłu mocnego, czego nikt nie odbierze; najmocniejsza obrona w przypadkach i żyć po śmierci naszej będzie.

Słowa Tadeusza Kościuszki.

Dziesięć przykazań zachowania zdrowia.

Angielski lekarz Jordy sporządził następującą receptę w celu zachowania zdrowia:

1) Powietrze czyste jest głównym warunkiem zdrowia i zapobiega głównym chorobom płuc.

2) Ruch — to życie, zalecają się codziennie ćwiczenia gimnastyczne, przechadzki i t. p.

3) Prostota i umiarkowanie w jedzeniu oraz w piciu, używanie wody, a nie spirytualii, oraz zdrowych i prostych potraw, stanowią ważny warunek zdrowia.

4) Utrzymanie ciała w czystości, kąpiele, umiarkowane hartowanie, również są niezbędnemi.

5) Odzież powinna ochraniać od zaziębień i od gorąca i jednocześnie być lekką, a nie obciążać ciała pojedyńczych organów.

6) Mieszkanie powinno być możliwie obszerne, suche i odpowiednio przewietrzane.

7) Czystość w mieszkaniu i wogóle w miejscowościach, otaczających człowieka, powinna być wzorowa.

8) Prawidłowa, gorliwa i pożyteczna praca stanowi również warunek zdrowia, próżniactwo bowiem powoduje wiele duchowych i fizycznych cierpień.

9) Potrzebnym jest spokojny wypoczynek w nocy, to jest należy wcześnie chodzić spać, w nie-

dzielę i święta przeważnie czytać i oddawać się rozrywkom rodzinnym.

10) Życie prawidłowe powinno być jednocześnie użyteczne społeczeństwu; zachowujący przepisy hygieny, więcej od innych może się stać dobrym członkiem rodziny, pracownikiem i obywatelem.

ARMATY W POLSCE.

Najpierwsze wiadomości o używaniu armat w Europie pochodzą z roku 1326 we Włoszech, w roku 1340 we Francyi, a w Niemczech dopiero z roku 1346. Ponieważ Polska wtenczas stała na wyżynie postępu i rozwoju, nie ulega wątpliwości, że i u nas w tym czasie armaty były znane i używane. Wspomina też o tem kronikarz polski ks. Jan Długosz.

Opowiada on między innemi, że przy oblężeniu Łucka i za Kazimierza Wielkiego, «króla chłopków», używane były działa. To samo twierdzi inny kronikarz z tego wieku, Jan z Czarnkowa. Widział on na własne oczy, jak podczas oblężenia Pyzdr, przez stronnictwo księcia mazowieckiego, Ziemowita, w roku 1383 puszkarz (kanonier) Bartosz Koszecki wystrzałem z działa przebił dwie bramy miejskie i przyprawił o śmierć plebana z Biechowa, który stał na placu miejskim, bitwie się przypatrując.

W wojnie z Krzyżakami roku 1410 mieli Polacy armaty i pod Grunwaldem i po tej bitwie pod Malborkiem. Puszkarz polski tak dobrze wycelował z armaty do filaru w sali zamku malborskiego, że tylko na wysokość dłoni celu chybił. Krzyżacy zemścili się za to i pewnego dnia, wyszedłszy z zamku, kilka dział polskich zagwoździli.

Ponieważ sztuka artyleryjska czyli strzelania z armat dostała się najprzód z Włoch i Francyi do krajów niemieckich, stamtąd do Polski, pierwsi więc artylerzyści, czy jak ich u nas nazywano puszkarze, musieli być w Polsce sami Niemcy

W wieku XVI. cieszyli się puszkarze polscy sławą powszechną. Lanie dział za Zygmunta I. odbywało się

tylko w Krakowie, gdzie król ten pod »Kurzą stopą« przy Wawelu założył ludwisarnię i arsenał Najznakomitszym ludwisarzem był Hans Behom, ten sam, który odlał największy w Polsce dzwon nazwany »Zygmuntem«.

Wiele dział służyło pierwotnie do strzelania kulami kamiennemi. Żelazo bowiem było bardzo drogie wówczas Kule takie ważyły 130 do 140 funtów. Artylerye utrzymywał król własnym kosztem. Później powstały także artylerye miejskie, to znaczy, że każde większe miasto, jak Kraków, Lwów, Poznań i inne utrzymywały własne działa i puszkarzy. Ogólna liczba armat w Polsce rosła coraz bardziej w górę.

W roku 1791 Rzeczpospolita posiadała w swej artyleryi wszystkich dział 129; za czasów Kościuszki już trzy razy tyle. Najznakomitszym jenerałem artyleryi był wówczas poeta i żołnierz Jakób Jasiński.

Walka z alkoholem w starożytności.

Już starożytni pisarze pogańscy i filozofowie, jak Plato, Arystoteles, Plutarch, wskazywali w swoich pismach na niebezpieczeństwo, jakie wynika z nadmiernego używania wina. Szczególnie Plutarch pisze, jak jaki nowożytny znawca w dziedzinie alkoholicznej, bardzo szczegółowo o zwyrodnieniu dzieci nałogowych pijaków.

Za pomocą dotkliwych kar starano się w starożytnych Atenach zwalczać niebezpieczeństwo pijaństwa. Prawodawca Drako groził za opilstwo karą śmierci. Gdyby w dzisiejszych czasach chciano pod tym względem z podobną występować surowością, wtedy każdy naród musiałby posiadać tysiące katów.

Solon wyznaczał na opilców ciężkie kary, szczególnie na urzędników oddanych brzydkiemu nałogowi pijaństwa. Jedno z jego mądrych rozporządzeń, nakazywało stawiać na publicznych ucztach nie czyste wino, lecz rozpuszczone wodą.

Istniało inne jeszcze osobliwe prawo, które nakładało kary na handlarzy, sprzedających czyste wino; musieli za-

tem i oni swój towar mieszać z wodą. Tego rodzaju prawo byłoby wielkiem dobrodziejstwem dla dzisiejszych handlarzy win i restauratorów, którzy i tak w rozmaity sposób fałszują wina.

Przytem godną uwagi jest okoliczność, że prawa Solona bezwarunkowo nie dopuszczały złagodzenia kary dla tych, którzy popełnili jakiś czyn karygodny w stanie nietrzeźwym, a więc niezupełnie świadomie; przeciwnie, Arystoteles uznał później pijanego złoczyńcę za podwójnie winnego, a to najpierw dlatego, że się upił, a powtóre, że popełnił występek.

Innego jeszcze środka odstraszającego chwycił się prawodawca spartański Likurg; chcąc w narodzie swoim obudzić wstręt do opilstwa, pokazywał mu pijanych helotów, to jest niewolników.

Nie zapominajmy wszakże, iż wówczas (w starożytności) wódki jeszcze nie znano. Można więc wyobrazić sobie, jakie to kary nakładanoby na upijających się wódką.

Głos gazet angielskich o Polakach w Ameryce.

Wychodzący w Detroit w Stanach Zjednoczonych północnej Ameryki dziennik angielski *Evening Nové* takie dał niedawno świadectwo tamtejszym Polakom:

Polacy mają pięć szlachetnych rysów charakteru, które ich czynią pożądanymi obywatelami. Pierwszym rysem ich to rzutkość w przemyśle i pracowitość. Przybysze z Polski chwytają się każdej pracy i rzec można, że większość naszych zakładów przemysłowych jest obsługiwana przez Polaków; przynieśli oni naturalną siłę fizyczną, użyteczną w uczciwej pracy. Bez pracy Polaków cały przemysł w Detroit byłby sparaliżowany.

Drugim dodatnim instynktem Polaków, to dążenie do nabycia własnego domku choć niepokaźnego, ale w którym są panami. Przed domem musi być ogródek na kwiaty, a z tyłu ogród warzywny, w którym po przybyciu od ciężkiej pracy fabrycznej chętnie pracują. Kawałek ziemi dla Polaka to najdroższy skarb.

Trzeci rys to niezwykła pobożność Polaków, a czwartym rysem charakteryzującym Polaka to jego przywiązanie i życzliwość dla kraju, który przybrał sobie za drugą ojczyznę. «Nie mając własnego rządu, odarty ze swobód politycznych, z flagi narodowej i gnębiony w swej ojczyźnie przez zaborców, prędko poznaje tutaj dobrodziejstwa wolności i ma szacunek dla sztandaru amerykańskiego, pod którym znalazł schronienie, uchodząc przed despotyzmem zaborców».

Piątym zaś szlachetnym rysem Polaków, to ich postęp w każdej dziedzinie życia publicznego. Polak pracuje ciężko w fabryce, na ulicy czy kolei, lecz dzieci jego idą do szkoły, a następnie z wyższych zakładów naukowych wychodzą z nich lekarze, prawnicy, inżynierowie, księża, mechanicy i t. p.

Kat pruski.

Z każdym dniem mnożą się dowody, że «państwo bojaźni Bożej i dobrych obyczajów» zostające pod berłem cesarza Wilhelma, zamienia się coraz bardziej w kraj barbarzyństwa, dzikości i najgorszych obyczajów.

Zgnilizna moralna szerzy się tam w zastraszający sposób w najwyższych, średnich i w najniższych sferach, a dzikość wkrada się już i do duchownych sfer protestanckich.

Z końcem roku zeszłego zwrócił na siebie uwagę całego świata proces przeciw pastorowi Breitkopfowi, dyrektorowi zakładu poprawczego dla chłopców w Mielżynie.

Z procesu tego wyszło na jaw, że używano tam w całej pełni tortur średniowiecznych do męczenia małoletnich chłopców, prawie dzieci.

Oto przykład jeden z wielu

Młodociany wychowaniec zakładu, niejaki Maute, zawinił wobec pastora tem, że niedość ściśle wykonał jakieś jego zlecenia, za to przywiązano go do słupa, i w tej pozycyi kazano czekać na egzekucyę przez dwie godziny.

Nareszcie zbliżyła się chwila wykonania rozkazu. Pierwsze rózgi spadły na twarz chłopięcia. Żywą strugą trysnęła krew... Wtedy pomocnica pastora, tak zwana «siostra miłosierdzia», otworzyła usta...

Chciała może wyrzec słowo litości w obronie spływającego krwią malca?... Nie to wszakże miała na myśli «siostra miłosierdzia».

— Obmyjcie krew — rzekła — a potem... bijcie od początku...

— Bijcie aż do utraty zmysłów! — dorzucił pastor.

I znów posypały się rózgi na drgające z bólu ciało chłopczyny.

Osłabły siły jednego oprawcy, chwytał rózgę drugi dozorca, potem trzeci... czwarty... Zdarły się rózgi, bito pałkami gumowemi. Te były trwalsze od zwykłej brzeziny...

Wreszcie «sprawiedliwości» stało się zadość. Młody męczennik postradał zmysły... Odwiązano go od inkwizytorskiego słupa. Ułożono omdlałego na chłodnej ziemi... Krwią sączące rany polewano wodą...

Nie wytrzymał jeden ze świadków egzekucyi, stróż kolonii, niejaki Rimszneider.

— Łzy ciurkiem ciekły mi z oczu, gdym odwiązywał od drzewca napół martwe ciało chłopczyny — mówił w sądzie świadek.

A kiedy chłopiec leżał już bez czucia, rozciągnięty na ziemi, jeden z dozorców wymierzył obcasem cios w nagie piersi młodocianego «przestępcy» i zwracając się do pastora, rzekł:

— Dobić zupełnie tego psa!

Po upływie kwadransa 15-letni chłopiec począł przychodzić do siebie. Wówczas posadzono go na taborecie, twarz obmyto z krwi i jak gdyby niedość było kary — rozpoczęto egzekucyę powtórnie...

A jakież zakończenie?

Wtrącono go na 10 dni do lochu ciemnego, aby mógł rozmyślać nad tem, jak srogo ścigane jest w «państwie bojaźni bożej» — przestępstwo... Ażeby zaś chłopcu zbyt wesołe myśli nie przychodziły do głowy, karmiono go tylko chlebem i wodą...

Wreszcie sprawiedliwość dosiągnęła barbarzyńskiego pastora. Za 12-letnie straszne dręczenie chłopców stanął przed sądem — który skazał go zaledwie na 8 miesięcy więzienia. Taka to sprawiedliwość niemiecka!

Rozmaitości.

Nowy wynalazek.

Ks. administrator Sadowski z Wygody i p. Franciszek Leman z Chmielna (w Księstwie Poznańskiem ogłosili nowy wynalazek i podali o patent już w 18-tu państwach; nawet w Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki, w Kanadzie i Japonii. Wynalazek polega na tem, że wagony kolejowe przy zderzaniu same się spinają.

Rozmaite państwa wyznaczyły premię na praktyczny taki wynalazek, gdyż rok rocznie ginie dużo urzędników kolejowych śmiercią nieszczęśliwą, wchodząc pomiędzy wagony, aby je spiąć i rozpiąć. Wynalazek nowy jest prosty, praktyczny i służy też ku temu, aby z każdej strony wagonu, pociągnąwszy za dźwignię, wagony rozpiąć. Już z jednego państwa nadszedł patent, a przez agentów doniesiono do biura patentowego w Wrocławiu, że jeszcze kilka patentów nadejdzie.

Stosunki w kopalniach amerykańskich.

Z powodu aż nadto częstych katastrof, nawiedzających kopalnie w Stanach Zjednoczonych, polskie pisma wychodzące w Ameryce tak piszą:

„W kopalniach brak najpierwotniejszych środków bezpieczeństwa. Inspektorowie istnieją na to, aby od stanu brać pensyę, a od właścicieli kopalń... łapówki, więc też zamykają oczy na wszelkie brak , panujące w lochach podziemnych. Z drugiej strony prawo tu również jest powolnem narzędziem w rękach kapitalistów, których słabo, albo wcale nie ściga za lekceważenie życia ludzkiego. Wynagrodzenia po zabitych pracownikach w rzadkich

przypadkach są wypłacane, i to w takich sumach, że lepiej je wypłacać, niż łożyć pięć razy więcej na zaprowadzenie ulepszeń w kopalniach.

„W takich warunkach o katastrofy nietrudno i robotnik, idący do pracy, z góry wie, że ryzykuje swoje zdrowie i życie, bez nadziei, że rodzina jego znajdzie opiekę w razie jego śmierci. Pracodawca lekceważy sobie życie tych, którzy krwawą pracą utrzymują go i pomnażają jego bogactwa. Ale ponieważ w kopalniach pracują przeważnie cudzoziemy: Polacy, Słowacy, Węgrzy, Czesi, Włosi i t. p., przeto dorobkiewicze amerykańscy nie dbają o nich, wiedząc, że im tych sił roboczych nigdy nie zabraknie.

„Takie same stosunki panują we fabrykach, kolejach i wszędzie, gdzie tylko dłoń robotnika tworzy skarby dla niewdzięcznych, zbrodniczo niedbałych jednostek".

Wędrująca wieża.

Dwaj inżynierowie amerykańscy zdołali przy pomocy tylko ośmiu robotników przesunąć wieżę kościoła w Rodolt w Westfalii o 10 metrów dalej.

Czegoś podobnego dokonał — jak piszą stare kroniki — mistrz Aristoteles di Fieravanti w roku 1455 w Bolonii. Przesunął on za pomocą różnych belek i bloków wieżę pewnego kościoła o 25 stóp dalej i ustawił na nowem miejscu. A więc nic nowego pod słońcem.

Ile ważą monarchowie?

Przy drzwiach wejściowych do galowej sali jadalnej królewskiego pałacu w Sandrigham w Londynie od szeregu lat stoi automatyczna waga. Król Edward VII. zrobił sobie rozrywkę z tego, że zapraszał zwykle swych koronowanych gości, by przed wejściem do sali „poddali się do rewizyi wagi swego ciała". Zazwyczaj wśród wesołych żartów powtarzano następnie ten sam akt po spożyciu obiadu. Król Edward sam osobiście wciągał pozycye cyfrowe do książki noszącej szumny tytuł: „Złota księga wagi monarchów". Każda liczba opatrywana była

nadto własnoręcznym podpisem ważonego „dla wiarogodności faktu“.

Daily Mail podaje obecnie kilka cyfr z tej księgi. Waga cesarza niemieckiego Wilhelma II. waha się między 78 a 81 kilogramami Obecny król angielski Jerzy V., podowczas książę Walii ważył 83 kilogramy: największą wagę miał sam gospodarz domu, król Edward, bo 104 ważył kilogramów. Bezpośrednio po nim „najcięższym“ z koronowanych gości był król bułgarski Ferdynand, (89 i pół kilograma) „najlżejszym“ car rosyjski Mikołaj II. 51 kilogramów. Zanotowaną jest także waga cesarza Franciszka Józefa, który przed 15-tu laty był w zamku Sandrigham; ważył wtedy nasz Monarcha przeszło 76 kilogr.

Flaszki z papieru.

W Ameryce rozpoczęto fabrykacyę flaszek z papieru, których używają już do przewozu i przechowywania mleka. Nawet mleko ogrzane do 100 stopni daje się w nich utrzymać. Waga tych flaszek jest 12 razy lżejszą od flaszek szklanych, a w czasie przewozu nie ulegają stłuczeniu lub pęknięciu.

Z Kalwaryi Zebrzydowskiej. (Przestroga). Donoszą nam z różnych okolic kraju, iż po domach katolickich chodzą oszuści i wyłudzają grosz ciężko zapracowany od ludu, nibyto na restauracyę Grobu Matki Bożej na nadchodzący jubileusz.

Oświadczam wyraźnie, że klasztor kalwaryjski nikogo na kwestę w tym celu nie wyseła, a kto chce coś ofiarować dobrowolnie, niech prześle pocztą na przekaz do podpisanego: *Ks. Stefan Podworski*, rezydent przy kościele Grobu Matki Bożej **w Kalwaryi Zebrzydowskiej** (Galicya).

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Marceli Dziurzyński.

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.

Figle i żarty.

Sokrates, filozof grecki, zapytany: „Czyliby filozof pierniki jadł?“ „Czemu nie — odrzekł — alboż to pszczoły dla samych tylko głupców miód robią?“

Poczciwy. Wierzyciel (z rezygnacyą): Zgłaszać się będę co tydzień do pana po moją należytość dopóty, dopóki jej nie dostanę.

Dłużnik (uprzejmie): W takim razie, mój panie, jest możliwość, że nasza znajomość zamieni się w serdeczną przyjaźń.

* * *

— Matka: Żebyś to tak dzielnie się uczył, jak dzielnie zajadasz.

— Syn: W jedzeniu ćwiczę się od urodzenia, a uczę się dopiero trzy lata.

W szkole ludowej. — Nauczyciel: Antek utwórz mi jakie zdanie.

— Uczeń: Koń ciągnie wóz.

— Nauczyciel — dobrze! A teraz zmień mi to zdanie w ten sposób, aby czasownik miał tryb rozkazujący.

— Uczeń: Wio hejta!

Brzydki obyczaj. — Dama: Proszę pana mormoni w Ameryce mają po kilka żon. Co pan sądzisz? Mnie się zdaje, że to brzydki obyczaj...

— Pan: Zapewne, że brzydki, bo człowiek mało ma nadziei, żeby kiedy został wdowcem.



PISMO DLA RODZIN CHRZEŚCIJAŃSKICH.
WYCHODZI RAZ W MIESIĄCU OKOŁO 1-GO.

Rocznik III. (Półrocze I.) **Numer 4.**



Adres: Redakcya ŚWIATŁA w Krakowie, ul. Powiśle L. 12.

Treść numeru 4-go.

Rocznik III. Kraków 1-go kwietnia 1911. (Półrocze I-sze) Nr. 4.

ŚWIATŁO

pismo poświęcone nauce i rozrywce

wychodzi **raz** w miesiącu, dnia 1-go

Prenumerata „ŚWIATŁA" wynosi w Austryi na **rok:** **3** korony — na **pół roku:** **1** kor, **50** hal. — Do Niemiec na rok: **4** kor. — półrocznie **2** kor. — Do Ameryki rocznie **1** dolar

ADRES: Redakcya „ŚWIATŁA" w Krakowie ul. Powiśle 12.

Obywatelski głos w sprawie koncesyj szynkarskich.

Jest w kraju Stowarzyszenie, składające się z ludzi, którzy dobrowolnie zobowiązali się do zupełnego wstrzymania się od wszelkich trunków alkoholicznych. Towarzystwo to nazywa się Eleuterya i wzięło sobie za zadanie szerzyć swoje idee — to jest wstrzemięźliwość, a właściwie wyrzeczenie się picia wszelkich gorących trunków. Towarzystwo to wprawdzie nie bardzo liczne — szerzy zwolna, lecz coraz więcej swoją pożyteczną działalność w całym kraju już to wydawaniem broszur pouczających o szkodliwości trunków, już to przez wiece i zgromadzenia.

W niedzielę dnia 5-go marca b. r. urządziła Eleuterya w Krakowie wiec, który miał zaprotestować przeciw nadawaniu więcej koncesyj szynkarskich, o co gwałtem szturmują żydzi, a nawet jak to już wiadomo Szan. Czytelnikom, wysłali do Wiednia masową deputacyę szynkarzy.

Na wiec ten zgromadziła się bardzo licznie publiczność, złożona ze wszystkich stanów; byli tam robotnicy, rzemieślnicy, kupcy, urzędnicy, księża — młodzież i kobiety.

Pierwszy referat o szkodliwości napojów spirytusowych wygłosił Dr. Późniak i na podstawie nauki i na pod-

stawie spostrzeżeń z własnej praktyki lekarskiej wykazał jasno, że trunki spirytusowe, a szczególnie wódka są dla organizmu ludzkiego trucizną, choćby te trunki były użyte w niewielkiej ilości.

Wykazał dalej, że nietylko siły ciała niszczy alkohol, ale przytępia władze umysłowe, a do tego wódka jest przyczyną nędzy materyalnej, niszczy dobrobyt i szczęście rodzin i dobrobyt kraju.

Po Drze Późniaku wszedł na mownicę poseł ziemi tarnowskiej chłop Witos. W dłuższem przemówieniu, nagradzanem hojnie oklaskami udowodnił jasno, że przy rozdzieleniu koncesyj szynkarskich nie żydom, ale chrześcijanom stała się krzywda, bo żydzi otrzymali 7 tysięcy koncesyj zgórą, a chrześcijanie zaledwie niecałe 3 tysiące. Mimo to żydzi podnoszą gwałt na całą Europę, że im się krzywda stała, że dziesięć tysięcy ludzi zostało bez chleba i bez dachu. Narzekanie żydów nie ma podstawy — wiedzieli oni od 10-ciu lat, że liczba szynków będzie ograniczona, że część koncesyj muszą dostać chrześcijanie, więc mogli zawczasu opatrzeć się za innem zatrudnieniem — a jeśli tego nie zrobili, to już ich wina.

Jeżeli żydzi, którzy potracili wyszynki, nie mają z czego żyć, to niech idą za przykładem chłopa, który nie znajdując w kraju zarobku, idzie do Ameryki i na Saksy i tam szuka pracy i kawałka chleba — mogą więc i żydzi spróbować tego samego chleba.

Przyczyną nędzy po wsiach i wśród robotników po miastach była i jest karczma, która jest i była rozsadnikiem wszystkiego złego, czas był już najwyższy, aby liczbę tych ognisk zarazy ograniczyć; — to też nie należy dopuścić, aby powiększono liczbę koncesyj szynkarskich; społeczeństwo nasze — jeżeli chce żyć i rozwijać się dobrze, powinno przeciw pomnożeniu szynków wystąpić energicznie.

Były i są w kraju gminy, które nie stać było na szkołę, ale za to było w tych gminach po kilka nieraz karczem — a karczmarze zbijali majątki.

Lud polski zrozumiał już nareszcie, że karczma to jego nieszczęście i z chlubą podnieść wypada, że znalazło się sporo gmin w kraju, które nie chcą u siebie mieć żadnych szynków — tem mniej szynków żydowskich.

Po tym wywodzie, nacechowanym wielką znajomością sprawy i patryotyzmem — rozwinęła się szeroka dyskusya, w której zabierało głos kilkunastu mowców — a między nimi i prości robotnicy. Wszyscy bez wyjątku potępiali karczmę i jej zgubną działalność, wszyscy piętnowali żydowskich karczmarzy, jako pijawki ssące krew naszego ludu i tuczące się jego potem i krwawicą i z oburzeniem odpierali zakusy żydowskie, aby w ich rękach pozostawić nadal monopol szynkowania i trucia ciał i ducha ludu.

Oburzenie na te nieuzasadnione roszczenia żydowskie znalazło dobitny wyraz w tem, że gdy obecni na wiecu dwaj adwokaci żydzi zabierali głos i wystąpili z obroną sznkarzy i chcieli dowodzić, że żydom krzywda się rzeczywiście stała i że należy się im za tę krzywdę jakieś odszkodowanie, to zerwała się w sali taka burza protestów, taki hałas, że żydkowie jak niepyszni musieli przestać mówić, nie mogąc dokończyć swoich mądrych, a wykrętnych wywodów.

Wiec zakończył się uchwaleniem rezolucyi, postawionej przez Profesora Dra Wicherkiewicza, wzywającej Koło polskie, aby użyło całego swego wpływu i nie dopuściło do powiększenia liczby koncesyj szynkarskich.

Uchwalono także i drugą rezolucyę, wzywającą Radę miasta Krakowa, aby idąc za przykładem Lwowa, nałożyła surowe kary na szynkarzy, którzy młodzież szkolną w swoich szynkach i restauracyach przyjmują i rozpajają.

Byłoby bardzo pożądanem, aby podobne wiece odbywały się w całym kraju i żeby idea trzeźwości szerzyła się coraz więcej, tak w miastach, jak i po wsiach naszych.

Spełnienie starozakonnych proroctw w Chrystusie Panu.

Do Jerozolimy przybywają mędrcy ze wschodu w przekonaniu, że znajdą tam Jezusa Chrystusa, Zbawiciela świata.

W mieście jednak Dawida nikt nie wie jeszcze o Jego narodzeniu. Ażeby więc przybyszom udzielić wskazówek, a siebie upewnić o tem zdarzeniu — zwołuje Herod na

naradę kapłanów i uczonych w piśmie, a ci otwierają święte księgi żydowskiego ludu i zwracają uwagę Heroda na proroctwo Micheasza: «Ty, Betlejem, żadną miarą nie jesteś najpodlejszem między tysiącami miast judzkich; z ciebie bowiem wyjdzie ten, który rządzić będzie ludem moim Izraelem». Wobec tego mędrcy udają się do Betlejem, i widzą tam spełnienie tego, co prorok przepowiedział już przed setkami lat.

Ten wypadek zwraca myśli nasze na proroctwa Starego Zakonu o Zbawicielu i Messyaszu. Jeżeli bowiem Chrystus jest rzeczywiście tym Zbawicielem i Messyaszem, to muszą się w Nim spełnić wszystkie proroctwa Starego Zakonu. Gdy się zaś to stanie — wówczas spełnienie to jest pierwszym i wielkim dowodem Boskiego pochodzenia Chrystusa Pana. Posłuchajmy zatem proroczych głosów Starego Testamentu o oczekiwanym Zbawcy i zastanówmy się, czy życie Chrystusa Pana jest zgodne z owemi proroctwami.

Pierwsza obietnica przyjścia Zbawiciela wyszła z ust samego Boga zaraz po upadku pierwszych naszych rodziców. Obietnica ta nie jest jeszcze jasną. Głosi ona tylko to, że potomek pewnej niewiasty zwycięży szatana. Później, w czasach patryarchów, obietnica nabiera coraz to większej jasności. Oto Bóg poucza Abrahama, Izaaka i Jakóba, że Zbawiciel będzie potomkiem ich rodu i wyjdzie z ich pokolenia.

Przez usta patryarchy Jakóba przekazuje Bóg wielką obietnicę synowi jego Judzie w tych słowach: «Nie będzie odjęte berło od Judy, ani wódz z biódr jego, aż przyjdzie ten, który ma być posłan, a on będzie oczekiwaniem narodów». Obietnica ta podaje już dokładnie, że Zbawiciel wyjdzie z domu Jakóba, a mianowicie z pokolenia Judy, oznacza też w przybliżeniu czas przyjścia Zbawiciela. Zbawiciel ma przyjść w tym czasie, kiedy «odjętem będzie berło od Judy», czyli kiedy żydzi stracą swoją niepodległość i dostaną się pod panowanie obcych ludów.

Zsyłał dalej Bóg proroków, którzy zapowiedzieli przyjście Zbawiciela na wiele setek lat przed Jego narodzeniem. I tak według proroka Izajasza Zbawiciel urodzi się z pewnej dziewicy. «Oto panna» — prorokuje Izajasz — «pocznie i porodzi syna, i nazwią imię jego Emanuel (to jest

Bóg z nami)». Prorok zaś Micheasz wyraźnie mówi, że Betlejem będzie miejscem narodzenia Zbawiciela.

Wszystkie te proroctwa spełniły się co do litery. Oto gdy się Chrystus narodził — żydzi byli rzeczywiście narodem, podbitym przez Rzymian. Gdy Izraelici cierpieli w niewoli babilońskiej, wtedy oznajmił im Daniel, że po 490 latach przyjdzie Zbawiciel, który przez śmierć swoją dokona dzieł zbawienia. Podziw budzi w nas to proroctwo, które dokładnie przepowiada rok urodzenia Chrystusa Pana i śmierć Jego, a sprawdziło się jak najdokładniej.

Prorocy przepowiedzieli jednak nietylko czas, miejsce i okoliczności narodzenia Zbawiciela, lecz przepowiedzieli także główne zdarzenia Jego życia. Tak n. p. prorok Izajasz przedstawia Zbawiciela, jako największego cudotwórcę, który uzdrawiać będzie ślepych, głuchych i chromych. Zapowiedział też ów prorok, wjazd Zawiciela do Jerozolimy, a nawet wspomniał w swem proroctwie o takim drobnym szczególe, jak to, że Zbawiciel będzie jechał na grzbiecie oślicy.

Prorocy przepowiedzieli też, jak najdokładniej mękę Chrystusa Pana we wszystkich jej szczegółach. I tak przepowiedzieli oni, że Chrystus będzie zdradzony i sprzedany za 30 srebrników, że będzie bity w twarz, że będzie raniony i pojony octem, że przekłują Mu ręce i nogi, i że wreszcie odarty z szat będzie zabity. Jak dokładnie spełniło się to wszystko w Chrystusie — wiemy o tem wszyscy. Zbawiciel, konając na Krzyżu, zawołał głosem wielkim: «Spełniło się!» Tak, spełniło się wszystko w Chrystusie, co o Nim przepowiedzieli prorocy.

Prorocy przepowiedzieli również, że Chrystus zmartwychwstanie po śmierci i wstąpi na niebiosa. Przepowiedzieli też oni założenie Kościoła przez Chrystusa, jakoteż rozpowszechnienie i trwałość tego Kościoła.

Któż nie poznaje w tych proroctwach ręki Bożej, która w nich zapomocą proroków nakreśliła zupełnie dokładny i wierny obraz Zbawiciela? Spełnienie zaś tych przepowiedni w Chrystusie dowodzi, że Zbawiciel jest Synem Bożym. Sam Chrystus Pan powołuje się na starozakonne proroctwa, gdy mówi do żydów: «Badajcie Pismo, ono bowiem świadczy o mnie».

A teraz posłuchajmy, jak przedstawiają owe proroctwa i ich spełnienie przez Chrystusa Pana ci, którzy zaprzeczają boskiego pochodzenia Zbawiciela. Otóż bynajmniej nie zwalczają oni tego, że w Chrystusie spełniły się wszystkie proroctwa Starego Testamentu. W celu jednak wytłumaczenia tego spełnienia powiadają wrogowie, że Chrystus Pan znał wszystkie proroctwa o Mesyaszu i potem poprostu przystosował swoje życie do nich i dlatego nie dziwota, że one się w Nim spełniły. Rozpatrzmy bliżej ten bluźnierczy zarzut. Jasnem jest oczywiście, że Chrystus Pan znał starozakonne proroctwa o sobie. Ale żeby, będąc zwykłym człowiekiem, a nie Bogiem, mógł swoje życie dostosować do owych proroctw — to już jest nadzwyczaj śmiesznem twierdzeniem.

Czyż bowiem może człowiek postanowić sobie, że urodzi się w tem lub owem miejscu, w tem lub owem mieście? Czy istniał kiedykolwiek człowiek, któryby sam postanowił urodzić się w zupełnie określonym czasie, a nawet roku? Wszystko to nie leży w mocy człowieka. Czyż więc nie jest śmiesznem twierdzić, że Chrystus Pan był tylko człowiekiem i pomimo tego urodził się w dawno oznaczonem miejscu i czasie, bo tak sam chciał?

Albo czy może jest człowiekiem ten, kto może powiedzieć: chcę umrzeć o tej a o tej godzinie, na tę lub ową chorobę, chcę umrzeć w takich a takich okolicznościach? Żaden człowiek nie może tego uczynić. A Chrystus miałby być zwykłym człowiekiem i pomimo tego mógłby tak pokierować swojemi cierpieniami i swoją śmiercią, że przez to spełniłyby się odwieczne proroctwa? Takie twierdzenie jest więc śmiesznem głupstwem. A takie właśnie twierdzenia głosi często tak zwana wiedza!

Proroctwo Starego Testamentu sprowadziło mędrców ze wschodu do Zbawiciela świata i poznali Go oni, a poznawszy Go uznali go za swego Pana. W Nim bowiem i przez Niego spełniło się, co ów głos przepowiedział, a spełnienie owych proroctw — to pierwszy potężny dowód Boskiego pochodzenia Chrystusa Pana.

KLĄTWA.

(Zdarzenie prawdziwe).

Słońce miało się ku zachodowi, cisza i pokój panowały w naturze, właśnie najmilsza pora do przechadzki: wybiegłem więc w pole z towarzyszem nieco starszym odemnie. Radowały nas obfite plony, które prace rolników hojnie nagrodzić miały; piękna to pora żniwo dla wieśniaków, wesoło kończą siec pole pszenicy, a my wdzięcznym uchem słuchamy, kiedy niekiedy dolatującej nas piosnki przodownika. Jak wiele poezyi zawierają pieśni ludu, o tem wszczęła się między nami rozmowa: pomału ścieżka zawiodła nas mimowolnie w dębowy lasek; słońce innym ludom przyświecać poszło, a nad nami ukazała się blada twarz księżyca, wyzierająca wśród dębowych liści, jak uwieńczone czoło poległego bohatera. Księżyc, wieczorna doba wśród gaju, tok rozmowy, naprowadziły nas na różne podania, o duchach, klątwach, co obok pieśni ludu, tło miejscowej poezyi tworzą.

Towarzysz mój wspomniał mi kilka podań, o których kiedyś słyszał, wreszcie opowiedział mi zdarzenie prawdziwe w znakomitym rodzie polskim, którego prawnucy dziś żyją. Ja wiernie powtarzam słowa opowiadającego.

Jeszcze nie minęło stulecie, jak żyła w....., podeszła wiekiem dama, wdowa..... Od śmierci męża samotne pędziła życie; wrodzonej dumy nie wykazywała wystawnością: wszystkie nadzieje szczęścia i chwały, złożyła na syna jedynaka, który dopiero z lat młodzieńczych wychodził. Syn odpłacał czułą wdzięcznością za miłość matczyną, rzadko się wydalał z rodzinnego domu. Każdą chwilę starał się uprzyjemnić staruszce, a ona cała żyła w przyszłości, codzień kabała, jedyne wieczorne zatrudnienie, wykrywała jej jakąś nową, świetną gwiazdkę, w pasmie przyszłego życia młodzieńca.

Tak im zbiegały spokojne dni, miesiące, aż wreszcie młodzieniec otrzymał zaprosiny na ucztę do jakiegoś możnego pana; matka radziła je przyjąć: pojechał, bawił dni kilka.

Minęły dnie zabawy, wraca do matki, ale już nie ten sam, jakaś niespokojność maluje się na czole jego, mury dworca nie wystarczają duszy jego, biega po polach, lasach, w końcu zaczął się często z domu wydalać; matka nie sprzeciwiała się temu, ale i jej się humor zaczął psuć od niejakiego czasu, bo kabała, co synowi wojewodziankę za żonę przeznaczyć miała, żadnym sposobem wyjść nie chciała. Stara zaczęła mieć podejrzenie, kazała śledzić kroki syna; wkrótce dowiedziała się, że młodzieniec bawi częstemi pobyty w domu biednego szlachcica, sąsiada, ojca jedynaczki córki. Wiadomość ta nie była jej przyjemną, ale nie troszczyła się wielce, polegając na zasadach dumy rodowej, co w serce syna wszczepiła.

Dnia jednego wraca młodzieniec wieczorem do rodzinnego domu, po kilkudniowej niebytności: jakieś cierpienie miota jego duszą; usiłuje je pokryć, ale matka to spostrzega, zapytuje o przyczynę; młodzieniec wyjawia swą miłość do córki biednego sąsiada. Matka jakby gromem rażona, stara się odwieść syna od zgubnego podług niej zamiaru, przywodzi szybkiemi słowy rozmaite przeszkody, różnice rodu i majątku: syn przy swojem obstaje z pokorą, lecz z stałością; matka coraz szybciej i słabiej wymawia jakieś okropne słowa... pojednanie... nagła śmierć... psy... związku ująć trudno, wreszcie pada na ziemię, służebne niewiasty unoszą ją zemdloną: syn opuszcza komnatę, kroki jego niesforne okazują, że rozpacz nimi kieruje.

Stary kredensarz miał, przechodząc, słyszeć całą rozmowę, ale bladł na samo wspomnienie, czasem tylko o jakiejś klątwie w gronie służebnych przebąknął, ale nikt się całej rzeczy od niego wywiedzieć nie mógł. On tylko wiedział, że pani oświadczyła synowi, iż gdy się ożeni z tą córką ubogiego szlachcica, to go już widzieć na oczy nie chce, że się nigdy z nim nie pojedna, a gdyby się pojednała, to niech ją zaraz nagła śmierć spotka, niech psy jej ciało rozszarpią.

Stara pani powróciła do zdrowia, smutno i głucho w jej dworze, syn zdaje się na zawsze go opuścił, wieść tylko doszła, że gdzieś w zaciszu dni szczęśliwe pędzi z żoną

wyboru serca swego, o ile mu ich pamięć matki nie zatruwa.

Dużo czasu ubiegło, aż jednego ranka zatętniały podkowy po zarosłym dziedzińcu głuchej włości, opuszczonej matki; posłaniec skoczył z konia, wszedł do komnaty, oddał jakieś pismo, tysiąc uczuć i namiętności przebiegło po zmarszczonych licach, wiekiem i zgryzotą przygnębionej staruszki. Każe co prędzej wracać posłańcowi, i donieść, że pojutrze stanie u syna. Niezwykły ruch i życie napełniają mury jej dworca, krzątają się stare sługi, gotują do podróży, zaciągają przed dom zapyloną kolasę, zakładają sześć koni: stara z dziwnym wsiada pośpiechem.

Konie nie chcą z miejsca ruszyć, niezwykłe podróży; stara każe je naglić, stangret zacina — ruszyły.

W domu syna wielkie krzątanie, bo syn się narodził, a posłaniec doniósł, że matka przybędzie; wszystkich lica jaśnieją wesołością i szczęściem, gotują komnaty, rozbiegają się posłańcy, spraszając w goście sąsiady: uczta dwojaka, na przyjęcie matki i chrzciny nowonarodzonego.

Nadeszło to tak długo oczekiwane jutro — wszystko w godową przybrane szatę — co chwila zajeżdża sześcio- lub czterokonna kolasa, a z niej wysunie się najprzód rogówka, potem zaświeci podgolona głowa, karabela zabrzęknie, a państwo domu przyjmują w progu, hajducy wprowadzają do komnat.

Już się zebrała cała okolica, przybiega konny, donosi, że matka już do wsi wjeżdża; syn z kielichem w ręku, synowa z dzieciną czekają w progu, a goszczących grono otacza ich.

Zajeżdża kolasa, wysiada rzeźko zgrzybiała matka, bo za młodość starczy szczęście z oglądania dzieci i wnuka.

Porywa w swe objęcia drobną dziecinę; jak spadająca gwiazda, nadzieja, przesunęła się po czołach rodziny. Syn chce spełnić kielich na pojednanie z matką, szkło dziki dźwięk wydaje, kielich rozpryskuje się w kawałki w jego dłoni, dziecko boleśnie zakwiliło, bladość pokryła lica obecnych; porywa drugi kielich, ale i ten z dźwiękiem pęka, matka pada na ziemię, przybiegają — podnoszą — nieżywa!

Okropna cisza, zdumienie, boleść zajęły miejsce przedchwilowej radości. Syn, jakby dręczony jakąś obawą, porywa ciało matki, do górnych zanosi komnat, zamykać i pilnować nakazuje.

Zamiast uczty, nastąpił pogrzeb; smutny i dziwny przypadek dużo zebrał osób.

Przed dworem czarny wóz, zaprzężony karymi końmi, mnóstwo światła, księża w kapach i komżach, chóry mnichów zaczynają już przed wozem śpiew ponury, przewodniczący człowiekowi do ostatniego ustronia, którego mu ziemia użycza; wychodzi blady, czarno przybrany syn zmarłej, a słudzy wynoszą bogatą trumnę, wstawiają na wóz — ruszyli wolnymi kroki.

Okropny krzyk wstrzymuje pochód; trumna spadła z woza, wieko odpada, trup wylatuje; dwa brytany przyskakują i rozrywają zczerniałe policzki zmarłej; — syn wydziera im zdobycz, wkłada nazad do trumny nieszczęsną matkę — pada bez zmysłów — odnoszą go do domu. — Trumnę włożyli znów na wóz, wiozą dalej, ale śpiewu nie słychać, bo tak okropny wypadek zaniemił wszystkich.

Przybyli na cmentarz, wpuścili ciało do grobu, ksiądz pobłogosławił, rzucono ziemię na trumnę, głęboko schowały się zwłoki srogo ukaranej dumnej niewiasty.

Stary kredensarz, wracając z cmentarza, powtarzał wieczny odpoczynek, opowiadając, że sprawdziła się klątwa, którą na siebie rzuciła stara, na przypadek, gdyby się kiedy z synem pojednać miała. Syn po długiej gorączkowej chorobie odwiedził grób matki wraz z żoną i dzieciną — długo się modlili. Oby ich łzy otworzyły jej drogę do przebaczenia Pańskiego.

Morowe powietrze w Polsce i na Rusi.

Kronikarze nasi podają, iż w roku 1186 nastąpiła ciężka dla ludzi zaraza, która wielką zrządziła śmiertelność w Polsce i na Rusi. Drugą podobną wiadomość o wielkiej zarazie i śmiertelności rozszerzonej po krajach ruskich i polskich podaje Długosz pod rokiem 1288, przypisując przy-

czynę złego zatruciu wód przez tatarów. W 10 lat później kroniki polskie zapisały zarazę na bydło, zwierzęta domowe i trzody, tak srogą, że z przyczyny upadku bydła roboczego i koni, w wielu miejscach musiano zaniechać nawet uprawy roli.

Pod rokiem 1348 zapisana jest epidemiczna gorączka z krwiotokiem z ust, w której chorzy umierali 3-go dnia. Gdy powtórnie powróciła ta epidemia w tymże roku, chorzy dostawali dymienic i wrzodów i umierali w dniach pięciu. W roku następnym, z przyczyny także gorączki, wiele szlachty i ludu pospolitego wymarło. Takaż zaraza gorączkowa zapisana jest pod rokiem 1353. W roku 1363 epidemia nazywana «morowem powietrzem», wiele miast, wsi i osad polskich pozamieniała na długi czas w pustynie.

W roku 1372 z powodu zarazy epidemicznej zabrakło miejsca na wielu cmentarzach. Rok 1373 pamiętny jest także morową zarazą, tak w Polsce jako i całym świecie. W roku 1413 król Jagiełło chroniąc się przed wybuchłą w Polsce powszechną zarazą, puścił się z Wiślicy w lasy i bory do ziemi Lubelskiej i Chełmskiej. Zaraza ta pustoszyła całą Polskę od św. Jana Chrzciciela do św. Jadwigi. We dwanaście lat później tak samo Jagiełło i Witołd przymuszeni byli uciekać przed powietrzem wśród zimy z miast i zamków do bezludnych borów. Maleńkiego królewicza Władysława (Warneńczyka) wywieziono do zamku chęcińskiego. Pod koniec roku 1430 w zimie morowe powietrze w całej niemal panowało Polsce, pomimo jednak tej śmiertelnej zarazy przybyła na sejm do Warty wielka liczba prałatów i panów». W roku 1431 panowała śmiertelna zaraza na konie.

W roku 1446 dotknięty zarazą morową zmarł w Krasnymstawie przejeżdżający książę mazowiecki Kazimierz, znany z zamiłowania swego do rzemiosła kowalskiego. W roku 1451 nawiedziła morowa zaraza Wielkopolskę, nie czyniąc żadnej klęski w Małopolsce. W roku 1452 latem morowe powietrze dotknęło szczególniej Śląsk, Wieluń i Kraków.

Król Kazimierz spiesznie udał się na Litwę, nie wiedząc, że zaraza morowa już w całej Litwie panowała tak

sroga, że ludzie jadąc, siedząc, śpiąc lub jedząc umierali. Nie dopuszczono zatem królowi wstępu do Wilna, ani do Trok, gdzie najzjadliwsza panowała zaraza. Schował się zatem w lasy i bory grodzieńskie i zabawiał łowami.

Zarazę morową przewozili ludzie podróżni, tak w roku 1464 do Piotrkowa przynieśli ją ponownie radni z miejsc zapowietrzonych. Do Wilna zawitała przyniesiona z suknią zapowietrzoną z Inflant. W roku 1466 Sędziwoj, wojewoda sieradzki, dotknięty morową zarazą, trzeciego dnia życie zakończył, a Jana, Arcybiskupa gnieźnieńskiego, ledwo wyratowano w tej chorobie. Zaraza krążyła po Polsce z przeszkodami, jedne miasta i wsie pomijała, w drugich szerzyła spustoszenia. Uderzając najprzód na miasta, potem na wsie i miasteczka, dotrwała aż do Postu wielkiego i później w lecie znowu się powtórzyła. W rok 1475 panowie, którzy odprowadzili królewnę Jadwigę, poślubioną Jerzemu, księciu bawarskiemu, przywieźli z sobą do Polski zarazę gorączkową, która wtedy w Bawaryi i w Niemczech panowała. W późniejszych czasach szczegóły o morowem powietrzu stają się już tak liczne, że przytaczać ich niepodobna. Morowe powietrze nie było oddzielną chorobą, dziś nieznaną, ale jedną z tych epidemii, jak cholera lub dżuma, które mogły tylko w pewnych czasach zmieniać swoje objawy i siłę rozmaicie w różnych wiekach nazywane.

W wieku XVIII. ogłaszano drukiem na arkuszach po kraju zalecany przez ludzi doświadczonych: «Przepis potrzebnego postępowania dla wygnębienia zarazy z miejsc, które jej podległe były, aby odnowieniu późniejszemu klęski ile możności zagrodzić». W przepisie tym z roku 1781, jest mowa o odosobnieniu miejsc, o przygotowaniu medykamentów, o zapobieżeniu, aby zaraza nie odnowiła się na wiosnę, o poddawaniu kwarantannie lub paleniu rzeczy po zmarłych, i posypywaniu ciał wapnem, o strzelaniu psów i kotów z domów zarażonych i potrzebie ich kadzenia, przekurzania, wietrzenia, prania lub palenia. Bielizna używana w chorobie, palona była, a nieużywaną prano.

Nadto wszystkiego dotykano się przez rękawice moczone w occie i okadzane siarką. Papiery i książki, które były w używaniu chorych palono, pieniądze moczono

w occie i okadzano dymem siarki, sprzęty myto gorącym ługiem. Ziemię z domów bez podłogi wywożono, a nasypywano świeży piasek. Wszystkie kąty w izbach, sieniach i komorach wapnem wybielano. Domy wykadzano siarką, jałowcem i octem lanym na gorący kamień.

Z domów, w których pojawiła się choroba, ludzi zdrowych wydalano do lasów, gdzie najmniej przez sześć niedziel zostawać musieli. Wreszcie przepis mówi szczegółowo o organizacyi ratunkowej, raportach felczerów, udziale władz miejscowych i t. d. Pod przepisem podpisany «Antoni Dzieduszycki zesłany dla ochrony do miejsc o zarazę zaskarżonych». Bardzo dobre wrażenie robi ta troskliwość zwrócona przed półtora wiekiem do «najbiedniejszych».

O kuli ziemskiej.

Ziemia nasza jest planetą, ma kształt kuli okrągłej i obraca się około swego słońca, jak wiele innych ciał niebieskich. — O kulistości ziemi mamy niezbite dowody, a przedewszyskiem ten, że można ją objechać dokoła w różnych kierunkach: wyjechawszy z jakiegoś miejsca, a kierując się ustawicznie w jedną stronę, można po pewnym czasie przybyć z przeciwnej strony w toż samo miejsce, z którego się wyjechało. To znaczy, że można ziemię okrążyć — więc dowód, że jest kulą. Odważni żeglarze już przed wiekami opływali ziemię dokoła; napotykając lądy, musieli nieco zbaczać z drogi, mimo to, płynąc wciąż w oznaczonym kierunku, powracali na miejsce, z którego podróż rozpoczęli. Pierwszą taką podróż naokoło świata, w ciągu trzech lat, odbył sławny żeglarz Magellan. Obecnie przy pomocy parowców i kolei żelaznych, można tego dokonać w ciągu trzech miesięcy.

Dowodem kulistości ziemi jest również i to, że zbliżając się n. p. do jakiego miasta, widzimy je niecałe odrazu, jakby to być powinno, gdyby ziemia była płaszczyzną. Najprzód ukazują się nam wieże kościołów i najwyższe szczyty, potem dachy, potem dopiero, stopniowo,

całe domy. Wszystko wynurza się powoli, jakby z poza jakiejś wypukłości. Toż samo się dzieje, gdy się oddalamy: najpierw znikają ściany domów, potem dachy, a wkońcu dopiero wieże. Lepiej jeszcze można to zauważyć na morzu, którego powierzchnia zupełnie wydaje się równą. Okręty w oddali na morzu ukazują się nie całe odrazu, ale wypływają, jakby z poza góry wodnej. Najpierw ukazują się wierzchołki masztów, potem żagle, a w końcu dopiero cały okręt. Ponieważ tak się dzieje w każdem miejscu, zarówno na lądzie, jak na morzu, to pokazuje, że ziemia wszędzie jednakowo jest wypukłą. Wszędzie zaś jednakowo wypukłą może być tylko kula.

Wiadomo, że cień, jaki za sobą rzuca jakiś przedmiot, przypomina swym kształtem sam przedmiot Otóż cień ziemi, widoczny podczas zaćmienia księżyca, ma zawsze kształt koła — a to jest również dowodem kulistości ziemi. Zresztą tych dowodów jest i więcej, nie ulega też żadnej wątpliwości, że ziemia jest kulą. Na zmianę jej kształtu nie wpływają bynajmniej znajdujące się na niej góry, bo te w porównaniu do wielkości ziemi są bardzo małe. Nawet największe góry i bardzo wysokie, są niczem przy jej ogromie i tyle znaczą na jej powierzchni, co ziarnka piasku na powierzchni dyni, lub chropowatość na powierzchni pomarańczy. Lat temu tysiąc najuczeńsi ludzie sądzili, że ziemia jest płaszczyzną, i pięćset lat temu jeszcze w tym względzie nie było pewności, dopiero uczony nasz rodak M i k o ł a j K o p e r n i k (urodzony 1473, umarł 1543 roku) dowiódł, że ziemia jest okrągła i że się obraca około słońca. Nie odrazu uwierzono Kopernikowi, nie odrazu przyjęto jego dowodzenia, zwolna jednak przekonano się, że tak jest rzeczywiście. Dziś już nikt o tem nie wątpi, a Kopernik stał się sławnym na całe wieki.

Na powierzchni ziemi znajdują się lądy suche, morza, rzeki, góry, ludzie zwierzęta i przeróżne twory i przedmioty, zachodzi więc pytanie, jakim sposobem wszystko to może się na ziemi utrzymać? Jak mogą mieszkać ludzie we wszystkich zarówno miejscowościach ziemi, szczególniej na przeciwległej nam stronie, i niepospadają? Jakże się nie wyleją te wszystkie wody, znajdujące się pod nami, i nie spłyną w przepaść bezdenną? Otóż trzeba nam wie-

dzieć, że ziemia ma w sobie taką siłę, która wszystko, co się znajduje na jej powierzchni: wody i atmosferę, czyli tę warstwę powietrza, co ją otacza, wszelkie przedmioty i nas samych — przyciąga.

Ta własność ziemi nazywa się siłą przyciągającą, ciążeniem. Wszelkie przedmioty ciążą ku ziemi i gdy dosięgną jej powierzchni, nie mogą się już od niej oderwać bez jakiejś siły zewnętrznej. Nawet rzeczy najlżejsze, n. p. listek z drzewa, puch, choć siłą wiatru pędzony, odleci daleko, wkońcu jednak zawsze na ziemię spadnie. Ta właśnie siła przyciągająca nie da nam się od ziemi oderwać.

Przytem pomyślmy, co oznacza dół? Oznacza zawsze miejsce pod naszemi nogami. Z tego wynika, że słowo spadać znaczy: kierować się ku ziemi. A więc oddalać się od ziemi, to znaczy wznosić się ku górze. A zatem ludzie, znajdujący się na drugiej stronie kuli ziemskiej, nie mogą również, jak i my spadać w przestrzeń. Przecież i w ich pojęciu odłączyć się od ziemi, to znaczy podnieść ku niebu. Oni też tak, jak my, nie boją się oderwania od ziemi, mając, (tak, jak my) nogi skierowane do ziemi, a głowę ku górze. Mają również wyobrażenie, że się znajdują na powierzchni, i że to my jesteśmy na dole. Tak więc pod tym względem nikomu na świecie nie grozi żadne niebezpieczeństwo; mądrość Boża, stwarzając świat, cudownie wszystko na nim urządziła.

Wiemy tedy, że wszystko na powierzchni ziemi, wskutek siły przyciągającej, utrzymuje się na niej i jest jakby do niej przylepione, nastręcza się jednak pytanie: jakże ziemia cała może się utrzymać w przestrzeni i nie spadnie? W dawnych czasach kiedy ludzie nie mieli pojęcia o kształcie ziemi, nie wiedzieli o sile ciążenia, żadną miarą nie mogli sobie wyobrazić, żeby taka ogromna bryła mogła się utrzymać w przestrzeni. Przypuszczali więc, że ziemia spoczywa na jakichś podporach, na wielkich słupach, to znowu, że się opiera na grzbietach olbrzymich słoni, albo wielorybów.

Ale na czem mogą się opierać te słupy i podpory, tego znów wytłumaczyć nie umieli. Byli tacy, co myśleli, że ziemia przytwiedzona jest do firmamentu niebieskiego

łańcuchem złotym, niby żyrandol u sufitu; różne też co do tego tworzyli sobie bajki. Teraz dopiero wiemy naprawdę, że ziemia jest kulą, unoszącą się w bezmiernej przestrzeni, że nie ma i nie potrzebuje żadnych podpórek. Słońce wywiera na nią siłę przyciągającą i utrzymuje na wyznaczonej drodze. Nie może ona spaść, zresztą gdzieżby spadła? Wszechświat jest nieskończony, a w takiej nieskończonej przestrzeni może się ziemia poruszać, ale nie spadać. Jest ruch, krążenie, ale niema góry, ani dołu, dna, ani końca. Ziemia tedy, na podobieństwo bańki mydlanej, albo balonu, pływa w pustem, bezmiernem przestworzu nieba.

W. G.

Wydatki na pijaństwo.

Sławny mąż angielski Gladstone powiedział w parlamencie angielskim w roku 1880, że «alkohol (pijaństwo) więcej sprawia zniszczenia, niż głód, zarazy i wojna».

I tak jest w istocie, bo pijaństwo niszczy dobrobyt całych narodów, gmin, rodzin i pojedynczych ludzi. Rozważmy dziś tylko choć jedną szkodę, to jest wydatki, jakie pociąga za sobą pijaństwo w całych narodach i krajach.

Na trunki alkoholiczne (upajające) wydają ludzie rocznie:

w Anglii około 4 i pół miliarda koron;

w Austro-Węgrzech około 3 miliardy koron;

we Francyi około 3 miliardy koron;

w Niemczech 3 miliardy marek czyli 3 i pół miliarda koron;

w Stanach Zjednoczonych 3 miliardy dolarów czyli 15 miliardów koron;

w Rosyi (na samą wódkę) 1 miliard rubli czyli 2 i pół miliarda koron;

w Belgii (na samą wódkę) 200 milionów koron;

Królestwo Polskie (na samą wódkę) więcej niż 100 milionów koron;

Polacy w Prusiech i na Śląsku wydają rocznie 200 milionów marek.

Trzeba zaś wiedzieć, że jeden miliard znaczy tyle, co tysiąc milionów. Podaliśmy tu tylko kilka państw, gdyby atoli ktoś zechciał obliczyć miliardy wydawane na alkohol na całym świecie — to powstałyby takie olbrzymie sumy, że ich doniosłości mało ktoby potrafił ocenić.

A dalej: ileż to idzie na alkoholiczne napoje jęczmienia, żyta i ziemniaków? Same tylko Niemcy potrzebują rocznie na wyrób trunków upajających jęczmienia 13 milionów cetnarów, żyta 3 miliony, ziemniaków 21 milionów cetnarów. Ileżby to ludzi mogło się tem wszystkiem pożywić? Z pewnością na długi czas ludzkość nie obawiałaby się śmierci głodowej, choćby nie wiedzieć jak wzrastała, gdyby ludzie wyrzekli się pijaństwa.

Widzimy więc, że skutkiem pijaństwa, marnotrawstwo pieniędzy i środków spożywczych jest ogromne i wystarczyłoby do wykarmienia wielu milionów biednych ludzi.

Niema najmniejszej wątpliwości, że gdyby ludzie przyszli już raz do rozumu i przestali używać napojów alkoholicznych — to w krótkim czasie znikłaby nędza i zakwitłby wszędzie dobrobyt.

Złote reguły dla matek.

1. Przyzwyczajaj dzieci od lat najmłodszych do ścisłego posłuszeństwa.

2. Łącz surowość z serdecznością. Niech wiedzą dzieci twoje, że chcesz widzieć wykonanem, coś powiedziała lub nakazała.

3. Jeśliś nakazała dziecku coś zrobić, pokaż mu, jak polecenie spełnić powinno, a uważaj bacznie, czy polecenie spełni.

4. Karaj dzieci, jeśli z rozmysłu nie słuchają twego rozkazu; nie karz nigdy w gniewie i wśród wyzwisk.

5. Uważaj na to, ażeby dzieci nie okłamywały lub oszukiwały rodziców.

6. Jeżeli zauważysz, że dziecko rozgoryczone i niechętne, poczekaj aż się uspokoi; potem dopiero napomnij je po macierzyńsku i powiedz, że cię niegrzeczność jego zasmuciła.

7. Zważ, iż jeśli karać wypadnie, mniejsza kara wymierzona, większe wrażenie na dziecku wywrze, aniżeli pogróżka surowszej kary na wypadek powtórzenia się wybryku dziecięcego.

8. Nigdy nie dawaj dziecku czegoś dlatego, że ze złością, z płaczem o żądaną rzecz woła.

9. Nie pozwalaj nigdy dziecku na coś, co dawniej w podobnych warunkach zakazałaś mu.

10. Przypomnij dziecku często tę prawdę, iż niema na świecie większego obowiązku nad obowiązek względem Boga, siebie samego i bliźniego.

11. Przyzwyczajaj dziecko do tego ażeby, katechizmu czy zadań swych szkolnych uczyło się regularnie

12. Nie pozwalaj na to nigdy, ażeby dziecko mówiło źle o innych.

13. Módl się za dzieci twoje, bo my siejemy, zasadzamy rośliny i polewamy je, lecz Pan Bóg daje rozkwit.

Prasa w Austryi.

Wiedeński *Pius-Verein*, czyli «Stowarzyszenie Piusowe», którego celem jest popieranie prasy, to jest pism katolickich, ogłosił z końcem roku 1910 ciekawe, choć nie bardzo pocieszające dla nas obliczenie co do ilości czytelników różnych pism wychodzących w Austryi.

Otóż według tego obliczenia wychodzi w Austryi 360 codziennych gazet liberalnych (wrogich Kościołowi katolickiemu) — a tylko 90 chrześcijańskich.

Gazety liberalne (wolnomyślne) mają 1 milion 810 prenumeratorów, a chrześcijańskie dzienniki tylko 400 tysięcy. Żydowskie dzienniki, jak: *Neue freie Presse* ma 68 tysięcy prenumeratorów, *Wiener Tagblatt* 66 tysięcy, *Wiener Journal* 19 tysięcy, *Wiener Abendblatt* 66 tysięcy, *Kro-*

nen-Ztg. 160 tysięcy, *Arbeiter-Ztg.* 56 tysięcy, *Zeit* 35 tysięcy i t. d.

Wkońcu zaznacza sprawozdanie, że ani jeden dziennik katolicki nie może się sam utrzymać z powodu małej liczby prenumeratorów, podczas gdy pisma żydowskie dają spore dochody. Podobnie jest i u nas w Galicyi. Katolickie pisma ledwo że dychają, a żydowskie i socyalistyczne rozpychają się, bo mają dochody od katolików, którzy je czytają. Wstyd to dla społeczeństwa katolickiego, że znajdują się w niem osoby, które zamiast czytać i popierać swoje, katolickie pisma, czytają i popierają pisma żydowskie. Tacy katolicy, to niegodne dzieci Kościoła, to jego wrogi!

Uczony japoński o dżumie.

Były asystent słynnego doktora i profesora Kocha, dziś jeden z najwybitniejszych uczonych japońskich, prof. Kitasato, wypowiedział przed korespondentem dziennika *New York Heralda* swoje poglądy na obecną epidemię dżumy w Syberyi, Mandżuryi i Chinach.

Jest on przekonany, że dżumy nie rozniosły szczury, lecz mongolscy handlarze futer. Tylko dżuma dymnicowa bowiem rozszerza się przez muchy i szczury, natomiast zakażenie przy dżumie płucnej następuje wyłącznie przez wydzieliny.

Bakcyl płucny przenosi się tylko przez bezpośrednie zetknięcie się z organizmem ludzkim, a nie przez powietrze. Oznaki dżumy płucnej objawiają się w dwa do pięciu dni po zakażeniu. Nadzieja wyzdrowienia jest wyłączona, chyba, że serum przeciwdżumowe zastosowano już przed ukazaniem się symptomów.

Prof. Kitasato wątpi najzupełniej, żeby się obecną dżumę w Mandżuryi i Chinach udało stłumić, gdyż niewiadomo jak się od niej chronić i niepodobieństwem jest chorych całkiem odosobnić.

Kitasato sądzi też, że obecna epidemia przybierze takie same rozmiary, jak straszliwe dżumy ubiegłych stuleci

w Europie, które również występowały jako dżuma płucna. Przestrzega następnie cudzoziemców w Chinach przed mniemaniem, jakoby Europejczycy nie ulegali zarazie. Fakt, że dwóch lekarzy europejskich umarło niedawno na dżumę w Antungu, przeczy niezbicie temu błędnemu mniemaniu.

Jeżeli dżuma w Charbinie rozszerza się stosunkowo powoli, to przypisać należy lepszym warunkom hygienicznym w tem mieście. Kitasato wyraża wreszcie pewność, że dżumę płucną w Japonii, gdyby wtargnęła, stłumiłby w przeciągu miesiąca, gdyż stosunki zdrowotne są tam bardzo dobre, gdy tymczasem w Chinach mógłby się tego podjąć w takim tylko razie, gdyby miał za sobą nieograniczoną władzę i uzbrojoną armię.

Niezwykłe czasopisma.

Według najnowszego obliczenia istnieje na świecie 70 tysięcy dzienników i czasopism. Ogromny rozwój pism stał się powodem, że na tem niezmiernem morzu papieru zdarzają się także dziwactwa.

W Rosyi naprzykład wychodzi «Gazeta dla bosiaków», której współpracownikami są włóczęgi i żebracy. W Bawaryi wychodzi podobne pismo niemieckie «Armer Heinrich» (Biedny Henryk). W Londynie wychodzi pismo podziemne, o przyzwoitej treści i nazywa się «Kret». Pismo to w sobotę rozdawane bywa darmo podróżnym, którzy jadą koleją podziemną.

Na okręcie «Ameryka» należącym do linii okrętowej Hamburg-Ameryka wychodzi codzień gazeta dla podróżnych — podająca różne wiadomości ze świata przesyłane na okręt telegrafem bez drutu.

W Ameryce wychodzi pięć pism dla niewidomych, a redagują je i drukują sami niewidomi za pomocą odpowiednich liter.

I w dawniejszych czasach nie brakło niezwykłych czasopism. Swego czasu wydawano we Francyi gazetę na papierze nieprzemakalnym, aby ją można było czytać w kąpieli. We Włoszech wychodziła gazeta, która po przeczy-

taniu służyła za chusteczkę do nosa, a inny znowu dziennik włoski drukowany był na bibułce do papierosów.

W Hiszpanii wychodziła gazeta drukowana czernidłem świecącem, wskutek czego można ją było czytać i w nocy. Świetne widoki otwierały się dla czytelników gazety francuskiej «Bien-etre» — oto każdy, kto prenumerował ją przez 30 lat miał otrzymać pensyę dożywotnią i pogrzeb na koszt redakcyi. Niestety, pismo upadło już po miesiącu.

Katastrofa na morzu.

Od miesiąca uważano załogę i podróżnych angielskiego parowca «Parisiana» za zaginionych. Okręt zatonął na morzu indyjskiem. Przed paru tygodniami przyjechały do Plymouth (w Anglii) trzy jedynie osoby, które zdołały się wyratować, które znaleziono w ropaczliwym stanie na wysepce St. Paul.

Ci trzej opowiadają wstrząsające sceny o losie «Parisiany» i cierpieniach załogi i podróżnych. Na pełnem morzu wybuchł na okręcie pożar. Usiłowano opanować ogień, ale wielkie zapasy węgla były doskonałym pokarmem dla rozpasanego żywiołu i po dwóch dniach wyglądał okręt jak olbrzymi rozpalony dymiący piec, rzucany po morzu.

Spuszczono na wodę łodzie ratunkowe i zajęło w nich miejsce 34 osób. Oba czółna dopłynęły do wyspy St. Paul. Tu zaczęły się cierpienia przypominające losy Robinsona Krusoe. Na brzegu znaleźli przybyli szczątki rozmaitych statków, które się tu rozbiły i wiele środków żywności, niestety już zupełnie popsutych. Pierwszego dnia pobytu na wyspie zmarł pierwszy palacz. Na zupełnie bezludnej wyspie jedynem pożywieniem były jaja ptaków pingwinów. Jeden po drugiem umierał z głodu i wycieńczenia.

Na wigilię Bożego Narodzenia zmarło dwóch. Pierwszego stycznia znaleźli majtkowie wędrując po wybrzeżu zdechłego psa morskiego. Zjedli psujące się już mięso i ulegli zatruciu. Jedyna woda możliwa do picia pochodziła z siarczanego źródła. Wywieszona przez rozbitków flaga

angielska sprowadziła wreszcie po całomiesięcznych męczarniach parowiec pocztowy, który zabrał nieszczęśliwych na swój pokład. Z 34 rozbitków tylko trzech mogło korzystać z tego szczęśliwego losu, 31 zmarło przedtem.

Bohater wiedzy.

Gazety francuskie donoszą o niezwykłem poświęceniu się dla nauki i dla dobra ludzkości młodego lekarza Aleksandra Fraicon. Chciał on sam na sobie zbadać, jak działa nowy znieczulający środek, którego zaczynają używać po klinikach przy operacyach zamiast chloroformu.

Środek ten zastrzyka się umiejętnie między odpowiednie kręgi grzbietu, a skutek jego jest ten, że znieczula on niższą część ciała, podczas gdy górna część, to jest ręce, mózg, głowa pozostają wolne, i mogą spełniać swobodnie swe czynności.

Wspomniany lekarz kazał sobie pewnego dnia w klinice zastrzyknąć ów środek, a po znieczuleniu wziął nóż w ręce i sam rozciął sobie jamę brzuszną, otworzył żołądek, zamykał żyły, wyciął nowotwór, poczem sam zaszył sobie żołądek. W czasie całej tej wzruszającej operacyi, rozmawiał ów lekarz-profesor z uczniami, a gdy znieczulenie zaczęło ustępować i bóle wracały, zaniesiono go zupełnie przytomnego do łóżka, z którego szczęśliwie powstał po dwóch tygodniach. Dzięki temu poświęceniu wiedza lekarska zyskała doświadczenie wielkiego znaczenia.

Pod kłami i pazurami lwa.

O strasznym wypadku na polowaniu w Afryce, który spowodował śmierć Jerzego Grey'a, brata angielskiego ministra spraw zagranicznych, podają dopiero teraz bliższe szczegóły gazety angielskie.

Na brzegu rzeki Altie, w pobliżu posiadłości Alfreda Pease, spostrzegano oddawna ślady lwów. Urządzono po-

lowanie. Myśliwi podzielili się na dwie grupy. W pierwszej stanęli sam gospodarz i p. Hill; w drugiej p. Grey, p. Clifford, kapitan Slatter i dwaj synowie gospodarza. Po półgodzinnej podróży konnej, pierwsza grupa spostrzegła w oddali dwa duże lwy. Dzieliła je od myśliwych przestrzeń około jeden i pół kilometra, p. Pense jednak i jego towarzysz rozpoczęli natychmiast ogień w kierunku dzikich bestyi, by je skierować w stronę drugiej grupy i w ten sposób umożliwić p. Grey'owi upragnione przezeń spotkanie się z lwem.

Za chwilę też spostrzegł p. Grey lwy i całym pędem puścił się na swym koniu ku zwierzętom. Był to fatalny manewr, spowodowany żądzą niebezpieczeństwa, który się zakończyć miał tak strasznie. Inni myśliwi spostrzegłszy p. Grey'a już w pobliżu jednego ze lwów, rzucili się w tym kierunku na osłonięcie towarzysza swego przed grożącem mu niebezpieczeństwem. P. Hill doskonały strzelec, zeskoczył z konia i zmierzył do lwa; strzał na nieszczęście dany był ze zbyt dalekiej odległości i kula chybiła.

P. Grey tymczasem zatrzymał się już i stojąc obok swego konia, oczekiwał na pędzącego nań lwa. Pierwszy strzał padł z odległości 20 metrów, godząc lwa w łopatkę, lecz nie zmniejszając wcale impetu bestyi. Drugi raz wypalił już p. Grey z odległości już tylko paru kroków, raniąc lwa w szczękę, ale również lekko. W okamgnieniu lew rozjuszony szarpał już nieszczęsną ofiarę.

Inni myśliwi przybyli o ile mogli najszybciej i z odległości trzydziestu metrów wymierzyli kilka strzałów. Lew wypuścił wnet ofiarę ze szponów i rzucił się na nowych nieprzyjaciół — otrzymawszy z dwóch stron śmiertelne rany — od p. Pense'a i jego syna, ostatkiem sił rzucił się ponownie na swą ofiarę i zaczął się z nią tarzać. Teraz nie można było wziąć na cel zwierzęcia bez obawy ugodzenia w człowieka. Z pierwszej sposobności jednak skorzystał p. Pense i celnym strzałem zabił lwa. przystąpiono do opatrunku i przeniesienia poszarpanego p. Grey'a. Pomimo, że ciało jego było jedną raną, nie stracił on był przytomności i nie wyzbył się ani na chwilę zimnej krwi. Nieszczęsny zmarł w kilka dni później.

Nowoczesne małżeństwo.

Jedna z angielskich gazet podała (w roku zeszłym) kontrakt małżeński podpisany na żądanie młodej i pięknej narzeczonej przed sędzią pokoju w Londynie.

Szczególny ten dokument opiewa: 1) Przyrzekam uroczyście przed reprezentantem prawa i moją wybraną, że jej każdej soboty oddam do rąk cały mój zarobek; 2) że codziennie o godzinie 9-tej wieczorem będę w domu, chyba, że moja żona wyjdzie ze mną; 3) że bez niej nie pójdę na żadną zabawę i bez jej pozwolenia nie będę z żadną kobietą tańczył; 4) że będę przyjaźnie traktował jej matkę i braciszka; 5) że nie będę należał do żadnego męskiego klubu, a zapiszę się tylko do tego, do którego moja żona zapisać się zechce; 6) że nie będę palił nigdy papierosów, a cygara tylko trzy w dnie powszednie, a pięć w niedzielę; 7) że nigdy nie użyję niedelikatnego wyrazu; 8) że wytrzepię co roku na wiosnę bez sprzeciwiania się dywany; 9) że sam będę miał staranie o moją bieliznę; 10) że nigdy nie będę pił napojów oszołomiających (alkoholicznych) z wyjątkiem dnia wielkiego wiosennego sprzątania trzech szklanek piwa w obecności mojej żony; 11) nigdy nie będę trzymał psa, czy to własnego, czy przyjaciela, który chwilowo wyjeżdża: 12) w razie, gdy będziemy mieli dzieci, obejmuję połowę starania około nich, to jest w nocy. Zobowiązuję się też rozpalić rano i wieczorem ogień w kuchni.

Młody człowiek kontrakt podpisał; ożenił się, a jego żona ma nadzieję, że ten kontrakt zapewni jej szczęście domowe. Czy zapewnił — nic dalej o tem gazeta nie pisze.

Rozmaitości.

Muzyka gołębi.

Mandaryni, to znaczy urzędnicy chińscy, hodują w swych wiejskich pałacach w pobliżu Pekinu liczne stada gołębi.

Przy unoszeniu się ptaków w powietrze dają się słyszeć tony jakby harfy eolskiej. Dźwięki te wydają cieniutkie struny, przymocowane do piór pod skrzydełkami gołębi co nie sprawia im najmniejszego bólu. Na cudzoziemców, znajdujących się po raz pierwszy w Chinach, powietrzny ten gołębi koncert sprawia niezwykle miłe wrażenie.

Podobnie jak dzisiaj.

W mieście Milecie w Grecyi odnaleziono starożytny napis na trzysta lat przed Chrystusem. Napis ten świadczy, że już wówczas przy wyborach uciekano się do rozmaitych praktyk. Jakiś nauczyciel gimnastyki z Miletu składa bowiem w napisie następującą przysięgę: „Klnę się na Hermesa, że nigdy nie prosiłem nikogo, aby za mną głosował i zobowiązuję się nie starać się nigdy o poparcie jakiegoś politycznego stronnictwa".

Ile jest wody w Oceanie Wielkim?

Ocean Wielki zajmuje 170 milionów kwadratowych kilometrów powierzchni, czyli 170 bilionów metrów kwadratowych. Przypuściwszy, że głębokość wynosi przeciętnie pięć tysięcy metrów, to w takim razie metrów kubicznych byłoby w Oceanie Wielkim 852 tysięcy bilionów. Jeden metr kubiczny mniej więcej wynosi 8,564.774 kropli wody, stąd na cały Ocean przypada:
7,280,244,900,000,000,000,000,000 kropli.

Ludzi na całym świecie ma być jeden i pół miliarda. Gdyby podzielić tę olbrzymią ilość wody na wszystkich ludzi, to na każdego człowieka przypadałoby cztery tysiące ośmset pięćdziesiąt trzy biliony, 496 miliardów i 600 milionów kropli wody.

A gdyby ją chciano zliczyć i wszyscy ludzie na świecie liczyliby dzień i noc, a co sekundę 1 kroplę zliczyli, toby żyć musieli 155 milionów 903 tysięcy 370 lat 158 dni i 8 godzin. A gdyby chciano wodę wypompować i ustawiono 10 milionów pomp, z których każda

pracując dzień i noc i wyrzucając co minutę 20 tysięcy kwart wody, toby pompować musiały przez 8 tysięcy 773 lat.

Post a długowieczność.

Zwolennicy zbawiennych dla zdrowia skutków długiego postu mogą się powołać na sprzyjający ich nauce przykład. W Cambridge (w Anglii zmarł) w 86 roku życia profesor uniwersytetu tamtejszego. Mayor, który od wczesnej młodości aż do śmierci hołdował teoryi postu.

Profesor Mayor jadł tylko tyle, żeby nie umrzeć z głodu, podobno nawet zdarzało mu się po 15 dni nie przyjmować wcale pokarmu, pił tylko wodę i, jak zapewniał, czuł się bardzo dobrze po takim poście. Mayor zostawił po sobie bardzo bogatą bibliotekę, zgromadzoną za pieniądze, które oszczędził na życiu. Zmarły do ostatnich prawie chwil swego długiego życia cieszył się zdrowiem.

Jak dżuma weszła do Pekinu?

Na pytanie powyższe daje odpowiedź gazeta amerykańska *New Jork Herald*. Donosi ona mianowicie, iż dżumę zawlekli do stolicy Chin strzelcy chińscy, którzy polowali na Syberyi i Mandżuryi na zwierzęta o futrach cennych i żywili się tam mięsem bobaków *(Arctomys Bobac)* podlegających dżumie.

Strzelcy ci pierwsi padli ofiarą strasznej choroby. Że zaś oni, a nie kto inny, dżumę rozszerzyli, dowodem i to, iż dotychczas nie stwierdzono ani jednego przypadku rozszerzenia jej przez szczury. Zbadanie krwi osób. które padły ofiarą dżumy w Pekinie, wykazało, że bakcyl tej choroby różni się wielce od dżumy dymienicowej.

Wyrok salomonowy.

Przed kilku tygodniami król belgijski Albert znalazł się w trudnem położeniu. Od czasów panowania w Belgii króla Leopolda I. przechował się zwyczaj, iż chrzestnym ojcem siódmego syna każdej obywatelki belgijskiej,

w tym wypadku, jeśli sześcioro rodzeństwa pozbawione jest zupełnie członków płci żeńskiej, winien być król. Matka otrzymuje wtedy, jeśli należy do sfery zamożnej, jakiś przedmiot złoty lub srebrny, matki ubogie obdarzone bywają pewną liczbą stufrankówek. Przytem osoba panująca uważa za swój obowiązek zatroszczyć się o przyszłość swego chrzestniaka.

Otóż przed kilku dniami zdarzył się taki wypadek, trudność zaś cała wynikła z tego powodu, iż do sześciorga dziatwy płci męskiej przybyły jeszcze dwa bliźnięta. Król Albert zwrócił się o rozstrzygnięcia sprawy do prawników, lecz ci nie mogli znaleźć odpowiedniego wyjścia. Rozstrzygnęła przeto sprawę królowa Elżbieta: chrzestnym ojcem jednego chłopca będzie król Albert, drugiego zaś — książę brabancki.

Konsumcya tytoniu w Austryi.

Jeneralna dyrekcya tytoniu zarządziła obliczenie konsumcyi tego artykułu za rok 1909.

Ogólna konsumcya (zużycie) tytoniu w tym roku jest większa, niż w latach poprzednich; wypalono bowiem w 1909 roku 393 tysięcy 677 cetnarów metrycznych, a więc o 8 tysięcy i 134 cetnarów metrycznych więcej niż w roku 1908.

Wartość skonsumowanego tytoniu wynosiła w 1909 roku 272 milionów 271 tysięcy 795 kor., czyli o 10 milionów i 191 tysięcy koron więcej niż w roku 1908. Najwięcej użyto, to jest kupiono i spalono papierosów, sprzedano ich w 1909 roku o 351 milionów sztuk więcej, niż w roku 1908.

Drzewo, które się nie pali.

Pewne angielskie pismo ogrodnicze dodaje ciekawą wiadomość o pewnem drzewie kolumbijskiem, które posiada szczególną zdolność opierania się działaniu ognia. W kolumbijskiej prowincyi Rolima istnieje zwyczaj palenia corocznie podczas suszy zeschłych na polu ziół, któreby w porze dżdżystej tamować mogły rozwój roślinności młodej. Powtarzające się wciąż pożary wywierają oczywiście

wpływ zgubny na drzewa, które też zwolna giną zupełnie, młode bowiem pędy trudniej jeszcze, aniżeli drzewa stare, niszczącemu działaniu ognia mogą się opierać.

Jedyny wyjątek tylko stanowi Rhopla. Niewielkie to, skręcone drzewo, nietylko nie doznaje żadnej od ognia szkody, ale nawet odnosi stąd korzyść, rozpościera się bowiem coraz bardziej w miejscowościach, opuszczonych przez inne drzewa. Oporność zaś ta polega na budowie jego kory, której część zewnętrzna, na 1 centymetr przeszło gruba, utworzona z obumarłych komórek i włókien, działa jak powłoka ochronna względem żyjących częśc wewnętrznych.

Dziwna poczta.

Podczas miesięcy zimowych na wybrzeżu szkockiem panują zwykle wielkie burze; wtedy okręty nie mogą przybijać do brzegów wyspy Saint-Kilila i zabierać poczty. W celu zaradzenia złemu, administracya pocztowa wymyśliła niezwykły sposób przesyłania posyłek. Listy i przesyłki, zapakowane w pudła nieprzemakalne, bywają zanoszone na wybrzeże i tam powierzane... falom. Ponieważ między wyspą a Szkocyą istnieje prąd morski o kierunku od wyspy do Szkocyi, przeto prąd ten pełni obowiązki pocztowe i zanosi pudełka ku wybrzeżom Szkocyi, gdzie specyalni pocztylioni wyławiają je z wody.

Nie jest to bardzo pewny sposób przesyłania listów, gdyż na 10 pudełek dochodzi tylko 6 — 7; ale mieszkańcy wyspy Saint-Kilila twierdzą, że w braku czegoś lepszego, to nie jest zbyt złe.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Marceli Dziurzyński.

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.

Figle i żarty.

Sprytny pułkownik. — Pułk żołnierzy ustawiono na paradę kościelną przed koszarami, ale ponieważ kościół pułkowy odnawiano, mogła się pomieścić tylko połowa żołnierzy. Pułkownik polecił oficerowi zakomenderować, ażeby ci, co nie mają chęci iść do kościoła zawrócili na lewo. Znaczna część żołnierzy skorzystała z nastręczającej się sposobności, i szybko przeszła na lewą stronę. A wtedy pułkownik zawołał:

— Uwolnić na miasto tych, którzy pozostali, a tych z lewej strony zaprowadzić do kościoła, bo im wiecej potrzeba modlitwy niż swobody!

Rozumowanie terminatora. To szczególne, jak czeladnik chory, to się nazywa, że pijany, a jak pan majster pijany, to się nazywa, że chory.



PISMO DLA RODZIN CHRZEŚCIJAŃSKICH.
WYCHODZI RAZ W MIESIĄCU OKOŁO 1-GO.

Rocznik III. (Półrocze I.) **Numer 5.**



Adres: Redakcya ŚWIATŁA w Krakowie, ul. Powiśle L. 12.

Treść numeru 5-go.

Rocznik III. Kraków 1-go maja 1911. (Półrocze I-sze) Nr. 5.

ŚWIATŁO

pismo poświęcone nauce i rozrywce

wychodzi **raz** w miesiącu, dnia 1-go

Prenumerata „ŚWIATŁA“ wynosi w Austryi na **rok:** **3** korony — na **pół roku:** **1** kor, **50** hal. — Do Niemiec na rok: **4** kor. — półrocznie **2** kor. — Do Ameryki rocznie **1** dolar.

ADRES: Redakcya **„ŚWIATŁA“** w Krakowie ul. Powiśle 12.

Biskup o prasie.

J. E. Najprzewielebniejszy Antoni Juljan, Biskup płocki wydał na tegoroczny ubiegły Post Wielki, List pasterski do wiernych.

List ten bardzo ważny, traktujący o prasie, w wyjątkach przytaczamy:

»Gdy rozważam — pisze Arcypasterz — nad czem należy mi się razem z Wami, Najmilsi, przy rozpoczęciu tego Wielkiego Postu zastanowić, myśl moja zwraca się do tej wielkiej zdobyczy rozumu ludzkiego, za pomocą której i dobro i piękno i prawdę obficie nabywać możemy.

»Mówię tu wogóle o druku, a raczej o czytelnictwie.

»Gdy jednak cieszę się z postępu czytelnictwa, to jednocześnie zdejmuje mnie obawa. Czytelnictwo bowiem nietylko sprowadza korzyść, ale i szkodę, zależnie od tego, co czytamy. Jeżelić »kto z kim przestaje, takim się staje«, to tak samo, gdy dobre rzeczy czyta, dobrym się staje; gdy złe czyta, złym będzie. Lękam się zatem, abyście, Najmilsi, czytając pisma szkodliwe, jednocześnie dusz swoich nie zatracali«.

Przedstawiwszy dosadnie szkody, wyrządzane duszom przez złe książki, Biskup dalej pisze:

»Mówiąc o niebezpieczeństwach, na jakie złe książki narażają naszą Wiarę i moralność, jednocześnie ostrzec

Was muszę, że złe gazety więcej jeszcze są szkodliwe dla dusz naszych, niż książki. Książka zła rzadziej wpada nam w ręce, i o jej wartości możemy zwykle wcześniej się dowiedzieć. Tymczasem gazeta codzienna lub pismo tygodniowe, łatwo przychodzi do nas i mimo najlepszych pozorów szerzy truciznę.

»Pierwotnym celem gazety było samo podawanie wypadków z życia publicznego. Ale zadanie to już dawno znacznie rozszerzone zostało. Dziś pisarz w gazecie nietylko sam wypadek podaje, nietylko opisuje sprawy, mniej lub więcej głośne na świecie, ale wyraża o nich swoje zdanie.

»Wolnomyślni i bezwyznaniowi pisarze piszą o rzeczach, nawet prostych, po wolnomyślnemu i bezwyznaniowemu, socyaliści po swojemu, a najwięcej podobno jest takich pisarzy, którzy piszą bezbarwnie, bez wykazania swego stanowiska zasadniczego wobec spraw ludzkich i zagadnień, umysł nasz mocno zajmujących. Chcą wszystkim służyć, zarówno chrześcijanom, jak i żydom lub poganom, zarówno protestantom, jak i katolikom.

»Nic przeto dziwnego, że gazety o takich kierunkach, nie czynią zadosyć naszym potrzebom katolickim, nie popierają przedewszystkiem konieczności dla nas Królestwa Bożego i sprawiedliwości jego, że piszą tak, jakby Kościół nasz był taką samą doczesną instytucyą, jak inne.

»Stąd też w wielu gazetach nie znajdujemy nigdy imienia Boga, niema w nich mowy o Opatrzności Bożej i jej stosunku do świata, o zadaniach i wymaganiach Kościoła i Papiestwa, jako instytucyi Bożych. Gdy się coś stanie na świecie, co chwałę Kościołowi katolickiemu przynosi, nic o tem nie piszą lub na małej wzmiance poprzestają; ale za to jakże rozdmuchują smutne wypadki z życia katolickiego i tak skorzy są do potępienia zwyczajów i ustanowień katolickich! O katolickiem wychowaniu dzieci, o szkołach katolickich tam nie znajdziesz, ale za to przesadnie rozgłasza się i rozmazuje niezwykłe zbrodnie, zamieszcza się najbardziej plugawe i wstrętne jej opisy, zachęca się przesadnymi opisami do nawiedzania cyrków i teatrów, pochwala się te sztuki teatralne, których treścią są rozwody, cudzołóstwa, lekceważenie praw Kościoła, pojedynki

i t. p. Ilekroć zaś gazety wolnomyślne uznają za stosowne podać sprawozdanie z uroczystości katolickich, to chyba dlatego, aby się tym sposobem wkraść w serca czytelników katolickich, by tem łatwiej potem antyreligijną i niemoralną trucizną ich poić.

»Przez czytanie gazet wolnomyślnych katolik zwolna obojętnieje dla Wiary, wyzbywa się poglądów, a nawet uczuć katolickich, wreszcie utraca Wiarę. Odzwyczaja się od interesowania się sprawami religii katolickiej, obniża w sobie religijność, przestaje popierać rozwój Wiary i bronić Kościoła. Wiele rodzin, wśród których czytano gazety wolnomyślne, nietylko przestało kochać Kościół święty, ale nawet od Wiary odpadło. Wielu z tych, co do spowiedzi i Komunii św. nie przystępują, zatruci zostali i do zguby doprowadzeni przez bezbarwne i wolnomyślne gazety. Ilość przestępstw i samobójstw w społeczeństwie naszem wciąż się powiększa wskutek czytania tej ohydy, jaka po dziennikach złych jest drukowana».

Zaznaczywszy, że złe gazety i książki są szkodliwe również dla »dojrzałych nauką i doświadczeniem«. Ks. Biskup pisze:

»Ale powiesz może: Gazeta to nie kazalnica; gdy o Wiarę chodzi, pójdźmy do kościoła, gazety zaś niech będą niezależne. Niechże choć przy gazecie odetchniemy od przytłaczających nas praw i przykazań. Mowa taka z zasadami wiary katolickiej nie zgodna. Nie może się nazywać katolikiem ten, ktoby swoje życie katolickie zamknął tylko w kościele, i nie stosował do Wiary swej życia we wszystkich jego odruchach, zarówno w domu, jak i na placach publicznych, zarówno, gdy jest samym, jak i między ludźmi, zarówno przy pracy, jak i przy zabawie, zarówno gdy mówi, jak i czyta.

»Wszędzie i zawsze, od dojścia do rozumu aż do oddania swej duszy Bogu, katolik ma swoje katolickie zasady wyznawać. Mówi według praw Bożych, oddycha według praw Bożych, pracuje według praw Bożych, cieszy się, smuci, myśli, wypowiada swoje poglądy, — wszystko według praw Bożych, złożonych przez Chrystusa Pana w Kościele katolickim. Ustępstwa od tego prawa niema, ale tylko odstępstwo.

»Widzimy więc, Najmilsi, że czytelnictwo, które z założenia swego powinno nam przynosić korzyść, gdy go źle użyjemy, zada nam klęskę największą, bo w życiu nadprzyrodzonem, katolickiem. Gdy przeto z jednej strony o książki, pisma i gazety pilnie starać się mamy i je czytać, to z drugiej strony w książkach tych, pismach i gazetach taki wybór czynić powinniśmy, abyśmy przez czytanie ich nietylko szkody nie ponieśli, ale przeciwnie obfity pożytek otrzymali. Dlatego my katolicy, w praktyce obowiązani jesteśmy na sumieniu do zachowania następujących reguł:

»1-o. Książek, pism i gazet, które obrażają naszą świętą wiarę i Kościół katolicki, — nie wpuszczajmy do domów naszych.

»2-o. Te tylko gazety kupujmy, które, gdy mówią o religii, moralności, o dziejach, o życiu społecznem, zarówno publicznem jak i prywatnem, wyraźnie uwydatniają cześć swą dla naszego Kościoła nadprzyrodzonego, prostują wszelkie kłamstwa i potwarze, zamieszczone w dziennikach wolnomyślnych, i podejmują odważnie walkę z wrogami naszej wiary.

»3-o. Te tylko gazety polityczne będą dla nas dobre, które szanują zasadę wolności Kościoła i jego Najwyższego Wodza, Ojca świętego.

»4-o. Młodzieży naszej nie pozwalajmy czytać brudnych romansów, nie mówiąc już o książkach wrogich religii świętej i nieobyczajność szerzących.

»5-o. Do prenumerowania gazet i pism katolickich zachęcajmy innych naszych współbraci w wierze.

»6-o. W sklepach, restauracyach, cukierniach i t. p. żądajmy, aby były w nich pisma katolickie, to jest z uwzględnieniem potrzeb naszych katolickich, wydawane.

»7-o. Od roznosicieli gazet i sprzedających żądajmy, aby mieli gazety katolickie, i te tylko starajmy się popierać.

»8-o. Ogłoszenia o potrzebie kupna lub sprzedaży umieszczajmy w pismach katolickich A gdyby nie do przezwyciężenia przeszkoda zmuszała nas do ogła-

szania się w pismach szerzących bezwyznaniowość, to i wtedy, poza ogłoszeniami interesującemi nas, nic innego z nich nie wyczytujmy.

»9-o. Gdy wypadkiem wpadną nam w ręce broszury, świstki ulotne, wstrętne, nieobyczajne piśmidła i t. p., przez wrogów wiary i burzycieli porządku społecznego tak obficie rozrzucane — niszczmy je natychmiast, jak to robimy z robactwem plugawem.

»10-o. Katolicy wreszcie pisarze pamiętać mają, że winni unikać drukowania swych prac w pismach nam wrogich«.

»Kto żyw między nami — nawołuje w końcu listu gorliwy Pasterz: — kto Wiarę katolicką szczerze kocha, ten niech popiera prasę katolicką. Być może, że wydawnictwa katolickie niekiedy pod niektórymi względami chromają, ale pamiętajmy, że gdyby miały więcej prenumeratorów i kupujących, w krótkim czasie przewyższyłyby inne. Od nas to samych zależy! Zresztą musimy się zgodzić na to, że prasa wolnomyślna wydaje się pozornie tak dobrze prowadzoną dlatego, że na zmysły działa, często szerzy sensacyjne wiadomości i mało-krytycznego czytelnika olśniewa. A są ludzie, którzy w tego rodzaju rzeczach mają upodobanie, bez oglądania się na zdrowie moralne i pożytek; a niemała też liczba i takich, którym błyskotliwy frazes imponuje ponad wszystko, bez względu na jego naukową nicość i wykazany niejednokrotnie brak wszelkiej wartości. Tego rodzaju pisma nie dla nas!

»Popierajmy więc dobre gazety, przyjmujmy je jak miłego gościa pod naszą strzechę. Ze szczególniejszą radością witajmy w rodzinach naszych pisma o charakterze religijnym, aby one mogły w nas wzmacniać życie religijne i w oddaniu należnej czci Bogu podtrzymywać.

»Kto popiera pismo, znieważające naszą religię, staje się jej wrogiem. Kto popiera pismo, lżące sługi Kościoła i jego instytucye, tem samem znieważa sam Kościół, chociaż jest jego członkiem«.

»Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Amen«.

† *Antoni Julian, Biskup.*

Świadectwo pogan i żydów o Chrystusie.

Przed stu jeszcze laty nikomu nie przychodziła do głowy myśl, ażeby wątpić albo nawet zgoła zaprzeczać, czy Jezus Chrystus istniał na świecie. Wrogowie jednak Chrystusa posunęli się w swojej nienawiści w ostatnich lat dziesiątkach tak daleko, że nietylko zaprzeczają Boskiego pochodzenia Zbawiciela, ale odważają się stawiać wprost niesłychane twierdzenie: Jezus Chrystus nie istniał wcale na ziemi; Chrystus nie jest rzeczywistą, ale tylko zmyśloną osobistością, jest wschodnią bajką i fantazyą!

Twierdzenie takie jest szczytem nienawiści, ale też i szczytem głupoty wrogów Chrystusa. Co prawda jest kilku tylko takich, którzy śmią zaprzeczać egzystencyi Chrystusa; że Chrystus jest Bogiem — temu zaprzeczają wszyscy jego wrogowie, ale że Chrystus żył i działał na ziemi — zaprzeczają temu jedynie najgłupsi z jego nieprzyjaciół. Tyle bowiem jest dowodów życia Jezusa na ziemi, że nawet odrobinę rozumu mający człowiek nie może wątpić, czy Chrystus rzeczywiście żył tu na ziemi. Przytaczamy poniżej kilka świadectw pogan i żydów, które stwierdzają istnienie Chrystusa i jego działalność w Palestynie.

Pierwszym sławnym, niechrześcijańskim świadkiem w obronie Chrystusa jest Tacyt, największy rzymski dziejopisarz. Było to w roku 64, a więc zaledwie 30 lat po śmierci Chrystusa, gdy okrutny cesarz rzymski Nero kazał spalić miasto Rzym, ażeby rozkoszować się widokiem płonącego miasta. Ażeby odwrócić od siebie wszelkie podejrzenia tego zbrodniczego czynu, kazał Nero rozpuścić pogłoskę, że to chrześcijanie podpalili Rzym. Tacyt, który te zdarzenia umieścił w swoich nieśmiertelnych Rocznikach, dodaje taką uwagę: »Ta nazwa (to jest chrześcijanie) wzięła swój początek od Chrystusa, który za panowania Tyberyusza został ukarany śmiercią przez namiestnika Piłata Poncyusza«.

W dalszym ciągu mówi Tacyt, że w Rzymie znajduje się »ogromna ilość« chrześcijan. Zaledwie więc upłynęło 30 lat od śmierci Chrystusa, a już musi Tacyt zapisać

w swojej kronice, że liczba chrześcijan w Rzymie jest »ogromną«.

Prawie w tym samym czasie opowiada inny historyk rzymski, poganin Suetonius, że z powodu Chrystusa powstały wśród żydów potężne rozruchy i że cesarz Klaudyusz z tej przyczyny wypędził ich z Rzymu; stało się to 20 lat po śmierci Chrystusa.

Trzecim z kolei świadkiem w obronie Chrystusa wśród Rzymian jest poganin Pliniusz. Był on namiestnikiem Bitynii. 17 lat po śmierci Chrystusa donosi Pliniusz swojemu przyjacielowi cesarzowi Trajanowi o wynikach śledzctwa sądowego, które w sprawie chrześcijan prowadził. Otóż w urzędowym dokumencie zawiadamia namiestnik cesarza, że chrześcijanie są wszędzie bardzo silnie rozsiani, dochodzenia jednak nie wykryły nic innego po nad to, że oni schodzą się rano, »ażeby Chrystusowi, jako swojemu Bogu, śpiewać chwałę«.

Przejdźmy teraz ze Zachodu na Wschód i przypatrzmy się, czy i tam niema niechrześcijańskich świadków w obronie istnienia Chrystusa.

Trzy lata po Ukrzyżowaniu Chrystusa urodził się Józef Flawiusz. Z pochodzenia i religii był on żydem, z mowy zaś, wykształcenia i obyczajów Grekiem.

Flawiusz żył tedy bezpośrednio po Chrystusie i napisał historyę narodu żydowskiego, a dzieło to dziś jeszcze posiada wielkie i ważne znaczenie. Jeżeli Chrystus rzeczywiście żył, jeżeli nie był tylko jakąś bajką, to taki Flawiusz musiał coś o nim wiedzieć i musiał coś o nim powiedzieć w swojej historyi żydów.

Otwórzmy zatem tę księgę dziejów i czytajmy. Otóż pisze tam Józef Flawiusz dosłownie:

»W owym czasie żył Jezus, mądry człowiek, jeżeli wolno go w ogóle nazywać człowiekiem, ponieważ wykonywał nadzwyczajne czyny, nauczyciel ludzi, którzy z radością słuchali prawdy. Miał on wielu uczniów, którzy go naśladowali, zarówno wśród żydów, jak wśród Greków. Był to Chrystus (Messyasz). Gdy Piłat wskutek skarg przywódzców naszego ludu kazał go ukrzyżować, nie przeszkodziło to wcale temu, że uczniowie kochali go nadal tak, jak przedtem. Trzy dni po swojej śmierci ukazał się im

żywy, co między innymi cudami przepowiedzieli dawno nasi prorocy; i teraz jeszcze istnieje lud chrześcijan, tak po nim nazwanych«.

Mamy jeszcze jednę księgę żydowską, która również niezbicie udowadnia, że Jezus Chrystus żył rzeczywiście. Jest nią tak zwany »talmud«, owa szczególna księga, która zawiera najstarsze nauki ludu żydowskiego, bo została napisana dawno jeszcze przed narodzeniem Chrystusa. Czy więc talmud zaprzecza, że Jezus żył rzeczywiście. Nie, także talmud potwierdza istnienie Chrystusa, tylko ani słówkiem nie wspomina o jego życiu i czynach w Palestynie.

Trzy światowe wtedy języki, które z krzyża obwieszczały wyrok śmierci Jezusa, złączyły się znowu po Jego zgonie, ażeby wobec całego świata zaświadczyć o Jezusie Chrystusie. Poganie i żydzi stwierdzają w swoich dziełach, pisanych po łacinie, po grecku i hebrajsku, że Jezus Chrystus żył na prawdę, że on jest osobistością historyczną, a nie wytworem fantazyi i baśni. Owe niechrześcijańskie świadectwa mają tem większą wartość, że pochodzą od ludzi, którzy piastowali w publicznem życiu wysokie godności; mają one dalej tem większą wartość, bo ci ludzie żyli w czasach Chrystusowych; i dlatego jeszcze świadectwa te mają tak doniosłą wartość, że ci ludzie byli wszyscy przeciwnikami i wrogami Chrystusa, byliby więc chętnie skłamali, gdyby nie to, że byli głęboko i stanowczo przekonani o istnieniu Chrystusa.

Z pieśnią na ustach.

W Vesores — sous Prangey, w departamencie Langsan (we Francyi), mieszkała młoda panienka nazwiskiem Augustyna Jobard. Wychowana u P. P. Urszunanek w Langre była dumą swych braci i słodką nadzieją matki. Niedawno wróciła z klasztoru, gdy oto w nieszczęsnym roku 1794 została oskarżoną przed trybunałem rewolucyjnym w Langre. Donosiciel obwinił pannę Jobard o fanatyzm religijny i stosunki z wychodźcami.

Oskarżenie zdołało się utrzymać: Augustyna kochała Boga z całego serca, i korespondowała z pewnym emigrantem, którym był brat jej, czcigodny ksiądz Jobard, dla sprawy Jezusa Chrystusa wygnany do Szwajcaryi. Ile razy kochająca siostra znalazła środek przesłania listu, nigdy nie opuściła sposobności.

Trybunał wręczył oficerowi żandarmeryi rozkaz stawienia przed sądem obywateli, Augustyny Jobard z Vesores — sous Prangey.

Oficer chociaż odważny żołnierz, otrzymawszy rozkaz zbladł... był on nietylko żołnierzem, ale także przyjacielem rodziny Jobardów.

Można sobie wyobrazić trudne położenie oficera. Trzeba było jutro iść do Vesores, schwycić i uprowadzić Augustynę, której niewinność znał doskonale; trzeba było wnieść niepokój w dom, gdzie tyle razy gościnnie podejmowany, dzielił radość przyjaciół.

Zresztą myślał sobie: mieć religię, czy to tak wielka zbrodnia? Wiernie służyć Bogu ma być tak niecnym czynem, za który trzeba śmierć ponieść? albo czy siostra korespondująca z bratem popełnia zamach na całość państwa? Dzielny oficer nie był zupełnie tego pewny.

Lecz nadewszystko czuł niewymowny wstręt z jawienia się jako zwiastun nieszczęścia w rodzinie, z którą łączyła go dawna przyjaźń.

Cóż postanowić? Namyślał się długo i zdecydował się na rzecz niebezpieczną. Napisawszy kilka wierszy powierzył je posłańcowi i kazał zanieść w nocy do Vesores — sous Pragney. Bilet zawierał następujące słowa:

»Do Panny Augustyny Jobard«.

Pani! mam rozkaz stawienia pani przed sądem: niechże się pani skryje dobrze lub ucieka. Jutro będę w Vesores, aby panią aresztować«!

Gdy list był w drodze oficer czuł, że mu ciężar spadł z piersi, a przecież narażał swoją głowę. Gdyby posłaniec zdradził, gdyby list przejęto, musiałby umierać; tak, wiedział o tem, ale przynajmniej nie zdradzi przyjaźni i niewinności. Położył się i spał spokojnie.

Nazajutrz udał się z towarzyszami do Vesores sous Prangey.

Wierny posłaniec oddał list tej, dla której był przeznaczony.

Przeczytawszy go panna Jobard, uspokoiła swoją matkę i postanowiła: nie uciekać ani się kryć; oddała się w opiekę Bożą!

O dziesiątej żandarmi zapukali do drzwi. Panna Augustyna wyszła przyjąć gości. Na jej widok oficerowi słabo się zrobiło.

Cóż się stało z jego biletem?... Nie odebrano go, bo panna Jobard spokojna i uśmiechnięta..., ale w takim razie posłaniec zdradził... i autor listu musi umrzeć... musi umrzeć nie wyratowawszy niewinnej panienki. Zbliżył się do niej i rzekł pół głosem:

— Nieszczęście się stało! nie odebrała pani listu?

Panna Augustyna odpowiedziała jeszcze ciszej:

— Bądź pan spokojny, odebrałam list składam go w ręce pańskie; nie grozi panu żadne niebezpieczeństwo.

— Ale pani jesteś w niebezpieczeństwie, z pewnością umrzesz.

— Nie mów pan o tem, nie przestraszaj mamy; siadaj pan do śniadania i bądź w dobrym humorze.

— Oficer już nic nie rozumiał z tego. Przy śniadaniu panna Jobard robiła honory pani domu. Mała uczta skończyła się; Augustyna uścisnęła matkę i innych członków rodziny; uspokoiła wszystkich i pojechała otoczona żandarmami.

Wyjechawszy z dziedzińca zaśpiewała pewnym i silnym głosem »Ave maris stella«. Pochód skierował się do Langres.

— Kiedy mieszkańcy Vesores ujrzeli ulubioną panienkę, jadącą z żandarmami do Langres na pewną śmierć, zalewając się łzami, rzucali zielone gałązki pod nogi bohaterskiej chrześcijance, która śpiewała dalej pieśń pobożną.

Przybyto do Langrean, mieszkał tam brat panny Jobard; na prośby jej pozwolono na odwiedzenie brata, który dowiedziawszy się o smutnem położeniu siostry, był niepocieszony, lecz Augustyna miała dar pocieszenia. Zapewniała, że się niczego nie obawia, że to rzecz małej

wagi, że trybunał zadowolni się kilku wyjaśnieniami i wieczorem wróci do brata na kolacyę.

Czy miała rzeczywiście nadzieję powrotu?

Dusze niewinne pełne są zaufania, nie przypuszczając, nic złego o drugich; a dobre serca umieją pocieszać strapionych choć same nie mają nadziei.

Kiedy Augustyna stanęła przed trybunałem w Langres, śmierć jej była już postanowioną

— Obywatelko — zaczął przewodniczący, czy masz brata wychodźcą?

— Tak panie.

— Ten brat był dawniej księdzem?

— Mój brat jest księdzem katolickim i wyznawcą wiary.

— Obywatelka korespondowałaś z nim?

— Nie tak często, jak pragnęłam, ale zawsze, gdy tylko mogłam.

— Prawo tego zakazuje.

— Ale religia i serce moje nakazują. Niema mi pan nic innego do zarzucenia?

Sędziowie spojrzeli po sobie i kazali obwinioną osadzić w więzieniu.

Po trzech dniach odwieziono Augustynę do Paryża w towarzystwie wielu osób znanych z gorącej wiary.

Panna Jobard została we więzieniu trzy miesiące podtrzymując tam odwagę towarzyszów niedoli, i wywiązując się cudownie z urzędu pocieszycielki; bardzo często rozlegał się pod sklepieniami więzienia jej głos melodyjny; śpiewała zawsze swoje piękne pieśni, a mianowicie: »Ave maris stella«.

Dnia 25 go lipca 1794 roku, łoskot otwierającego się zamku zmącił śpiew hymnów religijnych; drzwi się otwarły i wygalowany urzędnik magistratu stanął na progu.

Rozwinąwszy listę wymienił kilku więźni; były to ofiary, które republika posyła w tym dniu na szafot.

Na liście znajdowało się i nazwisko Augustyny Jobard; zachowała ona postawę nieulękniona. przeżegnała się znakiem krzyża św., zaśpiewała swoje »Ave maris stella«, tak samo jak wychodząc z Vesores-sous-Prangey i śpiewała aż do szafota, tam je dopiero skończyła.

Panna Augustyna Jobard była prawie ostatnią ofiarą rewolucyi; w dwa dni później nastąpił upadek Robespierre'a, a więzienia się otwarły; ci, którzy wyszli z ciemnicy, opowiadali wszędzie jak Augustyna ta prawdziwa chrześcijanka, pocieszała więźniów, jak umiała bohatersko umierać.

Rodzina tej odważnej dziewicy nie wygasła: Jobardowie żyją dotąd we wsiach Vingeanne, Baissey, Longean.

W czasie długich zimowych wieczorów, opowiadają sobie członkowie tej rodziny zajmującą historyę Augustyny, historyę zapalającą serca i utwierdzającą w nich bohaterskie cnoty.

Szczęśliwa rodzina, bo wydała ze swego łona męczeniczkę, jakiż piękny tytuł posiadała do szlachectwa.

Wychowanie szkolne w Anglii.

Głównem zadaniem szkoły angielskiej jest wychowanie młodzieńca, przygotowanie go do potrzeb i wymagań życia praktycznego. Zmysł praktyczny jest wśród Anglików rozwinęty do tego stopnia, iż wielu z nich kilkakrotnie przenosi swe dzieci z szkoły do szkoły w tym jedynie celu, aby pozyskały one możliwie szerokie koła znajomych, co w dalszej perspektywie życia przydać się może bardzo.

Na wysoce praktyczny sposób zapatrywań uczniów szkół angielskich rzuca pewne światło fakt następujący:

Kiedy zmarły niedawno król angielski zasiadał jeszcze na ławach szkolnych, wysłał pewnego razu do matki list, prosząc o nadesłanie mu pewnej sumy, pożyczonej od kolegów. List otrzymany w odpowiedzi od matki, zawierał morały na temat koniecznego ograniczenia wydatków, która ta sumka przydać mu się może bardzo w przyszłości. W rezultacie spotkał się z odmową.

Po pewnym czasie młody następca tronu wysłał matce obszerne piśmienne podziękowanie za określone tych kilka słów macierzyńskiej przestrogi, która przydała mu się bardzo, albowiem... autograf ten sprzedał jednemu z ko-

legów za poważną sumę, poważniejszą od tej, o którą prosił, mianowicie trzy funty szterlingów.

Szczególną uwagę zwracają szkoły angielskie na rozwój fizyczny młodzieży. Co się tyczy wykładów, to odbywają się one w sposób możliwie praktyczny, systemem poglądowym. W tym celu przy szkole znajdują się chemiczne, biologiczne i t. p laboratorya, urządzeniem swem nie odstępujące w niczem laboratoryom, isniejącym przy uniwersytetach naszych. Z tajnikami przyrody zapoznają się dzieci w czasie wycieczek, spacerów, ze światem Rzymian starożytnych — przy pomocy zwiedzania znajdującego się w poblizu odpowiedniego muzeum i t. p.

Spoczynek nocny przerywany bywa o godzinie 7-ej rano. Dzieci oblewają się wówczas zimną wodą, poczem następują ćwiczenia na wolnem powietrzu. Lekcye, ćwiczenia fizyczne, gry i t. p. przeplatają się wzajemnie, przyczem spacer odbywa się zawsze bez względu na stan pogody. Uczniowie w przeciągu dnia kilkakrotnie zmieniają odzież.

Co zaś jest najgodniejszego uwagi w szkołach nowego typu w Anglii, to życie wewnętrzne i oryginalny zaiste samorząd szkolny.

Programy nauczania opracowane są przez radę pedagogiczną, sposób wszakże zastosowania tych programów zależy od decyzyi rady starszych uczniów tak zwanych «prefektów». Oni to wypełniają cały szereg obowiązków w szkole, a więc: zajmują się regulacyą zegarów, dopilnowaniem punktualności w życiu wewnętrznem szkoły, do nich należy obowiązek utrzymania w salach szkolnych normalnej temperatury, oni również zajmują się dokonywaniem spostrzeń meteorologicznych. Jeden z »prefektów« zajmuje się redagowaniem specyalnej gazety szkolnej tak zwanej »Kroniki«, w której notowane są ważniejsze wypadki z życia zakładu szkolnego. Gazeta powyższa rozsyłana jest również prenumeratorom oraz rodzicom dzieci, dając im w ten sposób możliwość wglądania w wewnętrzne sprawy szkolne.

Obok wyłuszczonych powyżej urządzeń, szkoła posiada cały szereg naukowych stowarzyszeń i klubów sportowych oraz własną straż ogniową. W szkole organizo-

wane są wystawy, spektakle, koncerty, tak, iż tworzy ona odrębny światek, którego wewnętrzne interesy dotyczą zarazem wszystkich, tak uczniów, jak nauczycieli.

Przy szkole istnieje również instytucya nieznana nigdzie, mianowicie klub byłych uczniów, którzy po opuszczeniu nawet ław szkolnych nie tracą całkowicie związku ze szkołą, ale od czasu do czasu przyjeżdżają na tygodniowy okres czasu, podporządkowując się zawsze porządkow i obowiązującemu.

Zegary starożytne.

Człowiek od najdawniejszych czasów znał wartość czasu, a chcąc ją określić, tworzył przyrządy, wedle których mógł dokonywać pomiaru chwil ubiegających. Gdziekolwiek znajdujemy ślady cywilizacyi, spotykamy też równocześnie i instrumenty do mierzenia czasu. Pierwszym zegarem był niewątpliwie nieboskłon, a słońce na nim pierwszą wskazówką. Ale zegar ten zmienny był bardzo, a często i niewidoczny. Z nastaniem zmroku o mierzeniu czasu nawet mowy być nie mogło.

Jakie koleje przeszła nauka mierzenia czasu nie wiadomo; u najdawniejszych już narodów spotykamy zegary słoneczne, czyli kompasy, piaskowe (klepsydry) i wodne. Niewiadomo także kiedy i kto wynalazł zegar z zastosowaniem doń kółek zębatych.

Opowiadają, że Arabowie przybyli z poselstwem do Karola Wielkiego, przywieźli do Europy pierwszy zegar z kółkami. Jest to legenda, historycznie nieudowodniona. Niema też śladu, gdzie zbudowano pierwszy zegar wieżowy. W opisie klasztorów z wieku XII. natrafiamy już na istnienie zegarów, wybijających godziny. W końcu XIII. wieku zegary kółkowe, znane już były w całych nieomal Włoszech. Wspomina o tem wyraźnie Dante w jednym ze swych utworów.

W roku 1288 jakiś mechanik angielski otrzymał przywilej zbudowania zegara na wieży pałacu Westminster-

skiego w Londynie. Zegar ten do dnia dzisiejszego istnieje— ale nazwisko jego twórcy jest nieznane.

Pierwszym znanym z nazwiska zegarmistrzem był Jakób Dondi, Włoch, któremu przypisują zbudowanie kilkunastu zegarów wieżowych w Padwie, Bolonii i w innych miastach. Żył on w połowie XIV. wieku.

Dopiero jednak w wieku XV. zegary zaczęły się rozpowszechniać. Od tego też czasu astronomia zwróciła się do ich pomocy przy swoich obliczeniach; dzięki też dokładnym zegarom doszła w swym rozwoju do tak wysokiego poziomu, na jakim się obecnie znajduje. Ważnym krokiem na drodze postępu w tym kierunku było zastósowanie do zegarów wahadła, co się stało w roku 1641. Od tego też dopiero czasu może być mowa o dokładnych zegarach. Wynalazca wahadła zegarowego był znakomity astronom włoski Galilei.

Pierwszy zegarek kieszonkowy wykonał Piotr Hele, ślusarz z Norymbergii, urodzony w roku 1480, a zmarły w 1542. Pierwszy ten zegarek był tak wielki, jak jajko kurze; stąd też przez długi czas zegarki kieszonkowe nazywano »jajkami norymberskiemi«.

Nazwę usprawiedliwiał do pewnego stopnia i wygląd zegarka. Czasomierz Helego nakręcał się co 40 godzin, a każdą godzinę wybijał dosyć nawet głośno.

Najdawniejsze zegary są przeważnie wagowe, to znaczy, że wymiar czasu zależał od ciężaru wagi, która wprawiała w ruch kółka zębate. Wahadło Galileusza służyło tylko do pomiaru drobnych cząstek czasu. Dopiero matematyk holenderski Chrystyan Huyghens, słynny dzięki odkryciom praw światła, zastosował wahadło do zegara w ten sposób, iż obrót kółek został uregulowany przez połączenie z wahadłem. Wynalazek ten w użyciu codziennem większe ma znaczenie, aniżeli odkrycie Saturna, dokonane przez tego uczonego.

Najdawniejszy sposób obliczenia godzin, dzielący dobę na 24 części, utrzymał się także na tarczach zegarowych. Jeszcze do końca wieku XVIII, a we Włoszech wśród ludu nawet do tego czasu liczy się godziny od 1 do 24. Dawniej liczono je od zachodu słońca, później od południa.

Ztąd też na dawnych zegarach spotykamy tarcze z 24 przedziałkami. W wieku XV. innych tarcz nie było.

Do dnia dzisiejszego istnieje w mieście Chatres, we Francyi taki zegar, pochodzący z owych czasów. Pomimo przeróbek, dokonywanych w tym zegarze, tarczę jego pozostawiono nietkniętą. Zegar ten stoi tam 480 lat. Czystość i piękność rysunku na tej tarczy wpada każdemu w oko i budzi podziw ogólny.

W ogóle tarcze owych zegarów przyozdabiano obficie rysunkami artystycznemi. Na tarczy znajdowały się po trzy, a nawet cztery koła z przedziałkami na oznaczanie godzin, minut, dni i miesięcy. Charakterystyczną tego rodzaju tarczę odnajdujemy na starym sztychu, przedstawiającym zegar XV. wieku, wyrobiony we Włoszech.

Na zegarach XVI. wieku rzadko bardzo znajdujemy podziałki na oznaczenie minut. Zegary ówczesne mają zazwyczaj jednę tylko wskazówkę. Około głównego koła podzielonego na dwanaście przedziałek, biegnie mniejsze z czterema przedziałkami, przeznaczone, jak twierdzą współcześni dla szybszego oryentowania się w czasie.

W XVII. wieku spotykamy zegary z tarczą o sześciu przedziałkach. Wskazówka na takiej tarczy wykonywała cztery obroty w ciągu doby. Z owych czasów pochodzi też zegar, który ma trzy tarcze: jedną z sześciu, drugą z czterema, trzecią wreszcie z dwunastoma przedziałkami. Tarcza z czterema przedziałkami wskazywała kwadranse; tarcza zaś z sześcioma była raczej wynikiem fantazyi zegarmistrza, aniżeli rzeczywistej potrzeby. W końcu XVII. wieku zaprzestano używać tarcz z sześcioma przedziałkami i od tego czasu nigdy ich też nie spotykamy.

Dawniejsze zegary zazwyczaj wszystkie zaopatrzone były w figury ruchome, w budziki, kuranty. Zegar ówczesny musiał nietylko wkazywać czas, ale także budzić swego pana, bawić wzrok jego, przygrywać mu co pewien przeciąg czasu określony. Pracowity instrument!...

Cudowne źródło.

(Bajka chińska).

Biedny, ale poczciwy, Lau-sy mieszkał nad Jand - tse-kiangiem i zajmował się na drobną skalę połowem i sprzedażą ryb. Usposobienia był smutnego, bo pomimo pracy i uczciwości nie mógł dojść do stanu możliwie wygodnego życia i szczęśliwości.

Pewnego razu wybrał się na spacer po pracy i w niewielkiej odległości od swego domu spotkał bogobojnego starca, nazwiskiem Lin-li, z którym szedł dalej, rozmawiając. W rozmowie zwierzył się starcowi, że nieraz rozmyśla nad tem, dlaczego na świecie jest tyle złego.

— To bardzo proste — rzekł mu Lin-li. Że na świecie jest źle, winne temu głównie przyczyny następujące: ludzka chciwość, objawiająca się u wielu ludzi; brak miłości względem bliźnich i brak ufności w swoje siły i w możliwe szczęście u lepszych, lecz też licznych ludzi. Słuchaj Lau-sy — mówił starzec — podobno przed laty, kiedy ludzi było na świecie jeszcze bardzo mało, wytrysło w górach piękne źródło. Źródło to, do którego każdy mógł się dostać, podobno posiadało tę cudowną własność, że kto się z niego miał napić wody, zostałby szczęśliwy. Ale przytem warunki były takie, że pić trzeba było z wiarą, że to picie, szczęście rzeczywiście przyniesie, pić z sercem pełnem miłości dla świata i pić tylko tyle, ile potrzeba dla zaspokojenia rzeczywistego pragnienia, nie mniej i nie więcej. Tylko przy zachowaniu takich warunków ludzie pijący mogli być szczęśliwi. I oto cóż się stało?

Najprzód do źródła zbiegli się ci, którzy wierzyli, w szczęście możliwe, wierzyli, że da im je woda ze źródła, lecz niepomni na warunek, opijali się tak wiele wody przez chciwość, że ona zupełnie nie działała i nie dała im pożądanego szczęścia. Nie dopuszczali innych przez chciwość, a sami szczęścia, przez znaczne opicie się wody, co było zabronione, nie osiągnęli. Inni nie byli chciwi, choć tych było znacznie mniej, ale tak byli zrozpaczeni, że pili, myśląc o tem, że cudowne źródło im szczęścia nie da, ponieważ w objawy możliwego szczęścia na świecie nie wierzyli.

Więc i im źródło cudowne nie pomogło. Nie potrzebuję dodawać, że ci ludzie, którzy posiadali chciwość, choćby w najmniejszym stopniu, nie posiadali też miłości dla świata. Wobec takiego zachowania się ludzi cudowne źródło prawdziwego, możliwego szczęścia bić przestało.

Najszybszy lud na kuli ziemskiej.

Do najszybszych, a zarazem najbardziej interesujących ludów naszego globu zaliczyć należy szczep Indyan Seri, zamieszkujący odległą, smutną i dziką pustynię nad zatoką kalifornijską.

Chłopcy i kobiety tego plemienia zabawiają się chwytaniem w pełnym biegu żywych zajęcy, rozumie się bez użycia jakiegokolwiek przyboru, jak pocisku lub łapki Dorośli zaś wojownicy w biegu po kamienistej i wszelkiej roślinności pozbawionej równinie, przewyższają swą chyżością wszystko, gdyż chwytają oni tak najszybszego jelenia, jak i wiatronogą antylopę. Najściglejszy koń nie może się z nimi mierzyć.

O tym dzikim szczepie, który pomiędzy wszystkiemi, na pierwotnym poziomie stojącemi rasami, najniższe miejsce zajmuje, opowiada Walter v. Woehlke w »Ueber Land und Meer« na podstawie zebranych badań przez prof. W. I. Mc. Gee w dwóch przez Smitsoński instytut naukowy urządzonych wyprawach.

Kraj, który tych okrutnych i olbrzymich dzikich wydał, jest strasznym i dzikim, jak sami mieszkańcy. Leży on w środku najgorętszej i najsuchszej części lądu północno-amerykańskiego, gdzie gorąco przez ośm miesięcy w roku dochodzi codziennie w cieniu 48 do 57 stopni C, podczas, gdy noce są okropnie zimne.

Jednostajność tę przerywa w czasie upalnym parę dni deszczowych, które przynoszą zazwyczaj oberwanie się chmur, zamieniający tę suchą solną pustynię w potoki mułu — resztą cały rok panuje okropny żar, powodujący brak wody, w którą z paru odległych miejsc mieszkańcy się zaopatrują. Nędzny ten i dziki kraik, czerpie jednak

obfitość środków pożywienia z ciepłych wód zatoki, obfitującej w najrozmatszego rodzaju twory.

Zatoka ta, naturalnemi i nadzwyczajnemi przeszkodami najeżona, staje się dla wszelkiego rodzaju żeglugi, a zatem i obcych natrętów nieprzebytą zaporą, którą tylko krajowcy, na z sitowia sporządzanych koszałkach, przebywają.

W tym nadzwyczaj ubogim, a przedewszystkiem dostatniego pożywienia dostarczającym kraju, wyrósł potężny szczep, którego wojownicy poniżej sześć stóp nie mierzą, z szeroką i silnie rozwiniętą piersią, o ciemnej, prawie w czarną barwę przechodzącej skórze, i ściągnistymi muszkułami. Pod względem budowy i postawy posiadają oni do chyżości i sprężystości muskułów coś z konia wyścigowego, zaś co z charta.

Żar klimatu i ostrymi kamieniami zasłana równina zmieniły ich skórę nóg przez częste zranienia, aż do wysokości kolan, na twardą, jak róg — do tego stopnia na skaleczenia odporną, że w pościgu za zwierzem nie zawahają się skoczyć nawet w te miejsca, które zwierz dla niemożliwości przebycia i zranień omija. Gąszcz kolczastych kaktusów lub większa ostrokamieniasta przestrzeń nie stanowi dla nich przeszkody.

Kobiety ich w czasie posuchy przy 40 stopniowym upale, noszą wodę w wysokich 33 funtów ważących naczyniach na głowie, z odległości 50 klm., przyczem bardzo często obciążone są wiszącemi przy piersi niemowlętami, które wsparte nogami o biodro, ręką podtrzymują — dźwigając w dodatku na plecach cały swój dobytek.

Chłopcy zaprawiają się w biegu wypuściwszy psa na wilki na pewną odległość, które doganiają i chwytają. Puszczają się nawet za wzlatującymi ptakami i jak sam Mc. Gee opowiada, widział chłopca, który wzlatującemu ptakowi pełną garść piór z ogona wyrwał.

Na łowy za zającem wybierają się dzieci zawsze w trójkę, jeden z nich, stosownie do biegu zwierzęcia, biegnie w trop za niem, inni zaś zabiegają mu z obu stron, aż je za ogon — skoki lub słuchy złowią. Gdy wojownika owładnie chęć pochwycenia jelenia lub antylopy — dogania on ją bez wysiłku, a w ostatniej chwili biegu, lotowi raczej podobnego, zarzuca je żywo na ramiona. Mc.

Gee opowiada, że urządził u nich wyścig konia z człowiekiem, przyczem koń stanowił nagrodę.

W szalonym biegu puszczono ogiera, którego już na przestrzeni stu metrów Indyanin dognał i jak kot na grzbiet skoczył, a ujàwszy jedną ręką grzywę między uszami, drugą zaś chwyciwszy za nozdrza, w okamgnieniu zwalił zwierzę ze złamanym stosem na ziemię.

Wobec powyższych na drugi plan schodzą sławni biegacze greccy, jak Ladas i inni.

Kapituła woźniców.

»Kapitułą« od dawna zwie się zgromadzenie gwardyanów, definitorów zakonnej prowincyi pod przewodnictwem prezesa, wyznaczonego przez jenerała Zakonu. Taka kapituła zowie się prowincyonalną.

Otóż w dawnych czasach, kiedy nie było kolei żelaznej, na kapitułę szli gwardyani, definitorowie nasampierw pieszo, a później udawali się wozami.

Ponieważ prowincye OO. Bernardynów miały liczne klasztory, to też na kapitułę zjechało się dużo gwardyanów. Na takiej kapitule jak dawniej tak i dziś wybierano O. prowincyała, definitorów, a ci wybierali potem gwardyanów dla poszczególnych klasztorów.

Ale i wszyscy furmani, którzy przywieźli prowincyała, definitorów, gwardyanów do klasztoru kapitularnego, także odbywali kapitułę. Wybrali sobie koniuszego.

Tym był kapłan zakonny, który w klasztorze kapitularnym mieszkał. Ten ksiądz koniuszy odprawił wotywę dla wszystkich woźniców, którzy parami klęcząc, trzymali batogi w ręku i tak słuchali Mszy św. przez księdza koniuszego odprawianej. Ci sami furmani obierali sobie marszałka, instygatora i dwóch patronów. Marszałek doglądał porządku wśród furmanów — stajni i t. p.

Gdy spostrzegł, że w stajni koło koni nie było porządku, lub, że który z furmanów nie był w nocy koło swoich koni, wówczas wyznaczył dla winnego plagi, instygator je wykonywał przy pomocy dwóch patronów, którzy

przedtem zbadali, ażali winowajca nie ma podkładki. Marszałkiem furmanów zwykle bywał woźnica O. prowincyała, albo gwardyana tego klasztoru, w którym kapituła się odbywała.

O prawdziwości tej kapituły furmańskiej można się przekonać w dziele Łukasza Gołębiowskiego, w Warszawie wydanego roku 1830 pod tytułem: »Zwyczaje, zabobony ludu polskiego«.

Pałac robotniczy.

W Paryżu wznosi się okazały budynek, zwracający uwagę przechodnia niezwykłą przy wielkości swej prostotą, nie pozbawioną jednak smaku. Na zewnątrz budynek gotów jest już zupełnie, wewnątrz wre jeszcze praca gorączkowa. I tu jednak wnet zamilkną młoty i heble i budynek otworzy gościnne progi swoje dla licznych rzesz robotników.

Budynek ten, to nowe pomnikowe dzieło rozumnie pojętej troski o robotników, to wielki »Dom Ludowy dla mężczyzn«, wzorowany na amerykańskich instytucyach tego rodzaju, a celem jego — uprzystępnienie skromnie nawet uposażonemu robotnikowi za niewielką stosunkowo opłatą wygód życiowych i umożliwienie mu stworzenia sobie, bez wszelkich zachodów, skromnego, ale własnego ogniska.

Urządzenie wewnętrzne »Domu Ludowego«, to praktyczne połączenie wygody, czystości i elegancyi.

Z sieni wchodzi się do wielkiej, czystej i jasnej sali, stanowiącej rodzaj poczekalni. Ściany jej, jak i podłoga, wyłożone kaflami białemi i niebieskimi. Przez środek ciągnie się wielka ława, pod ścianami stoją wygodne krzesła.

Z poczekalni wchodzi się do wielkiej sali, długości 20, a szerokości 10 metrów, przeznaczonej na wspólne rozrywki. Przylegają do niej dwa mniejsze pokoje, jeden przeznaczony na palarnię, w drugim mieści się biblioteka. Na środku tej ostatniej ustawiony jest duży stół dębowy, z ławami do siedzenia; pod ścianami stoją małe stołki z przy-

borami do pisania; tu robotnik załatwiać może korespondencyę swoją.

Ściany obwieszone są malowidłami, przedstawiającemi robotnikowi piękności przyrody.

Z pokoju do palenia przechodzi się do olbrzymiej sali jadalnej, 50 metrów długości, a 40 szerokości, do jednego wielkiego wspólnego stołu. Robotnicy siadają grupami po 4 lub 5 przy małych stolikach.

Ceny potraw są, oczywiście, bardzo niskie. Za 25 centymów otrzymuje robotnik porcyę mięsa, jarzyna kosztuje 12 centymów, a jeżeli zechce napić się wina lub piwa, jak w lecie butelkę limoniady owocowej, to wszystko razem kosztuje go niecałe 50 halerzy.

Nowy »Dom Ludowy« w Paryżu posiada 746 ładnych pokoików: są one wprawdzie niewielkie, dwa i pół metra długie i dwa metry szerokie, ale każdy posiada duże okno, w każdym jest szafa, krzesło i jasno malowane łóżko żelazne. Jeden pokój taki kosztuje 75 halerzy na dobę, albo cztery franki tygodniowo. Wszędzie jest światło elektryczne i ogrzewanie centralne.

Na pewne ograniczenia musi być gość, oczywiście, przygotowanym: nie wolno więc n. p. palić papierosów w pokojach, lecz tylko w palarni, o godzinie 9 tej rano pokój musi być uprzątnięty.

Gość obowiązany jest uszanować spokój nocny sąsiada.

I jeszcze jedno ograniczenie: hotel przeznaczony jest tylko dla mężczyzn.

Napiwków, oczywiście, płacić niema komu, bo robotnicy sami siebie obsługują. Szereg praktycznych urządzeń przy każdym stole ułatwia czynność tą znakomicie.

Bardzo praktycznie urządzone są wielkie umywalnie i kąpiele stojące do wygody gości hotelowych.

Jest to długi szereg zbiorników z wodą zimną i gorącą, są urządzenia do mycia nóg. Wszystko to odbywa się bezpłatnie i tylko, kto chce pozwolić sobie na zbytek kąpieli gorącej w wannie płaci się za to 25 centymów (24 halerze).

Zimne i gorące kąpiele natryskowe kosztują 12 centymów.

Rozmaitości.

Niezwykły człowiek.

W Londynie odbyło się tymi czasy liczne zebranie lekarzy, na którem przedstawiał się niejaki Nordini, który po wielu latach ćwiczeń uzyskał zupełną władzę nad swemi mięśniami i nad działalnością serca.

Nordini może swoje mięśnie do tego stopnia zmiękczyć, że gdy wstrząsa ramieniem, drżą one, jak liście na wietrze, a potem nawet bez zaciśnięcia ręki w kułak, samym wysiłkiem woli może je uczynić od ramienia do łokcia twardymi jak żelazo, gdy równocześnie od łokcia do dłoni jest ręka miękka. Może on to samo uczynić z każdym mięśniem swego ciała, a co jeszcze jest dziwniejsze, może zatrzymać czynność serca na dwadzieścia przeszło sekund, albo też zwolnić ją, lub przyśpieszyć stosownie do woli, wbrew prawom natury.

Jest to rzecz dotąd zupełnie nie praktykowana. Nordini utrzymuje także, że może pozostać pod wodą ośm do dziesięciu minut i że może żyć, przez pewien określony czas pogrzebany, w ziemi. By tego dowieść, proponuje, żeby go umieszczono w pudle długiem na siedm stóp, szerokiem na trzy i pudło to pokryto warstwą piasku na stopę grubo; żeby mu przytem usta, nozdrza i uszy wypełniono watą, a oczy zawiązano, aby piasek nie mógł się do nich dostać. Potem piasek ma być sypany na niego, aż będzie grubą warstwą pokryty. Po kwadransie stanie żywy i zdrowy.

Nordini jest podobno Polakiem z Galicyi, ma lat 37. Nadzwyczajne rozwinięcie mięśni było już w dzieciństwie u niego widoczne i nauczyciel, widząc go w kąpieli, zwrócił na to uwagę jednego lekarza. Tem spostrzeżeniem również i chłopiec zainteresował się ogromnie i od tego czasu oddał się zupełnie tym praktykowanym przez niego ćwiczeniom fizycznym. Wystarał się o wszystkie dzieła traktujące o wyrobieniu mięśni, a czytanie o fakirach indyjskich poddało mu myśl zatrzymania bicia serca; także myśl zagrzebania się żywcem wziął ze Wschodu. Prowadził życie bardzo skromne, tygodniami żył w la-

sach, łącząc się z przyrodą. Nie używa nigdy alkoholu, nie pali tytoniu, je bardzo mało.

Ciekawy wynalazek.

Pisma rosyjskie doniosły niedawno o ciekawym wynalazku, któremu trudno dać wiarę Mianowicie profesor tamtejszego zakładu technologicznego prof. Rosing, po 50-letniej pracy wystąpił z przedziwnym przyrządem za pomocą którego można przebywając w domu widzieć wszystko, co n. p. dzieje się teatrze, albo w kawiarni, albo w ogóle tam, dokąd to „elektryczne oko“ zostanie skierowane.

Można, jak zapewnia profesor Rosing, widzieć każdej chwili, co się dzieje na ulicy, kontrolować ruch na dworcu, przenikać głębie morskie i na placu boju śledzić stanowisko nieprzyjacielskie. Każdy fabrykant, siedząc w swojej pracowni, może widzieć, co się dzieje w każdym zakątku jego fabryki.

Japońskie wychowanie dzieci.

W paryskim dzienniku *Matin* ogłosiła p. Osaki, żona burmistrza z Tokio, interesujący artykuł o wychowaniu dzieci w Japonii. Zarówno bogaci jak ubodzy, witają tam urodzenie się potomka z ogromną radością. Stanowisko kobiety w rodzinie jest naprawdę dopiero wtedy utrwalone, gdy da życie dziecku.

W siedem dni po przyjściu na świat otrzymuje noworodek nazwisko: chłopiec otrzymuje imię ojca z jakimś przydomkiem, dziewczyna imię symboliczne kwiatu, klejnotu lub tym podobne. W pierwszym roku życia i chłopcy i dziewczęta są ubierani w czerwone sukienki, później chłopcy otrzymują szaty innej barwy, zbliżone do męskich, a dziewczęta wzorzyste kimona, ozdobione kwiatami, liśćmi lub ptakami.

Sposób wychowania jest trudny i troskliwy, ale dzieci muszą okazywać zupełne posłuszeństwo wobec rodziców. Rano, po zerwaniu się ze snu, dzieci spieszą do rodziców z zapytaniem o zdrowie. Podczas jedzenia, po

spożyciu każdej potrawy, składają głęboki ukłon dziękczynny. Wychodząc z domu, klękają przed matką, a ojca opuszczającego dom, żegnają słowami: „Bogi niech będą z tobą! Powracaj rychło!“

Przeżyte prawo.

W gazetach zagranicznych pojawiła się bardzo ciekawa wiadomość o szczególnym przeżytku prawnym, który do dziś dnia nie stracił jeszcze znaczenia. W Yorkshire (w Anglii) istnieje prawo miejscowe, które pozwala mężowi na... sprzedanie własnej żony. Prawo to nie jest bynajmniej skasowane, więc obowiązuje i dziś, równie jak kiedyś. Ciekawsza, że skorzystano zeń ostatnim razem nie tak dawno, bo zaledwie przed 20 tu laty. Ostatnie ceny wyniosły nawet bardzo niewiele. Jedną kobietę sprzedano za 7 szylingów i 6 pensów, (9 koron) drugą — tylko za 2 szylingi i 6 pensów (3 korony).

Historyk angielski Charles Forshaw podaje w swem dziele liczne przykłady takich transakcyj, z których ostatnią zanotował w roku 1862 Na tem prawie osnuł też Thomas Hardy swą powieść pod tytułem *Mayor of Casterbridge*, w której mąż sprzedaje żonę z dziećmi ku ogólnemu zadowoleniu: kupca, nabywcy i sprzedanych.

Kilkanaście wypadków sprzedaży żon datuje się z roku 1815, kiedy żołnierze, którzy powrócili do domu po długiej nieobecności i zastali swe żony zamężne lub za kim innym, skorzystali z tego prawa, by się ich pozbyć. Ludność w Yorkshire do dziś dnia szanuje to prawo i zachowuje w pamięci pewne zwyczajowe obrzędy, które muszą sprzedaży żony towarzyszyć. Przyjętem jest również; że cena sprzedażna nie może być mniejszą, niż szyling (2 korony).

Raj ziemski.

Rajem ziemskim wydać się nam musi bezwątpienia północno-amerykański stan Minnesota, znajdujący się pod względem finansowym w tak świetnym stanie, iż od roku 1912 ani jeden z mieszkańców tego stanu nie będzie opłacał żadnych wogóle podatków. Kasie państwowej powyż-

szego stanu nagromadziło się z górą 5 milionów dolarów oszczędności, wobec czego gubernator postanowił pokryć tą sumą wszystkie bieżące wydatki, mieszkańców zaś od wszelkich podatków uwolnić. Szczęśliwi!...

Nowiny.

Mądra i patryotyczna uchwała. Dnia 6 go kwietnia bież. roku odbyło się w Myślenicach posiedzenie Rady miejskiej, na którem Rada uchwaliła zasadniczo nie przyjmować do związku gminy żadnego żyda, który w domu u siebie nie używa polskiego języka. (Oby taka uchwała w więcej miastach i miasteczkach znalazła oddźwięk.

Nadmienić tu także wypada, że w Radzie miejskiej dotąd nie zasiadał żaden żyd. Rada składa się wyłącznie z chrześcijan i dąży do tego usilnie, aby jak najdłużej nie dopuścić do zabagnienia narodowego ducha w Radzie.

Największa sprawiedliwość, największą krzywdą. W sądzie frysztackim, jak czytamy w *Gwiazdce Cieszyńskiej* zasądzona została w lutym wdowa Genowefa Wawrzyczkowa z Górnej Suchej, mająca 7 drobnych dzieci, za ścięcie, przez jej jeszcze nie 14-letniego syna, suchego drzewka w lesie na 3-tygodniowy areszt.

Matka nic o kradzieży chłopca nie wiedziała, bo leżała w łóżku chora na płuca. Leczył ją dr. Fussgänger z Karwiny, a Siostry ze szpitala karwińskiego posyłały jej zupę, a dla dzieci trochę chleba, by z głodu nie pomarły.

Obecnie biedna wdowa suchotnica z najmłodszem dzieckiem u piersi odsiaduje karę w kryminale cieszyńskim. Przy rozprawie w sądzie frysztackim Wawrzyczkowa nie była obecna, nie wniosła też rekursu do sądu obwodowego. Gdyby sędzia frysztacki był ją uwolnił, nie byłby z pewnością obciążył swego sumienia.

Agitacya przeciw Polakom. Z okazyi 50-letniej rocznicy zniesienia pańszczyzny i uwłaszczenia włościan w zaborze rosyjskim, rozrzuciły władze rosyjskie między lud całe wagony różnych broszur, pełnych kłamstw i oszczerstw na szlachtę polską i na duchowieństwo katolickie.

Dziwne zjawisko. Nad miastem Messyną (w Sycylii) nawiedzonem strasznem trzęsieniem ziemi przed kilkoma laty, ukazało się pewnego wieczora przed Świętami wielkanocnemi o godzinie 7-ej oślepiające światło, po upływie zaś jakich trzech minut dopiero dał się słyszeć huk podobny do 4 wystrzałów armatnich, danych jeden po drugim.

Przypuszczano z początku, że huki te spowodowane zostały przez eksplozyę w fabryce prochu, lub wysadzenie w powietrze jednego z fortów nadbrzeżnych, lecz przypuszczenia te nie były uzasadnione wobec równoczesnych telegraficznych doniesień z Catanii, Palermo i Reggio di Calabria, że i tam obserwowano toż samo dziwne zjawisko. Należy przypuszczać, iż zjawisko spowodował spadek jakiegoś meteoru.

Przeloty ptaków w Irlandyi. Z różnych punktów Irlandyi donoszą o niezwykłem zjawisku, jakie zauważono tam w dniach ostatnich. Oto nieprzeliczone gromady ptactwa przeciągały z niesłychanym krzykiem, jakby gnane jakimś strachem, bez wyraźnego kierunku i chmurą opadały na polach wycieńczone zmęczeniem.

W miejscowości New Ross setki ptaków rozbiło się o mury kamienic i kościołów, wielka liczba wpadła do rzeki Barrow. Podobne zjawisko zauważono również w Dublinie. Wieśniacy twierdzą, że podobnego ciągu ptaków i tak niebywałego ich krzyku, najstarsi ludzie nie pamiętają. Przyczyny niezwykłego zjawiska naturaliści określić nie umieją.

Przypuszczają, że wywołały je zmiany powietrzne, lub że wskutek licznego nagromadzenia ptactwa wybuchła między niemi wojna domowa.

Oddalenie ziemi od słońca. Zbliżenie się małej planety Erosa ku ziemi dało powód, że szereg astronomów podjęło nową próbę oznaczenia oddalenia ziemi od słońca. Jako najdokładniejsze obliczenie podaje pismo *Prometheus* wynik badań Artura Hinksa, który stwierdza, że odległość ta wynosi 149 milionów 228 tysięcy kilometrów. Dotychczasowe obliczenia wykazywały znacznie wyższą cyfrę.

70 jaj zjadł w ciągu 22 minut. Pewien stolarz monachijski (w Bawaryi) założył się z kolegami, że zje 70 jaj ugotowanych na twardo. Jaja kazał ugotować na twardo, a potem kazał zrobić z nich placek, który zjadł z wielkim apetytem. Zakład wygrał tym sposobem, ale koledzy oburzyli się i sprawili mu taką łaźnię, jakiej jeszcze w życiu nie zaznał.

Restauracya na drzewie. Zajazd „pod Gwiazdą“ w Stutteins (Voralberg) oznacza się osobliwością, jaką niewiele gospód poszczyciłby się mogło. Przed samą gospodą stoi odwieczna i najstarsza lipa w całym Voralsbergu. Obwód środkowego pnia olbrzymiego drzewa ma 6 metrów, przy korzeniu zaś pień mierzy 9 metrów obwodu. Pomiędzy pięciu konarami lipy-staruszki mieści się restauracya z elekrycznem oświetleniem. Restauracya jest w stanie pomieścić 20 osób.

Nie golił się przez 90 lat. W Nasuville w Ameryce zmarł na tyfus Elbert Merida, liczący 90 lat, który był znany z tego, że nożyce nie dotykały włosów na jego głowie, a brzytwa nie dotknęła brody. Podobny on więcej był do człowieka dzikiego, niż cywilizowanego ze swoją do kolan siegającą brodą i niezwykle długiemi włosami na głowie. W jego mieszkaniu zbudowanem z kloców znaleziono kilkanaście skór z wężów, których używał jako pasków do opasywania długiej kapoty.

Króla żebraków aresztowano w Homlu w Rosyi. Nazywa się Dawidem Koczemelem, jeździł po miastach, zakładał szkoły, w których uczono się żebrania, tworzył towarzystwa i związki żebrackie i miał wszędzie żony, razem 20, z któremi brał ślub na mocy sfałszowanych papierów.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Marceli Dziurzyński.

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szviewskiego.

Figle i żarty.

Podobieństwo. — Panny — powiada domorosły filozof — mają bardzo wiele podobieństwa z jabłecznikiem.

— A to jak? — pyta przyjaciel.

— Ponieważ z latami kwaśnieją.

W szkółce wiejskiej. — Cóż tam, Pawliszak, czy twój ojciec zapomniał, że obiecał przysłać mi prosiaka?

— Nie zapomniał — ale...

— Ale co?

— Prosię tymczasem wyzdrowiało...

W sekrecie. Pewna kobieta powierzyła drugiej jakąś tajemnicę i dodała:

— Ale proszę was, milczcie o tem, by się tego nikt nie dowiedział.

— Bądźcie spokojni, kumoszko, będę milczała jak wy.



PISMO DLA RODZIN CHRZEŚCIJAŃSKICH.
WYCHODZI RAZ W MIESIĄCU OKOŁO 1-GO.

Rocznik III. (Półrocze I.) **Numer 6.**



Adres: Redakcya ŚWIATŁA w Krakowie, ul. Powiśle L. 12.

Treść numeru 6-go.

Rocznik III. Kraków 1-go czerwca 1911. (Półrocze I-sze) Nr. 6.

ŚWIATŁO

pismo poświęcone nauce i rozrywce

wychodzi **raz** w miesiącu, dnia 1-go

Prenumerata „ŚWIATŁA“ wynosi w Austryi na **rok: 3** korony — na **pół roku: 1** kor, **50** hal. — Do Niemiec na rok: **4** kor. — półrocznie **2** kor. — Do Ameryki rocznie **1** dolar.

ADRES: Redakcya „ŚWIATŁA“ w Krakowie ul. Powiśle 12.

Masońskie zapędy.

Bezbożny, tajny związek masonów, którym kierują żydzi, ma na celu głównie zniszczenie chrześcijaństwa. W Austryi zakazane są jawne loże, czyli związki masońskie, co jednak nie jest dla nich przeszkodą w ich szatańskiej robocie, bo unikają tylko nazwy masońskiej, a działają jako towarzystwa pod innemi nazwami. Najwięcej używana jest nazwa »Wolnej myśli«.

Towarzystw wolnomyślnych jest dziś już kilka w różnych krajach Austryi; niedawno powstało takie towarzystwo wolnomyślicielskie we Lwowie między tamtejszemi studentami akademii, a w Krakowie istnieje ono pod nazwą »Towarzystwa etycznego«, bo na nazwę »Towarzystwa wolnej myśli« nie chciała podobno policya zezwolić.

Do tego »Towarzystwa etycznego« w Krakowie należą głównie akademicy, i to przeważnie żydzi, socyaliści, studenci z Królestwa Polskiego i pewna liczba naszej galicyjskiej młodzieży. Całem Towarzystwem kieruje podobno z córkami p. Bujwidowa, żona profesora uniwersytetu i lekarza od wścieklizny.

Zaraz na pierwszem posiedzeniu tegoż Towarzystwa uchwalono prowadzić walkę z obecnym porządkiem na świecie, a przedewszystkiem rozpocząć wojnę z Kościołem katolickim. Wstępu-

jący do Towarzystwa mają dobrze siebie zbadać, czy nie mają w sobie jakich przesądów religijnych (!).

Na dalszych posiedzeniach wypowiadano mowy nietylko przeciw chrześcijaństwu, ale w ogóle przeciw wszelkiej religii, przepowiadano upadek katolicyzmowi i narzekano, że duchowieństwo ma jeszcze wpływ na wszystkie prawie dziedziny życia.

Uchwalono dalej szerzyć wolnomyślne zasady między uczniami szkół średnich (gimnazyalnych i realnych), między robotnikami i między ludem. Ten ostatni punkt wywołał szerszą rozprawę, co do sposobów jak lud pozbawić wszelkiej wiary.

Jeden z mowców radził, a na to wszyscy się zgodzili, że wolnomyślni powinni iść w lud, lecz nie z próżnemi rękami. Przedewszystkiem trzeba sobie lud pozyskać udając jego przyjaciół i starając się o polepszenie jego bytu materyalnego, nie mówiąc mu od razu z góry, że Boga niema.

Inny mowca radził zyskiwać lud przez szerzenie oświaty, a zarazem uświadamiać go, że nie czeka go żadna kara za wyzbycie się wiary w Boga. Ktoś inny zauważył, że agitacya taka miałaby teraz powodzenie wśród ludu, »gdyż ludowcy ze Stapińskim i wszechpolacy już zbankrutowali i utracili wiarę u ludu przez swą sprzedajność«.

Na dalszych posiedzeniach »Towarzystwa etycznego« uchwalono rozszerzyć jego działalność i rozpocząć energiczne działanie na zewnątrz. Wkrótce stało się zadość temu wezwaniu, a pierwszym aktem tej działalności było uczczenie rocznicy hiszpańskiego masona Ferrera, którego stracono w Hiszpanii po dowiedzeniu mu wielu zbrodni.

Drugim aktem było przeszkodzenie wykładom księdza Zimmermana na uniwersytecie jagiellońskim, a trzecim niedawny strejk i dziki napad na uniwersytet. Wszystkiem tem kierowało owo masońskie »Towarzystwo etyczne«, a za te łajdactwa otrzymało wiele telegramów od żydów i masonów z całego świata.

Jeszcze przed awanturami na uniwersytecie wydało Towarzystwo odezwę, w której głosiło, że nie jest to walka chwilowa, ale walka na śmierć i życie z katolicyzmem. Wolnomyślni głoszą jawnie, że nie spoczną, aż odniosą

zwycięstwo, aż człowieka zrobią »wolnym« rozumie się w ich znaczeniu, to jest wolnym od wszelkich praw i religii, czyli innemi słowy aż go zrobią bydlęciem.

Taki jest cel masonów, względnie »wolnomyślnych« — i w takim duchu chcą działać akademickie Towarzystwa etyczne i wolnomyślne w Krakowie i we Lwowie.

Nie udało się masonom i żydom opanować u nas starszych ludzi, więc obałamucili na razie młodzież, i używają jej jako narzędzia do rozbijania naszego społeczeństwa i Kościoła. Trzeba tedy pilną zwracać uwagę na działalność tych masońskich Towarzystw i chronić resztę młodzieży, oraz robotników i lud przed tymi wrogami narodu i Kościoła!

Co mówił Chrystus Pan o sobie?

Od czasu swojego powrotu z Egiptu dokąd się był schronił przed morderczą ręką Heroda, aż do trzydziestego roku życia przebywał Chrystus Pan w Nazarecie, w domu swoich rodziców.

W czasie tych lat raz tylko wystąpił Zbawiciel publicznie. A było to wtedy, gdy jako dwunastoletni chłopiec przedsięwziął z Józefem św. i Maryą wielkanocną pielgrzymkę do Jerozolimy. Wówczas to zasiadł Chrystus Pan w świątyni w gronie kapłanów i uczonych w Piśmie, którzy ze zdziwieniem słuchali jego mowy i podziwiali nadzwyczajną w tym wieku mądrość, płynącą ze słów Jego. Nie przeczuwali oni nawet, kogo w tym chłopcu mają przed sobą.

Wtem weszli do świątyni Józef św. z Maryą, a Marya ujrzawszy Jezusa, którego napróżno przez trzy dni szukała w Jerozolimie, zbliżyła się doń i rzekła: «Synu! cóżeś nam uczynił? Oto ojciec twój i ja żałośni szukaliśmy cię!« Na to podniósł Jezus oczy ku rodzicom i odpowiedział uroczystym i poważnym głosem: »Cóż jest, żeście mnie szukali? Nie wiedzieliście, iż w tych rzeczach, które są Ojca mojego, potrzeba, abym był?« Odpowiedź ta jest pierwszym słowem Chrystusa Pana, które zapisało Pismo święte.

Jest to wielkie słowo i majestatyczne. Słowo to bowiem niby błyskawica oświetla trzydziestoletnie, ukryte jeszcze życie Zbawiciela, w jego jasnym blasku dostrzegamy po raz pierwszy kim jest ten, którego znano tylko dotychczas, jako syna cieśli z Nazaretu.

»Nie wiedzieliście, że w tych rzeczach, którego są Ojca mojego, potrzeba, abym był?« W słowach tych obwieścił Zbawiciel publicznie i po raz pierwszy, że jest Synem Bożym. Miejscem, gdzie Chrystus Pan te słowa wypowiedział, była świątynia jedynego prawdziwego Boga w Jerozolimie.

Dwunastoletni Jezus, stojąc w pośrodku kapłanów i uczonych, nazwał się Synem Bożym, czyli Synem tego, któremu owa świątynia była poświęcona. Nic więc dziwnego, że wszyscy, którzy te słowa słyszeli, byli niemi zdumieni.

A później bardzo często wspominał Chrystus Pan o swojem Boskiem pochodzeniu. »Jam jest Syn Boży!« Oto świadectwo, które Zbawiciel zawsze i wszędzie sobie wydawał.

Pewnego dnia — opowiada ewangelista — spytał Chrystus Pan uczniów swoich: «Za kogo mają ludzie Syna człowieczego?« Uczniowie odpowiedzieli: »Jedni za Jana Chrzciciela, inni za Eliasza, inni za Jeremiasza, albo jednego z proroków«. Chrystus rzekł: »Ale wy, za kogo mię macie?« Na to odpowiedział Szymon Piotr: »Tyś jest Chrystus, Syn Boga żywego«. Chrystus rzekł na to: »Błogosławionyś jest Simonie Bariona, bo ciało i krew nie objawiły tobie, ale Ojciec mój, który jest w niebiesiech«.

Jeżeli kto, to chyba uczniowie mogli i musieli wiedzieć, za kogo się uważał Zbawiciel i kim był; oni bowiem spędzili z Chrystusem Panem trzy lata i słyszeli każde Jego słowo. Otóż uczniowie ci wierzyli, że Chrystus Pan jest Synem Boga żywego. A uznali oni Chrystusa za Syna Bożego nie w tem znaczeniu, jakoby był tylko szczególnie umiłowanem przez Boga stworzeniem, lecz uznawali Jezusa za prawdziwego Syna Ojca niebieskiego. »Pan mój i Bóg mój!« — woła przecież Tomasz, padając na kolana przed Chrystusem Panem.

Św. Jan zaś mówi: »Tak Bóg umiłował świat, że wydał zań Syna swego jednorodzonego«.

Św. Paweł nazywa Zbawiciela jedynym Synem Boga, w którym i przez którego wszystko zostało stworzone. I wszyscy Ewangeliści potwierdzają zgodnie, że Chrystus Pan miał się za Syna Bożego i wierzyli też oni w niego, jako właśnie takiego. Apostołowie nauczali następnie o tem, w co sami wierzyli, a to, czego nauczali, zebrali razem w tak zwanym składzie apostolskim: »Wierzę w Jezusa Chrystusa, syna Jego jedynego, Pana naszego«. A za to, czego Apostołowie nauczali i w co wierzyli, dali życie swoje.

Nietylko jednak przed Apostołami uznawał się Chrystus Pan za Syna Bożego, lecz głosił swoją Boską godność także wobec ludu; czynił to publicznie, głośno, uroczyście i w obliczu nawet swoich wrogów. Uważał się Zbawiciel za wszechpotężnego pana stworzenia, mówiąc: »Dane mi są wszystkie mocy na niebie i na ziemi«. Składał o sobie świadectwo, że jest we wszystkiem równy Bogu samemu: »Ja i Ojciec jedno jesteśmy«. Świadczył dalej Zbawiciel o sobie, jako o tym, który może odpuszczać grzechy; nazywał się jedynym i najwyższym sędzią żywych i umarłych; zapewniał, że z mocą wielką przyjdzie przy końcu świata, ażeby rozstrzygnąć ostateczne losy ludzi. Chrystus Pan żądał od wszystkich ludzi takiej samej czci, jaka należy się Bogu Ojcu: »Wszyscy powinni czcić Syna, jako czczą Ojca; kto nie czci Syna, nie czci Ojca, który go posłał«. (Jan św. 5, 23).

Pewnego dnia przyszli żydzi do Zbawiciela i rzekli: »Jeśliś ty jest Chrystus, powiedz nam jawnie«. Chrystus Pan odpowiedział: »Powiadam wam, a nie wierzycie; sprawy, które ja czynię w imię Pana mego, te o mnie świadectwo dają. — Ja i Ojciec jedno jesteśmy«.

I porwali żydzi kamienie, aby Go ukamienować. A Chrystus Pan zapytał ich: »Wiele dobrych uczynków ukazałem wam z Ojca mojego; dla którego z uczynków tych chcecie mnie ukamienować?« Żydzi zaś odrzekli: »Dla dobrego uczynku nie kamienujemy cię, ale dla bluźnierstwa, iż ty, będąc człowiekiem, czynisz się sam Bogiem«. Widzimy z tego, że lud zrozumiał dobrze Zbawiciela, po-

nieważ Crystus Pan głosił się być samym Bogiem, nie zaś człowiekiem, cieszącym się szczególną łaską Bożą.

Jeszcze uroczyściej złożył Chrystus Pan świadectwo swnjej Boskości.

Oto zaprowadzają Zbawiciela przed wysoką radę kapłanów. Najwyższy kapłan podnosi się ze siedzenia i zadaje Jezusowi ważne i uroczyste pytanie:

»Poprzysięgam cię na Boga żywego, abyś nam powiedział, jeśliś ty jest Chrystus, Syn Boży?« Rzekł mu Jezus: »Tyś powiedział!« Dwoma tylko słowami odpowiedział Chrystus Pan; w tych jednak dwóch słowach mieszczą się dzieje całej ludzkości. Ta bowiem odpowiedź dzieli cały rodzaj ludzki na dwa wielkie obozy, na wierzących i niewierzących. Wierzący padają przed Zbawicielem na kolana i wołają w pokorze: »Tyś jest Chrystus, Syn Boga żywego!« Niewierzący zaś krzyczą: »Chrystus był bluźniercą!«

»Jam jest Syn Boga żywego!« Nigdy jeszcze nie słyszał świat podobnych słów z ust człowieka; słowa ten zupełnie niesłyszane nigdy przedtem ani potem.

Jedna tylko jedyna istota powiedziała te słowa o sobie, a był nią ten, który był zarazem najwyższym, nigdy niedoścignionym wzorem pokory, ten, co sam był najczystszą prawdą, a który wrogom swoim zadał pytanie, jakiego nikt po nim nie śmie postawić: «Kto na mnie dowiedzie winy?«

»Jam jest Chrystus, Syn Boga żywego».

Kimże był ten, który tak o sobie powiedział? Kim jest ten, który wymaga dla siebie czci Boskiej? Czy był to może jeden z owych rzymskich władców świata, którym podlegały miliony ludzi? Nie. Jest nim ten, którego lud zna, jako syna biednego cieśli, a który umarł na krzyżu, jak najpodlejszy zbrodniarz. On więc jest tym, który żąda dla siebie Boskiej chwały i czeka spokojnie, aż cały świat uwierzy weń i zwróci swoje modlące się oczy ku Niemu, wiszącemu na podłem drzewie krzyża.

Z powyższych wywodów wynika ta niezbita prawda, że Chrystus Pan uważa się za Boga, a świat w to wierzył. Nasuwa się teraz pytanie, jakim sposobem Chrystus Pan tego dokonał? Człowiek posiada potrójną potęgę i moc,

przez którą może działać. Są to: potęga materyalna, potęga zmysłów i potęga ducha, czyli innemi słowami: potęga surowej przemocy, potęga namiętności i potęga wiedzy albo sztuki.

Otóż Chrystus Pan nie użył żadnej z tych sił, ażeby zdobyć ludzi dla wiary w swoją Boskość. Zbawiciel gardził przedewszystkiem wszelką przemocą i gwałtem: »Gdy bowiem Piotr św. przy pojmaniu Jezusa, mieczem chciał Go bronić i uderzył nim sługę kapłańskiego, rzekł mu Jezus, aby schował miecz do pochwy, albowiem wszyscy, którzy miecz biorą, od miecza giną«.

Następnie zakazuje Zbawiciel wszelkiej namiętności, wszelkiej nawet myśli nieczystej lub złośliwej: »Kto nie bierze krzyża swego i nie naśladuje mnie, nie może być uczniem moim«.

Wkońcu pogardza Zbawiciel także trzecią potęgą, to jest potęgą ducha: »Wielbię Cię Ojcze, żeś nie objawił tego mędrcom, ale maluczkim«.

On, syn cieśli i jego galilejscy rybacy — oto i wszystkie siły, które dokonały największego w świecie przewrotu.

A więc Chrystus Pan nie chciał używać żadnej siły ludzkiej; sam łamie miecz, wyciągnięty z pochwy dla Jego obrony. Nie zna Zbawiciel żadnej innej dla ludzi nagrody, jak krzyż i umartwienie. A przecież założył potężne państwo, które — według własnych Jego słów — rozciągać się będzie aż do samych krańców ziemi.

Umarł Zbawiciel, ale śmierć Jego stała się kolebką życia, a Jego kamień grobowy stał się fundamentem Jego państwa, które rośnie w potęgę i rozwija się, chociaż sam władzca jest dla nas niewidzialnym.

Kasza za Szwedami.

Ognie płoną, konie parskają, widety się zmieniają. Spoczynek.

Pułkownik Gosiewski z swoimi rycerzami rozłożył się na półwyspie jeziora Rosen, bo spocząć koniecznie było potrzeba po kilkakrotnych utarczkach ze Szwedami.

Długi czas już Szwedzi dokuczali Polsce, a i krwi polało się niemało.

W kotłach rozwieszonych nad ogniami gotują żołnierze na obiad kaszę, a ci lub owi gwarzą — wspominają rodzinne strony, opowiadają o ciekawych wypadkach wojennych.

Jeden z żołnierzy zanucił pieśń pobożną — aż wiele głosów ozwało się na to i śliczny śpiew popłynął daleko, daleko.

Wtem głos trąbki zabrzmiał.

To znak niepokoju. Nieprzyjaciel blisko. — Porwali się wszyscy z miejsc. Jedni siodłają konie, drudzy broń oglądają, inni szykują się w szeregi.

Pułkownik Gosiewski wydaje rozkazy. Na lewem skrzydle stoi porucznik Jordan i czeka rozkazu pułkownika, gdy wtem nagle z krzykiem przeraźliwym wpada Maciek Ordęga na koniu, spłoszonym do najwyższego stopnia.

— Stój! na Boga! gdzie lecisz? — wołają żołnierze, ale Maciek nie odpowiada nic, tyko goni, jaky go wichry niosły.

— Maciek! czyś oszalał? pyta porucznik, ale darmo. Maciek goni, koń skacze, aż nagle ociera się o konia porucznika.

— Jezus Marya! — zawołali wszyscy. Patrzcie, patrzcie, koń porucznika skacze w wodę... Maciek za nim, ano... widać rozkaz taki, dalejże na Szweda!

— Na Szweda, na Szweda — powtórzyło tysiąc głosów i wszyscy w wodę za porucznikiem i Maćkiem.

Pułkownik Gosiewski załamał ręce. Powaryowali oczywiście, rzekł do siebie. Ha, niech się dzieje wola nieba, ale czy zwyciężą, czy nie, ukarani być muszą.

Wyszedł na wzgórek, przyłożył rękę do czoła i patrzy, co się tam dzieje na drugim brzegu. Do uszu jego dochodzą okrzyki wojenne, zdaje mu się, że i szczęk pałaszy słyszy, dym, kurzawa zakrywa mu wszystko, więc wraca zaniepokojony na swe miejsce i czeka, co też dalej będzie.

Po niedługim czasie pędzi jeden goniec i woła:

— Panie pułkowniku! Szwedzi pobici. Ale Gosiewski na tę wiadomość czoła nie rozweselił. Za nieposłuszeństwo musi być kara! I wódz ma serce, i jemu przykro karać tych, co zwyciężyli, a przecież musi. Bez jego rozkazu poszli sami — jest to przewinienie.

Zabrzmiały trąbki hasłem zwycięstwa, zapieniła się woda przy brzegu, nasi jadą i śpiewają:

A znaj Szwedzie znaj,
Co to Polski kraj!

Wrócili. Stanęli w szeregu, pułkownik Gosiewski naprzeciw nich podjechał na bułanym koniu i rzekł:

— Za zwycięstwo dziękuję wam, ale za samowolę muszę ukarać. Dlaczego szliście bez mego rozkazu?

— Obaczyliśmy, że pan porucznik w wodę skoczył, myśleliśmy, że miał rozkaz.

— Poruczniku Jordanie, pyta Gosiewski, dlaczego tak uczyniłeś?

— Koń mój spłoszył się i jak szalony skoczył we wodę. Spłoszył go koń Maćka, który wpadł na niego.

— Tak, tak! — zawołali wszyscy — Maciek jak zwaryowany leciał i przez niego to wszystko się stało.

— Gdzie Maciek? chodź no tu!

Wysuwa się na to Maciek, drżący ze strachu, blady, ledwo żywy.

— Hej Maćku! cóż to zrobiłeś?

— A proszę pana pułkownika, nie powiem za nic w świecie!

— Dlaczegóż nie chcesz mówić?

— Bo się strasznie wstydzę, bo będą się ze mnie wszyscy śmiali.

Spojrzeli wszyscy po sobie, nie rozumiejąc, co to wszystko znaczy, aż wystąpił kolega Maćka i rzekł:

— Proszę pana pułkownika, wszystko wyjaśnię, bo i ja tu jestem winien. Oto gdy zatrąbiono na alarm i poczęliśmy się zbierać, powiada do mnie Maciek: Szkoda naszej kaszy! O, co szkoda, to szkoda, odrzekłem na to i dalejże radzić, coby to robić, aby kasza nie poszła na marne. Umyśliśmy i zrobili tak: zebrali kaszę do worka i wpakowali na konia. Kasza gorąca konia sparzyła, więc spłoszony, leciał bez upamiętania. Gdy tym workiem z go-

rącą kaszą tknął konia pana porucznika, tego koń skoczył, a stąd cała bieda.

Zaśmiał się na to opowiadanie pan pułkownik. Darował już karę, ale biedny Maciek długo nie miał spokoju. Kto go tylko z kolegów spotkał, to każdy pytał:

— A co Maćku, dobrze było gonić za Szwedami z kaszą za plecyma?

Dajcie mi pokój, bo i wam kiedyś ze złości dam gorącej kaszy na plecy, z gniewem mówił Maciek, a ilekroć jeszcze żołnierze kaszę gotowali, wspominali i Maćka i Szwedów.

TAJEMNICZE OSTRZEŻENIE.

Niesłychanie ciekawą historyę opowiada w *Neview of Reviev* pewien Anglik. Chciał się ze swego miejsca zamieszkania Blackburn, udać do Prestonu i przed drzwiami swego domu zaprzągał konia do wozu, gdy nagle ktoś mu szepnął do ucha:

— Wsadź do kieszeni kawałek sznura!

Obejrzał się, ale nie było nikogo. Zdumiony opowiedział o tej przygodzie swojej żonie, która odpowiedziała mu ze śmiechem:

— I cóż to może szkodzić? Wsadzisz, jak ci duchy radziły, kawałek sznura do kieszeni i rzecz będzie załatwiona!

Mąż usłuchał tej rady i pojechał. Gdy w ciemnej nocy powracał do domu, na samotnem daleko od siedzib ludzkich położonem polu, zerwały się postronki i nie byłby mógł udać się w dalszą drogę, gdyby był nie miał pr y sobie sznura. Naprawił uprząż i po krótkiej stracie czasu mógł udać się w dalszą drogę.

Tajemniczy głos był więc w tym wypadku doskonałym doradcą.

Czasopismo włoskie *Luce e ombra* podaje ze wspomnień florentyńskiego rzeźbiarza, Duprégo, zupełnie podobną historyę.

Dupré pojechał z żoną powozem z Florencyi do Londynu, aby odwiedzić znajdujące się tam na wychowaniu swoje ciężko chore dziecko.

— Gdy z powrotem przejeżdżał obok przepaści, usłyszał nagle wyrzucone tonem rozkazującym słowo:

— Stój!

Był to jasny poranek i można było widzieć całą drogę, jak na dłoni; małżeństwo nie widziało jednak nikogo. Dupré chciał jechać dalej, ale tajemniczy głos powtórzył jeszcze dwa razy:

— Stój! stój!

Artysta zatrzymał powóz; jak okiem można było sięgnąć, nie było widać żywej duszy. Żona artysty była ze strachu bliską omdlenia. Aby jej pokazać, że wszystko jest tylko grą wyobraźni, chciał Dupré oprzeć się tajemniczemu rozkazowi i uderzył konia biczem.

W tej samej chwili rozkaz powtórzono jeszcze trzy razy, daleko energiczniej, niż przedtem, tak, iż Dupré wstrzymał konia i zszedł z powozu.

Teraz dopiero spostrzegł, iż lewe przednie koło, które znajdowało się tuż nad brzegiem przepaści, rozluźniło się i groziło spadnięciem z osi.

Małżeństwo musiało drogę do najbliższej miejscowości odbyć piechotą. Powóz byłby z pewnością zwalił się w przepaść, gdyby Dupré nie był wczas zeszedł z powozu i nie przekonał się, jakiego uniknął niebezpieczeństwa.

— Kto to przeczyta, będzie się śmiał — kończy Dupré swoje opowiadanie — ale ja się nie śmieję, gdyż historya ta jest co do ostatniego słowa prawdziwa, a ton tego rozkazującego głosu jeszcze do dziś brzmi mi u uszach.

Kobiety w walce z alkoholem.

Wiadoma to rzecz, iż w walce z pijaństwem mogą kobiety odegrać i rzeczywiście odgrywają niepoślednią rolę. I nic w tem dziwnego; — wszakże kobiety jako żony najwięcej cierpią z powodu pijaństwa swych mężów

i najlepiej znają cały bezmiar nędzy, powodowanej przez ten nałóg.

Zarazem też jako matki i wychowawczynie młodego pokolenia najlepszą mają sposobność do wychowania młodego pokolenia w zasadach wstrzemięźliwości.

W czerwcu roku zeszłego (1910) odbył się w Glasgonie w Szkocyi ósmy kongres wszechświatowego »Związku chrześcijańskich kobiet abstynentek« łączącego większość organizacyi przeciwalkoholowych.

Obecnie ukazało się obszerne sprawozdanie z tego kongresu, dające zarazem pogląd na rozwój i działalność kobiecego ruchu przeciwalkoholowego w różnych krajach. Dowiadujemy się z niego, że związek liczył w lipcu roku ub. ogółem 433.249 członków. Z tej liczby przeszło połowa przypada na Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, jedna czwarta zaś na Anglię, reszta rozdziela się na inne kraje europejskie (szczególnie Szwecyę, Norwegię, Niemcy) na Afrykę Południową, Australię oraz Azyę (Japonia, Indya, Chiny).

Rozwój idei abstynenckiej w tych krajach dalekich zawdzięcza związek swym »misyonarkom«, które wysyła na swój koszt na wszystkie strony świata celem agitacyi. W wielu krajach przyjmują ich pomoc bardzo chętnie, a w Japonii rząd ułatwia im przystęp do wszystkich szkół publicznych.

Dla propagandy wydaje związek oprócz organu urzędowego około 60 czasopism specyalnych w różnych krajach i językach. W jednych krajach zajmują się organizacye kobiece przeważnie pouczaniem dzieci o szkodliwości alkoholu, w innych zakładaniem gospód bezalkoholowych, propagandą abstynencyi wśród ludu i t. d.

Oświata w Szwecyi.

Nauczanie powszechne, (tak zwany przymus szkolny) wprowadzono w Szwecyi już w roku 1842.

Podstawą wykształcenia narodu jest tak zwana »szkoła ludowa« (Folkskola), która kształci dzieci miejskie i wiejskie od lat 7 do 13 przynajmniej.

Pod względem urządzenia poziomu nauk i hygieny nie dadzą się szwedzkie szkoły ludowe porównać z innemi. W większych miastach szkoły te mają gmachy w stylu pałaców, obliczone na tysiące dzieci; kierownikami i nauczycielami w nich są pedagogowie, a hygiena w wielu szkołach jest ostatnim wyrazem wymagań tegoczesnych.

Istnieje w Szwecyi (w liczbach okrągłych) 15 tysięcy szkół ludowych z 19 tysiącami nauczycieli i 800 tysiącami uczniów obu płci. Na jedną szkołę przypada więc przeciętnie 50 uczniów, a na jednego nauczyciela 42 uczniów.

Wydatki na szkoły ludowe wynoszą około 40 milionów koron rocznie. Jeden uczeń kosztuje rocznie 50 koron, co obciąża każdą głowę ludności wydatkiem rocznym 7 i ćwierć korony (1 korona szwedzka równa się 1 koronie 23 halerzom).

Seminaryów nauczycielskich męskich jest 9, żeńskich 6; kształci się w nich 1 600 uczniów i uczenic.

Szkół ludowych wyższych dla dorosłych (zwanych u nas uniwersytetami ludowymi, a tam »högre folkskolor«) jest 43 z 2 tysiącami uczniów; połowa kobiet, połowa mężczyzn. Wszystkie wydatki na szkolnictwo ludowe przenoszą 45 milionów koron.

Prócz tego jednak silnie rozwinięte jest szkolnictwo średnie i zawodowe. Szkół średnich rządowych 6-cio lub 8-mio klasowych jest około 80 z 22 tysiącami uczniów; szkół średnich żeńskich jest też około 80, ale prawie wszystkie są prywatne, choć większość otrzymuje zapomogę od rządu. Szkolnictwo średnie kosztuje rząd 10 milionów koron rocznie.

Szkół technicznych dużych jest 6, wśród nich dwie politechniki; mniejszych techniczno-rzemieślniczych — około 60. Skarb wydaje na nie 1 i pół miliona koron rocznie. Wreszcie uniwersytetów jest 4 i akademia lekarska (razem 4 tysiące słuchaczów), na które skarb wydaje 2 i pół miliona koron rocznie.

Nadto są szkoły specyalne dla niedostatecznie rozwiniętych dzieci, dla głuchoniemych i t. d., tak, że razem

skarb szwedzki wydaje na cele oświaty 60 milionów kron rocznie.

„Selamlik“ w Konstantynopolu.

Każdego piątku udaje się turecki sułtan do moszei (świątyni), ażeby odprawić tam przepisane modły i wystawić się na publiczny widok swoim poddanym na znak, że żyje i że nie padł, jak to nieraz zdarzało się jego poprzednikom, ofiarą spisku pałacowego. Od tego starego zwyczaju, zwanego selamlikiem, nie wolno uchylać się sułtanowi pod grozą ujmy dla swej godności, jako »kalifa wszystkich wiernych«.

Na krótko przed przybyciem sułtana ustawia się wojsko w szpaler, ażeby sułtanowi zapewnić swobodny przejazd przez ulicę. Sułtan i jego najbliżsi jadą w zamkniętych karetach. Około godziny 1-szej po południu zjawia się na galeryi minaretu (wieży modlitewnej) muzein (kapłan mahometański) i śpiewa jasnym, dźwięcznym głosem swój »adar» czyli wezwanie do modlitwy. Zaledwie przebrzmią echa tej pobudki — dają się słyszeć dźwięki trąb; to kapela gra marsza; żołnierze prezentują broń, co oznacza, że sułtan jest w pobliżu.

Wkrótce potem zajeżdża przed moszeę bogato ozdobiony powóz, w którym zajmuje miejsce sułtan ze swoimi towarzyszami: prezydentem ministrów i ministrem wojny.

Gdy sułtan kroczy po schodach, wiodących do moszei, wyrywa się z ust tureckich widzów okrzyk. »Padyszach czok jakha«, to znaczy: »Niech nam długo żyje padyszach!« Sułtan zwraca się przytem na chwilę twarzą do ludu — a chwila ta jest jedyną sposobnością pozwalającą Turkom i Europejczykom oglądać oblicze »cienia Boga na ziemi«. Sułtan dziękuje ludowi za owacyę, pozdrawiając lud, tureckim zwyczajem, to jest dotykając prawicą serca i czoła.

Zwykli Mahometanie dotykają oprócz serca, także i nóg i wymawiają przy powitaniu słowa: »Salem aleikum«, »pokój z wami«. Ten sposób witania jest bardzo obrazowy

Mahometanin chce bowiem przez to powiedzieć: »Jestem twoim przyjacielem od stóp do głów i to ze serca«.

Przez 20 minut spełnia sułtan swój religijny obowiązek w moszei, poczem powraca do pałacu.

Ciężkie życie miliarderów amerykańskich.

Niedawno wyszła w Bostonie książeczka, której autor w ciekawy sposób opisuje, w jak wielkiej obawie żyją amerykańscy miliarderzy przed wymuszaniem i groźbami.

I tak mówi o Johnie D. Rockefellerze, najbogatszym człowieku na całym świecie, że drży wprost z obawy przed publicznością. Obawia się omawiania swych interesów nawet ze swą rodziną; obawia się szelestu własnych kroków; boi się własnego cienia; obawia się wody, którą pije; obawia się przy każdym interesie, iż może zostać oszukanym i t. d.

Dość, że życie tego nowoczesnego Krezusa jest jednem ogniwem obawy i strachu. Podobnie dzieje się i z innymi tamtejszymi bogaczami, którzy majątek swój liczą nie na miliony, ani na dziesiątki lub może setki milionów, ale na miliardy, to jest tysiące milionów. I oni znajdują się w wiecznej obawie po części o swe pieniądze i skarby, ale co gorsza o swą skórę, o swe życie. A nie można się temu dziwić, gdyż doświadczenie wykazuje, że grozi im pod tym względem wielkie niebezpieczeństwo.

Na dowód tego wystarczy przytoczyć kilka głośniejszych wypadków. Mr. Cudahy, właściciel olbrzymiej rzeźni wieprzy w Chicago, otrzymał jednego razu od pewnego opryszka, znanego z wymuszania, list z groźbą, iż zostanie zabitym, jeżeli nie zapłaci natychmiast milion marek.

Cudahy nie chciał tego uczynić i otoczył się strażą, która mu na każdym kroku towarzyszyła. Wtedy ów opryszek, nie mogąc się dostać do niego samego, porwał mu i uprowadził 12-to letniego syna jedynaka. Do ojca zaś napisał, że jeżeli i teraz jeszcze nie spełni jego żądania, to zemści się na nim w ten sposób, że chłopca pozbawi wzroku. Teraz zwyciężyła miłość ojca ku dziecku Aby

uratować syna, zapłacił Cudahy milion marek, poczem niezwłocznie chłopiec do domu powrócił.

Korneliusz Vanderbilt otrzymywał ustawicznie pocztą listy z pogróżkami, a pewnego wieczoru przypadł nawet do okna pokoju jadalnego, w którym się właśnie Vanderbilt z rodziną znajdował, jakiś podejrzany mężczyzna, i grożąc pięścią, zawołał: Śmierć Vanderbiltowi! Gdy go aresztowano, znaleziono przy nim bombę.

W roku 1891 zamierzano zamordować Russela Sage'go, lecz zamiast niego zabity został prywatny jego sekretarz i trzy osoby z personalu, którzy stanęli w obronie swego szefa.

Gdy umarł bogacz Jay Gould, wykazało się z pozostawionych przezeń papierów i kwitów, że w przeciągu ostatnich dziesięciu lat swego życia wypłacił różnym osobom, które wymusiły zeń pieniądze, ogromną sumę przeszło 10 milionów koron.

Wobec takich przykładów ciągła obawa amerykańskich bogaczy jest chyba uzasadnioną. Niejeden zaś z biedniejszych, który żyje z pracy rąk swoich w spokoju gotów uznać, że prawdą jest, iż bogactwa same nie czynią człowieka szczęśliwym.

CO TO JEST KREW?

Podobnie jak rzeki, przepływając krainy, użyźniają je i czynią urodzajnemi, tak samo i krew, krążąc po naszem ciele, roznosi cząstki przeznaczone do utrzymania zdrowia i życia. Gdy przestanie dopływać do jakiej części ciała, następuje zgorzel czyli śmierć miejscowa. Gdy wypływa na zewnątrz w wielkiej ilości, gdy ilość ogólna jej zmniejsza się do pewnej wiadomej granicy, następuje śmierć całego organizmu, śmierć w całem znaczeniu tego okropnego słowa.

Wszystko wykazuje wielką doniosłość krwi i usprawiedliwia trudy, jakie sobie zadają lekarze i chemicy w badaniu tego ożywczego płynu.

Krew jest płynem dość gęstym, gęstszym od wody, smaku słonawego i nieco mdlistego, o zapachu właściwym, przypominającym woń potu zwierzęcia, od którego pochodzi. Wprawiona w ruch przez serce, skąd płynie przez tętnice, a dokąd powraca przez naczynia, zwane żyłami, przebiega cały organizm i w ten sposób styka się ze wszystkiemi jego częściami przy pomocy trzeciego systemu naczyń krwionośnych, zwanych włoskowatemi. Jest to obieg znany pod nazwą: krążenie krwi.

W chwili wyjścia z serca, krew posiada kolor jasnoczerwony i zachowuje go w tętnicach; w żyłach zaś zabarwienie jest ciemniejsze, prawie czarne.

Badając kroplę krwi pod mikroskopem, zobaczymy, że składa się ona z dwóch części: surowicy, płynu przeźroczystego, zlekka zabarwionego na kolor żółto-zielony i krążków, ciałek spłaszczonych, okrągławych gęstszych i ciemniejszych po brzegach niż w środku, o pięknym czerwonym kolorze. Ciałka te nadają krwi kolor czerwony, one wchłaniają w siebie w płucach tlen z powietrza i roznoszą go po całym organiźmie, jak również i inne części pożywne, niezbędne dla utrzymania go w stanie normalnym. Przeznaczenie ich zatem jest o wiele donośleisze, aniżeli surowicy, która jest właściwie tylko ośrodkiem do ich przenoszenia.

Liczba krążków jest bardzo wielka, w 1. milim. kubicznym krwi znajduje ich się średnio około 5 milionów.

Gdy krew wypłynie z ran skutkiem skaleczenia lub zostanie puszczoną i pozostawioną w naczyniu spokojnie, zaczyna gęstnieć, a następnie rozdziela się na dwie połowy: na płyn jasny, żółtawy, pływający po wierzchu. Jest to surowica. Część miękkawa zaś pozostająca na spodzie, jest to skrzep krwi, zabarwiony mniej lub więcej ciemnoczerwono, zawierający w sobie wszystkie krążki, jako też i inne części stałe krwi.

Niekiedy krzepnięcie krwi następuje w naczyniach krwionośnych człowieka żywego bez ich rozerwania. Ma to miejsce wtedy, gdy żyły ulegną zapaleniu. Wtenczas skrzep stanowi nieprzezwyciężoną przeszkodę w krążeniu krwi w dotkniętym organie. Takie atoli wypadki są bar-

dzo niebezpieczne dla zdrowia i życia, bo często następstwem ich bywa gangrena.

U człowieka dorosłego, zdrowego, ilość krwi wynosi nieco ponad 6 litrów, co na wagę daje $6\frac{1}{2}$ kilogramów albo odnośnie do wieku $\frac{1}{9}$ część wagi całego organizmu. Człowiek nie może utracić więcej niż 3 lub 4 klgr. krwi, w przeciwnym bowiem razie musiałby umrzeć. Skutkiem utraty mniejszych ilości, zdrowie może uledz bardzo groźnym zaburzeniem. To też w celu wynagrodzenia strat, poniesionych przez krwotok, albo chorobę, stosuje się operacyę, zwaną przetaczaniem krwi, która może nieraz przywrócić zdrowie choremu.

Sąd familijny w Nowym Jorku.

Od niedawnego czasu rozpoczął w Nowym Jorku (w Ameryce północnej) swoje czynności »sąd pożycia domowego«, któremu postawiono za zadanie wydawać wyroki w najrozmaitszych sprzeczkach domowych, a w szczególności bronić opuszczonych i źle traktowanych zarówno żon, jak i mężów.

Na otwarcie owego sądu przybyła wielka liczba kobiet i mężczyzn z najrozmaitszych sfer i stanów, aby u sędziego Mr. Cornella szukać pomocy i ratunku w potrzebie. Były pary eleganckie i wyglądające na zadowolone, ale nie brakowało postaci rozpaczliwych, którym głód i nieszczęście można było wyraźnie wyczytać z oblicza i z ubioru.

Sędzia otworzył pierwsze posiedzenie skromnie i bez wszelkich formalności, a zarazem zaznaczył, że wszyscy, którzy się zwrócili do sądu, muszą przedłożyć swoje sprawy z spokojem i że kłócić się nie wolno.

Pierwszym oskarżycielem, który wystąpił, była nieśmiała i uboga kobieta z dziecięciem na ręku. Prosiła o zaaresztowanie męża, który ją opuścił. Jej życzeniu uczyniono zadosyć, poczem przed sędziego wystąpiła inna kobieta w towarzystwie męża i ojca. Oskarżającym był w tym wypadku mąż. Żalił się gorzko na zachowanie swego teścia. Przesłuchano więc teścia, zamącającego spokój mał-

żeński. Zeznał, iż go wspomaga syn i że mieszka u córki. »Musi więc pan teraz mieszkać u syna — brzmiał salomonowy wyrok sędziego Mr. Cornella — to obecne małżeństwo będzie potem szczęśliwem z sobą«. »To jest właśnie, czego pragniemy« — powiedział małżonek z zadowoleniem i opuścił salę sądową, prowadząc żonę pod rękę. Tuzin innych wypadków wytoczono jeszcze przed sędzią, a owemu urzędnikowi udało się usunąć w połowie trudności między małżonkami i doprowadzić do tego, że pary odeszły zadowolone i szczęśliwe. W ostatnich latach zdarzało się coraz częściej, iż jeden z małżonków opuszczał złośliwie drugiego, co wywołało konieczność zaprowadzenia takiego sądu. Przeciętna liczba skarg, jakie z tego powodu otrzymywała policya, wynosiła w roku 2.700 sztuk.

Adwentyści sobotnicy.

Wśród kolonistów niemieckich, zamieszkałych we wsiach w Królestwie Polskiem pojawili się wysłańcy sekty tak zwanych adwentystów, występując ze swą propagandą między kolonistami Niemcami baptystami i ewangielistami, rozdając broszury i rozprawki drukowane w Niemczech.

Pisma powyższe rozchodziły się dość liczebnie, agitatorzy zaś, o ile się dawało, urządzali zebrania i wykłady. Obecnie adwentyści, nie zaniedbując wsi, przenieśli się do Warszawy, gdzie w swej kaplicy przy ulicy Senatorskiej 8, głoszą swe zasady po niemiecku i po polsku, chcąc tym sposobem zjednać swej sekcie zwolenników z pośród Polaków.

Adwentyści otrzymali swą nazwę od wyrazu łacińskiego »adventus«, co oznacza »przyjście«, gdyż główną i znamienną cechą sekty jest wiara w rychłe powtórne przyjście Zbawiciela i tysiącletnie Jego panowanie na ziemi.

Sekta adwentystów rozpadła się na kilka poszczególnych sekt, z których właśnie do Królestwa znalazła drogę sekta adwentystów-sobotników. Adwentyści-sobotnicy uczą,

że chrześcijanie obowiązani są święcić sobotę, jako dzień siódmy, czyli dzień odpoczynku; chrztu należy udzielać przez zanurzanie; Komunię św. przyjmują pod dwiema postaciami i przy Komunii myją sobie nawzajem nogi.

Co się zaś tyczy życia pozagrobowego, to uczą oni, że umarli pogrążeni są we śnie, podczas którego nic nie czują. Występują przeciwko użyciu alkoholu i paleniu tytoniu W całej nauce adwentystów-sobotników przejawia się wpływ Starego Testamentu; zresztą nauka ich wykazuje poniekąd zwrot ku wierze żydowskiej.

Rozmaitości.

Śmierć wodza Indyan.

W mieście Lawton, (w Ameryce Północnej), zmarł na zapalenie płuc Quanah Parker, słynny wódz Indyan szczepu Komanszów. Śmierć zabrała jednego z najbogatszych typowych Indyan amerykańskich, który w swej młodości, walcząc w obronie ziemi danej im przez „Wielkiego Ducha“, uśmiercił sam stu „białych najeźdźców“.

Wkońcu po zwycięstwie białych nad Indyanami Parker pogodził się z „blademi twarzami“ i prowadził życie cywilizowane. Mieszkał w pałacu kamiennym, posiadał znaczną ilość doskonale uprawionego gruntu oraz rozległe pastwiska, na których pasły się stada bydła, owiec, nierogacizny i koni. Majątek jego wart jest przeszło milion dolarów. Parkier miał ojca Indyanina, a matkę białą. Był on szczerym przyjacielem Teodora Roosevelta, z którym często polował. Dawał znaczne ofiary na różne cele publiczne.

Sędziwa studentka.

Pani Amy D. Winship, licząca 87 lat wieku odbywa drugie półrocze studyów na uniwersytecie w Stanie Ohio w Columbus, poprzednio zaś uczęszczała na uniwersytet w Wisconsin. Jest ona wdową po fabrykancie, uczy się języków nowożytnych i literatury obok filozofii i psycho-

logii, ale z największym zapałem poświęca się specyalnym studyom nad utworami poety angielskiego Shakespeara.

Sędziwa dama spodziewa się doczekać za lat cztery doktoratu, a gdy krewni wyrażali zdziwienie z powodu zapisania się na uniwersytet w tak sędziwym wieku, miała oświadczyć, że pragnie rozszerzć swoją wiedzę. Syn p. Winship jest już w podeszłym wieku i praktykuje jako lekarz, córka również niemłoda jest oddawna zamężną.

Wybryk natury.

Bywają na świecie jeziora, które zawierają na przemian to słodką, to słoną wodę. Najcharakterystyczniejszym przykładem jest jezioro Dzika w Indyach, które wskutek połączenia z morzem ma słoną wodę. Podczas lata jednak spływają do niego z całego kraju tak wielkie ilości wód, że na pewien czas woda jeziora staje się prawie słodką.

Natomiast jedyną w swoim rodzaju osobliwością jest źródło w miejscowości New Burmington w stanie Ohio, które wydaje równocześnie wodę słoną i słodką.

Ten wybryk przyrody tłumaczy się w ten sposób, że są to właściwie dwa źródła, bardzo blisko siebie położone, z których jedno dostarcza doskonałej wody do picia, drugie zaś wskutek nasycenia solami mineralnej wody, zupełnie słonej. Każde z nich zasila żyły wodne, idące w przeciwnych kierunkach, a w miejscu zetknięcia rozdzielone pokładem wapiennym. Gdy wykryto osobliwe źródło, wywołało ono powszechne zadziwienie.

Obecnie technicy rozdzielili je zupełnie, podnosząc ujście źródła słodkiego obmurowaniem.

Studnia urządzona nad niem dostarcza z jednej pumpy wody do picia, z drugiej mineralnej wody słonej, posiadającej podobno właściwości lecznicze.

Krwiożerczy szczep.

Jak donoszą pisma francuskie z wyspy Bourbon zapadł już tam wyrok w sprawie krwawego szczepu, znanego pod nazwą „Pijących krew“. Miał on charakter

sekty tajemnej, a praktyki dokonywane przez jego członków podczas zebrań przechodziły okropnością najdziksze zbrodnie sekciarskie. Ofiarę ludzką zabijano uderzeniami drąga żelaznego, następnie przecinano nieszczęsnemu gardło i pito krew.

Do sekty należeli czarni i osiedli na wyspie Hindusi. Aresztowano ośmiu członków bandy, z których trzech skazano na śmierć; resztę — na roboty przymusowe. Dodać należy, że po pierwszej rozprawie sądowej skazano na śmierć wszystkich ośmiu, a zaś po kasacie tego wyroku ze względów formalnych, następny wyrok wypadł nieco łagodniej.

Nowiny.

Ciekawy powód samobójstwa. We Florencyi zastrzelił się pewien 60-letni urzędnik cłowy, ponieważ nie miał apetytu do jadła.

Zapadł się kościół z przyległymi budynkami w Arenys w hiszpańskiej prowincyi Barcelona. Budynki zamieszkiwały zakonnice. Dwie z zakonnic znalazły śmierć pod gruzami domu. Gazety hiszpańskie podają, że zapadnięcie jest skutkiem trzęsienia ziemi, inne znów pisma twierdzą, że przeciągłe deszcze podmyły fundamenty tak, iż nastąpić musiało nieszczęście.

Nie wolno się śmiać. Najwyższy sąd pruski (kamergericht) orzekł w pewnej sprawie, że nie wolno się śmiać z policyanta, gdy mu ucieknie na ulicy aresztant. Za podobny przypadek skazał sąd berliński pewnego kowala na tydzień więzienia, a kamergericht apelacyę odrzucił.

Dwa i pół miliona koron za obraz. Znany przywódzca konserwatystów angielskich Landsdowne, sprzedał obraz sławnego dawniejszego malarza Rembrandta, przedstawiający „młyn“, za dwa i pół miliona koron pewnemu bogatemu Amerykaninowi.

Polacy w Ameryce. Przy ostatnich wyborach do rady miejskiej w Chicago wybranych zostało pięciu Polaków, mianowicie: Jan Derpa, Franciszek Daniz, Stanisław Kunz, Edmund Parecki i Stanisław Walkowiak. Bur-

mistrzem wybrany został po raz piąty Carter Harrison, a jak pismo chicagowskie dodaje, szalę zwycięstwa na jego stronę przechyliły głosy polskie Rada miejska w Chicago składa się z 70 członków.

Miasto Battle Creek w stanie Michigan, liczące 25.300 mieszkańców, wybrało burmistrzem Polaka Romana Zielińskiego.

Pięć milionów za męża. Wdowa po niedawno zmarłym w New-Jorku bogaczu Williamie Elkens, Mrs. Kalhe Elkens, zaręczyła się z adwokatem z Filadelfii Mr. Williamem Delaware Neilson Mąż ten kosztować będzie wdowę pięć milonów, gdyż zmarły poprzedni małżonek zapisał jej tę sumę pod warunkiem, że nie wyjdzie drugi raz zamąż, a że warunek ten łamie, więc tem samem traci owe 5 milionów dolarów, czyli 25 milionów koron. Będzie to zatem małżeństwo z prawdziwej miłości.

Skarby eks-sułtana. Z Konstantynopola donoszą, że sułtan wydał irade, potwierdzające uchwałę Izby, na mocy której kosztowności poprzedniego sułtan Abdul Hamida, przechowywane w banku ottomańskim, mają być sprzedane, a pieniądze stąd osiągnięte obrócono na wzmocnienie floty tureckiej.

Drogie kamienie na ulicy. Z Nowego Jorku donoszą, iż na ulicy Broadway rozbite zostało okno wystawowe jubilera przez spłoszone konie. Niebawem ulica została zasianą przez kosztowności i drogie kamienie, na które rzucił się tłum uliczny. Policya miała wiele kłopotu z utrzymaniem porządku i obroną własności jubilera, którego straty są na razie niewiadome. Aresztowano pewnego przechodnia, który przywłaszczył sobie sporo klejnotów.

Wieloryby w Bałtyku. Według doniesień gazet rosyjskich w Bałtyku pojawiły się wieloryby. Jednego z olbrzymów, długości przynajmniej 20 metrów, widziano około wyspy Rugii. Wieloryby zapędziły się zapewne za śledziami i nie mogą obecnie znaleść drogi do oceanu.

Wici w Anglii. Komitet obchodu koronacyjnego w Anglii postanowił, by w dniu koronacyi w całej Wielkiej Brytanii zapłonęły na wzgórzach o godzinie 10 tej wieczorem ognie (wici), głoszące ludowi, że tego dnia król

Jerzy przywdział królewską koronę. W dniu koronacyi króla Edwarda płonęło w kraju 1.650 takich ogni; komitet obecnej uroczystości przypuszcza że w tym roku zabłyśnie kilka tysięcy. W tym celu zwrócił się już do zarządów gmin, by wydały odpowiednie polecenia.

Dzika zabawa. W gmachu teatralnym w Livermore w Kentucky (w Ameryce) został zlynchowany murzyn, oskarżony o zastrzelenie białego obywatela. Policya pragnąc uchronić murzyna od zemsty tłumu ukryła go w gmachu teatralnym, przeprowadziwszy go tamże cichaczem z więzienia. Rozszalały tłum domyślił się jednak podstępu i 10 zdecydowanych na wszystko mężczyzn wtargnęło na scenę teatru, gdzie powieszono murzyna i dozwolono strzelać do jego ciała, huśtającego się między widownią a sceną.

Przed wykonaniem lynchu (samosądu) ogłoszono o nim z dodatkiem, iż widzowie, posiadający bilety do lóż i przeseł, będą mogli dać po 6 strzałów do zlynchowanego, ci zaś widzowie, którzy zajmą miejsce na galeryi uprawnieni będą do jednego tylko strzału. Ceny biletów uległy niesłychanej zwyżce, gdyż amatorów barbarzyńskiej zabawy znalazło się wielu. To też gdy do teatru przybyła policya zastała już tylko zwłoki wisielca, przestrzelone kilkuset kulami rewolwerowemi. Pieniądze zebrane za bilety na to osobliwe widowisko ofiarowano rodzinie zastrzelonego przez murzyna białego obywatela.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Marceli Dziurzyński.

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.

Figle i żarty.

Przypomnienie. — Znów widziałam we śnie mego nieboszczyka męża...

— Gdybyś go pani jeszcze raz zobaczyła, proszę mu przypomnieć, że winien mi został 25 koron.

Zrozumiał. Nauczyciel: Ile jest 20 mniej 20?

Uczeń milczy,

Nauczyciel: Jeżeli ci dam 20 jabłek i ty zjesz te wszystkie jabłka to co będziesz miał?

Uczeń: Ból brzucha...

Rzecz w żydowskiej szkole.

— Powiedz mi, gdzie siedzi rozum?

— On wcale sobie nie siedzi.

— A gdzież jest?

— On chodzi za interesami.

— Dlaczego?

— Bo jakby on siedział, toby nie był rozum.